

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



2

(87) 2017

O „Apostole Kazachstanu” ♦ Czarny Las w Stanisławowie ♦ Automobilem po drogach II RP ♦ Zegar – Przeznaczenie ♦ W lecznicy dr. Tarkowskiego ♦ Rozmowa z Andrzejem Chlipalskim ♦ O archeologu Hadaczkę ♦ Poezja ♦ Proza ♦ Książki

Zaskoczenia i nostalgiczne niepokoje...

Niedawno – 10 czerwca 2017 r. – zostałem zaproszony do Stalowej Woli na Dzień Kresowy. Gdy zastanawiałem się nad swym wystąpieniem, przypomniałem sobie o bł. o. Serafinie Kaszubie, „Włóczędze Bożym” – jak piszą o nim jego biografowie – i jego związkach z Rozwadowem (dzisiaj dzielnica Stalowej Woli). Urodził się w 1910 r. we Lwowie, ale przez lata, już jako kapucyn, związany był też z Rozwadowem. O. Serafin przed II wojną światową uczył języka polskiego w rozwadowskim Kolegium Serafickim. Po wojnie osiadła tam jego najbliższa rodzina – ojciec Karol i siostra Maria. Gdy zmarła jego siostra w 1968 r., o. Serafin chciał przyjechać na pogrzeb. Władze Związku Radzieckiego uniemożliwiły mu wtedy wyjazd do Polski. Choć gdyby zadeklarował wówczas, że nie wróci już do ZSRR, zrobiono by wszystko, byle tylko wyjechał... Gdy piszę o o. Serafinie, na myśl niemal natychmiast przychodzi „Apostoł Kazachstanu” – św. Władysław Bukowiński. Tej niepospolitej postaci duchownego poświęcony jest pierwszy artykuł w drugim numerze naszego kwartalnika, pióra dr. Stanisława Dziedzica. Ks. Bukowiński był w ZSRR znienawidzony przez ludzi systemu i jakże bardzo pożądanym i oczekiwany przez wiernych Kościoła rozproszonych na olbrzymich połaciach komunistycznego imperium. Ludzie cierpliwie oczekiwali na ks. Bukowińskiego, na o. Serafina, a władze ZSRR tak bardzo chciały się ich pozbyć... Nie udało się, wytrwali do końca swych dni, pracując w trudzie do ostatniego tchu! Wydawałoby się, że dzisiaj, przynajmniej w cywilizowanym świecie, nikt nikogo za wiarę, czy inne poglądy wyrzucać z państwa nie będzie, bo szykanowanie i postępowanie na porządku dziennym zdarzają się nawet w najbardziej nowoczesnych społecznościach. Tymczasem czytam, że jedna z ukraińskich partii domaga się uznania arcybiskupa metropolity lwowskiego Mieczysława Mokrzyckiego za *persona non grata (sic!)* i żąda wydalenia go z państwa ukraińskiego. Powodem – wyjęte z kontekstu, zmanipulowane i źle przetłumaczone słowa księdza arcybiskupa. By sprawie „teb ukrećci”, dostanie się pewnie tłumaczowi, który miał źle przetłumaczyć wypowiedź arcybiskupa na język ukraiński...

Powiadają, że są takie miejsca w lasach, gdzie nawet ptaki nie śpiewają... Tak jest podobno w Katyniu. Ale i w Czarnym Lesie pod Stanisławowem, gdzie w 1941 r. Niemcy rozstrzelali kwiat stanisławowskiej inteligencji. O losach tego miejsca, przywracaniu go pamięci miejscowej społeczności i Polakom pisze w tym numerze kwartalnika Krystyna Stafińska. Osobiście przekonałem się, że przywracanie pamięci tego miejsca to niełatwa praca. Po głośnych akcjach budowy pierwszego pomnika w stanisławowskim Czarnym Lesie znalazłem się tam z zespołem „Stare Dobre Małżeństwo” wędrującym z koncertami po Kresach. Czas, jaki mieliśmy na zwiedzanie Stanisławowa, może nie był najdłuższy, ale chcieliśmy odwiedzić Czarny Las. Nikt ze spotkanych osób – Polaków – nie potrafił, oprócz księdza proboszcza Kazimierza Halimurki, wskazać nam drogi na cmentarzysko. Kierowca z lwowskiego Konsulatu RP nie mógł zrozumieć, po co my tam jedziemy... Co mu miałem powiedzieć? Że chcemy zapalić świecę? Oddać hołd pomordowanym? Opowiedzieć historię Czarnego Lasu? Opowiedziałem. Nic nie komentował... Może kiedyś, przy innych okazjach powiódł tam innych Polaków i opowiedział im, co ode mnie usłyszał...

Zatrzymałem się kiedyś w Częstochowie przed Cudownym Obrazem i spojrzałem na Pielgrzymów wpatrzonych błagalnym wzrokiem w ikonę Matki Boskiej Częstochowskiej. Wszyscy czekają na cud miłosierdzia, na łaskę pokoju, która winna spłynąć na każdego z osobna. Iluż petentów w innych sanktuariach z cudownymi obrazami modli się o to samo?! Także i przed cudownym obrazem Matki Bożej Łaskawej z ormiańskiej świątyni w Stanisławowie, której 80. rocznicę koronacji w tym roku obchodzimy, rezydującej od zakończenia II wojny światowej w Gdańsku. Pięknie pisze o tym cudami słynącym obrazie Tadeusz Olszański w swej książce *Kresy Kresów. Stanisławów jednak żyje*, której fragment zamieszczamy na naszych łamach. Opuściłem sanktuarium. Znalazłem się na ulicy, w tłumie pełnym wrogości, agresji i bezuśmiechu. A przecież wszyscy wyszli stamtąd, z tej kaplicy, w której rezyduje Najjaśniejsza...

Gdy słyszę „kresowy zaciąg”, uśmiecham się. Przypomina się stary dowcip kolejowy, w którym pasażer zapytany skąd pochodzi, bo tak ze wschodnia zaciąga, odpowiada: *A co, nie słysząc, że z Wrocławia?* Łezka w oku się pojawia, bo przecież ta kresowa mowa pomału zanika... Pięknie napisał o niej Leszek Długosz w *Odzie do mowy kresowej*: „Ty jesteś tu jak laur/Najtrudniej doniesiony”.

Cały utwór publikujemy na łamach pisma z nadzieją, że ten laur najtrudniej doniesiony nie zaniknie. Dopóki będą czytelnicy takich pism jak nasze, wrocławski „Semper Fidelis”, lwowski „Kurier Galicyjski” (i inne, o których piszemy niemal w każdym numerze), śpiewać i recytować poezje wielkich Kresowian będą „kuchani” artyści jak Wojciech Habela czy Adaśku Żurawski, a na falach eteru nadawać będzie nie tylko Radio Lwów, ale i Lwowska Fala Danuty Skalskiej w Radio Katowice – kresowa mowa nie zaniknie! Życzę Państwu interesującej lektury drugiego numeru w 2017 r. kwartalnika „Cracovia–Leopolis”.

Janusz M. Paluch

Apostoł Kazachstanu na bezkresach imperium

Niedziela 11 września 2016 r. w dzielnicach Kazachstanu miała bez wątpienia charakter bezprecedensowy. Tego dnia w katedrze Matki Boskiej Fatimskiej w Karagandzie legat papieski, prefekt Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, kard. Angelo Amato dokonał uroczystej beatyfikacji ks. Władysława Bukowińskiego – Apostoła Kazachstanu. Była to pierwsza w historii Kazachstanu beatyfikacja dokonana w tym kraju.

Proces kanonizacyjny ks. Władysława Bukowińskiego, na prośbę arcybiskupa Karagandy, ks. Jana Pawła Lengi, skierowaną do arcybiskupa metropolity krakowskiego, kard. Franciszka Macharskiego, rozpoczęty został w 2006 r. w Krakowie, w macierzystej jego diecezji, a zakończony na szczelbu diecezjalnym w 2008 r. Sesje procesu odbywały się także w Kazachstanie, w którym działał niestrudzony kapłan wbrew przeciwnościom i terrorowi narzuconemu wobec osób wierzących, a zwłaszcza duchownych, przez tamtejsze władze, narzucające z całą bezwzględnością system ateistycznej doktryny. Drugi etap procesu kanonizacyjnego prowadzony był przez Kongregację Spraw Kanonizacyjnych w Rzymie.

Czy w warunkach państwa sowieckiego, którego założeniem realizowanym z całą bezwzględnością była walka z Kościołem i przejawami religijności nie tylko w życiu społecznym, ale też indywidualnym i rodzinnym, mógł liczyć na wymierne efekty swej kapłańskiej posługi? Tych znaków zapytania w odniesieniu do życia i działalności Apostoła Kazachstanu stawiać można wiele. Jedno wydaje się poza jakimikolwiek sporam: wybitnie inteligentny, gruntownie wykształcony kapłan łączył okazywaną na co dzień dobroć i miłosierdzie z niewzruszoną wiernością wysokim standardom etycznym i religijnym w wymiarze heroicznym.

Urodził się 22 grudnia 1904 r. (wg kalendarza gregoriańskiego 4 stycznia 1905 r.) w Berdyczowie na ziemi kijowskiej. Miasto po II rozbiórze Rzeczypospolitej (1793) zostało włączone do Rosji. W Berdyczowie mieszkali w czasach dzieciństwa Bukowińskiego liczne skupiska ludności pochodzenia



Św. Władysław Bukowiński (1904–1973) *

żydowskiego (ponad 70% ogółu mieszkańców), był tam silny ośrodek chasydyzmu. Słynął Berdyczów z otoczonego wielkim kultem cudownego wizerunku Matki Bożej Berdyczowskiej, którego sanktuarium mieściło się w dawnym zamku Tyszkiewiczów, przebudowanym na uforyfikowany klasztor karmelitów bosych. Obok sławnego sanktuarium w 1850 r. niemały rozgłos zdobył też inny tamtejszy kościół św. Barbary – w jego bowiem murach odbył się ślub Eweliny Hańskiej i Honoré de Balzaca. Ten klimat kultury religijnej kresowego miasta i jego wielokulturowe bogactwo odegrały w życiu Władysława Bukowińskiego zasadniczą rolę zarówno w kształtowaniu jego postawy otwartości i tolerancji, jak i głębokiej religijności.

Ojciec Władysława, Cyprian, z wykształcenia agronom, był absolwentem renomowanej szkoły rolniczej w Dublanach pod Lwowem, pochodził z rodziny ziemiańskiej, matka – Jadwiga del Campo, ze spolszczonej rodziny o włoskim rodowodzie.

W 1920 r. Cyprian Bukowiński z rodziną – uchodząc przed inwazją bolszewicką, dotarł do Świącicy w Sandomierskiem do

majątku brata, Gustawa. Cyprian Bukowiński dzierżawił braterski majątek, a z czasem został zarządcą dóbr Potockich w Krzeszowicach i Pisarach.

Po maturze Władysław Bukowiński podjął studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, równoległe, w latach 1923–1925 odbywał na Wydziale Prawa UJ studia w ramach Polskiej Szkoły Nauk Politycznych, które ukończył z wyróżnieniem. W 1926 r. ukończył studia prawnicze. W okresie studiów intensywnie angażował się w działalność Akademickiego Koła Kresowego, skupiającego studentów pochodzących z Kresów Wschodnich. W latach 1925–1926 pracował także w redakcji krakowskiego „Czasu”.

Matką Władysława Bukowińskiego, Jadwigą Scipio del Campo, osierociła go i jego siostrę Irenę przedwcześnie, gdy Władysław miał 14 lat. Zmarła w Płoskwirowie (ob. Chmielnicki) i tam została pochowana. Z czasem Cyprian Bukowiński ożenił się z siostrą zmarłej żony, Wiktoria Scipio del Campo. Z tego związku urodził się przyrodni brat Władysława, Zygmunt. Rodzina pozostanie zawsze dla Władysława Bukowińskiego wielkim oparciem duchowym, będzie go wspierać w czasach jego ciężkich doświadczeń.

Miał już dyplom magistra prawa i możliwość pisania pracy doktorskiej, gdy podjął decyzję, z którą od jakiegoś czasu, zapewne od dwóch lat, się mierzył: jesienią 1926 r. wstąpił do krakowskiego Seminarium Duchownego i rozpoczął studia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Władysław Bukowiński wysoko cenił zdobyte na Wydziale Prawa UJ umiejętności, ale dostrzegał zasadnicze różnice między życiem w domu akademickim a w seminarium, podkreślał też, że właśnie fakultet teologiczny, ze swoimi rygorami i standardami życia, uformował go jako księdza i „przystojnemu, rozbawionemu studentkowi”, który potrafił być duszą towarzystwa i świetnie tańczył, dał stosowne motywacje duchowe.

Święcenia kapłańskie otrzymał w katedrze wawelskiej 28 czerwca 1931 r. z rąk księcia metropolity krakowskiego Adama Stefana Sapiehy. W kilka tygodni po święceniach objął obowiązki wikariusza w parafii w Rabce i katechety w tamtejszym gimnazjum, a po czteroletniej tam pracy, gdzie dał się poznać jako gorliwy kapłan i znakomity

nauczyciel, w 1935 r. został wikariuszem w Suchoj Beskidzkiej, gdzie w tamtejszej szkole powszechnej pełnił obowiązki katechety. W Suchoj Beskidzkiej sprawował z niełatwym zaangażowaniem opiekę nad osobami chorymi i biednymi, zorganizował akademickie stowarzyszenie „Odrodzenie”, grupujące młodzież studiującą w Krakowie, a pochodzącą z tamtejszych okolic.

W sierpniu 1936 r. za zgodą władz kościelnych wyjechał na Kresy Wschodnie, z którymi zawsze był emocjonalnie związany, i w Łucku na Wołyniu w tamtejszym Wyższym Seminarium Duchownym podjął wykłady z katechetyki i socjologii. Od 1938 r. był także sekretarzem diecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej i dyrektorem Wyższego Instytutu Wiedzy Religijnej oraz zastępcą redaktora „Życia Katolickiego”. 11 czerwca 1939 roku zwrócił się do arcybiskupa Adama Stefana Sapiehy z prośbą o udzielenie ekskardynacji z archidiecezji krakowskiej do diecezji łuckiej. Po wybuchu wojny biskup łucki Adolf Piotr Szelażek mianował go proboszczem parafii katedralnej w Łucku. Nie zważając na osobiste zagrożenie udzielał pomocy uciekinierom, tworzył sieć miejsc konspiracyjnego dożywiania oraz aprowizacji. W sierpniu 1940 r. został wraz z kilkoma księżmi aresztowany przez NKWD i osadzony w więzieniu w Łucku. W łuckim więzieniu, mieszczącym się w dawnym klasztorze brygidek, przebywał do 26 czerwca 1941 r. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej w czerwcu 1941 r. Sowietci przed swoją ucieczką z miasta wymordowali znaczną ilość ukraińskich i polskich więźniów. Ksiądz Władysław Bukowiński nieomal cudem uniknął wówczas śmierci, gdy raniony przez Rosjan osłonięty został trupami współwięźniów.

W okresie wojny aktywnie wspomagał uciekinierów i jeńców, organizował pomoc materialną, zwłaszcza żywność dla głodujących, z wielkim narażeniem własnego życia ratował żydowskie dzieci, rozdzielał je i ukrywał po klasztorach i parafiach. Podczas okupacji niemieckiej, od 27 czerwca 1941 do 3 stycznia 1945 r., pełniąc znów obowiązki proboszcza w katedrze łuckiej, prowadził systemowo zorganizowaną akcję pomocy osobom i rodzinom zagrożonym wywózkami, zorganizował w pomieszczeniach przykatedralnych szpital dla chorych dzieci, wspomagał m.in. dzięki heroiczne-

mu wsparciu przez tamtejsze zakony akcje dożywiania i stałej opieki dla osób dotkniętych głodem i groźbą wywózek. W 1942 r. z pomocą sióstr benedyktynek zorganizował dożywianie osadzonych w więzieniach jeńców. Do końca okupacji niemieckiej należał do najbliższych współpracowników biskupa łuckiego Adolfa Szelażka, uczestniczył jako człowiek najwyższego zaufania w wielu konspiracyjnych poczynaniach tego hierarchy na rzecz ludzi zagrożonych wojenną i nazistowską eksterminacją. W okresie wojny poznał bliżej i zaprzyjaźnił się z ks. Bronisławem Drzepeckim i ks. Józefem Kuczyńskim, którzy w ciężkich latach powojennych dzielili z nim będą w więzieniach i łagrach ciężkie prześladowania za pełnienie kapłańskich obowiązków, a później już w Kazachstanie będą współtworzyć trzon tamtejszego Kościoła Milczenia.

Po zajęciu Wołynia przez wojska sowieckie 4 stycznia 1945 r. został wraz z biskupem Adolfem Szelażkiem ponownie aresztowany i wywieziony do więzienia w Kijowie. Oskarżony o szpiegostwo na rzecz Watykanu, skazany został na 10 lat karnych obozów pracy: lata 1946–1950 spędził w obozach czelabińskich, następne 4 lata przebywał w kopalni miedzi w Dżezkazganie, położonym ok. 500 km na południowy wschód od Karagandy. Warunki pobytu, katorżnicza praca i wyniszczający niedostatek mocno nadwerzężyły jego stan zdrowia, nigdy już zdrowia nie odzyskał, ale nie zdołano go tam złamać psychicznie ani zgasić aposto-

skiego zapału. Od lipca 1946 r. do listopada roku następnego pracował w systemie zgoła niewolniczym przy wyrębie lasów i kopaniu rowów, w warunkach urągających ludzkiej godności, w głodzie i dotkliwym niedostatku żywności. Z obozu w Bakał na Uralu przewieziono ciężko schorowanego księdza do szpitala, w którym rozwinął pracę samokształceniową z więźniami, głównie w zakresie historii i filozofii, wypełniał też konspiracyjnie posługi kapłańskie. W Dieżkazganie, w centralnym Kazachstanie, pracował w straszliwych warunkach w kopalni miedzi.

Pracował tam na głębokości 300 metrów pod ziemią. Ładował zwykłą ręczną łopatą rudę miedzi na wózki. Każdego dnia norma wynosiła około 12 ton rudy. Tę wyniszczającą pracę ks. Bukowiński łączył z obowiązkami kapłańskimi. W chwilach wolnych, gdy współwięźniowie zmęczeni padali na prycze, odwiedzał chorych w więziennym szpitalu, udzielał sakramentów, prowadził – oczywiście konspiracyjnie – rekolekcje w różnych językach. Mówił biegle po rosyjsku, ukraińsku i niemiecku, znał także język łański. Każdy dzień zaczynał od mszy św., którą sprawował wówczas, gdy pozostali więźniowie jeszcze spali, klęcząc na pryczy, w obozowych łachmanach.

Zawsze szczególną troską otaczał dzieci i młodzież. Z myślą o młodych pokoleniach zesłańców w ostatnim roku pobytu w obozie w Dieżkazganie napisał z pamięci, bez możliwości korzystania z literatury historycznej, podręcznik dziejów Polski

– „Historia nauczycielką życia”. Z tego ręcznie przepisywanego podręcznika młodzież – dzieci polskich zesłańców, uczyły się ojczystych dziejów i solidarności z rodakami.

Po odbyciu kary więzienia w wysokości 9 lat, 7 miesięcy i 6 dni został ks. Władysław Bukowiński zwolniony z obozu, jednak z administracyjnym zesłaniem na trzy lata do Karagandy, z obowiązkiem



Pierwsza komunія święta w Karagandzie 15 sierpnia 1968 r.
Ks. Władysław Bukowiński z dziećmi*

pracy i comiesięcznego meldowania się oraz zakazem opuszczania miasta. Później pozostał w Karagandzie, gdzie zatrudnił się jako stróż nocny. Mieszkał w czteroosobowym pomieszczeniu w hotelu robotniczym. Był pierwszym księdzem katolickim, który przybył do Karagandy. Gdy poznał tam małe skupiska katolików, rozpoczął w warunkach konspiracyjnych działalność duszpasterską. Tamtejsi wierni, pozbawieni opieki duszpasterskiej, oczekiwali na możliwość spowiedzi czasami całe dziesięciolecia. W prywatnych domach, zazwyczaj pod osłoną nocy, przy szczelnie zastłoniętych oknach sprawował nabożeństwa, chrzcił, spowiadał, błogosławił związki małżeńskie. Z czasem corocznie w Karagandzie doprowadzał do I Komunii średnio dwieście dzieci.

W czerwcu 1955 roku odrzucił propozycję powrotu do Polski. Wśród osób zabiegających o powrót do Polski ciężko schowanego kapłana byli liczni jego znajomi i rodzina. Przyrodni brat ks. Władysława Bukowińskiego – Zygmunt, głęboko zaniepokojony o stan jego zdrowia i życie, widząc bezskuteczność swoich w tym względzie usilnych zabiegów, postanowił poprosić o pomoc samego prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego.

W odpowiedzi na list Zygmunta Bukowińskiego i zawarte w nim prośby prymas Polski Stefan Wyszyński w liście z 26 lutego 1957 r. pisał m.in.:

„Sam przecież Pan zdaje sobie sprawę z tego, czym jest kapłan dla ludzi wierzących, zwłaszcza w takiej sytuacji, w której pracuje Brat. Opuścić ludzi, a więc skazać ich na brak Eucharystii, Spowiedzi św., Sakramentu Chrztu św. – to rzecz straszna. Nawet mało gorliwy kapłan decyduje się na to z trudem. A cóż dopiero tak wspaniały Człowiek, jakim jest dobrze mi znany Brat Pana. Wydaje mi się, że szczęście z powrotu Brata dla Was obydwu byłoby trudne i krótkie. Brat miałby wyrzuty sumienia, że zostawił ludzi. A Pan – że stał się przyczyną osamotnienia ludzi. I dlatego wydaje mi się, że sprawę należy zostawić Bratu. Niech On sam rozstrzyga, gdyż sprawa dotyczy Jego kapłańskiego sumienia. Tego nie zastąpi najlepsze serce braterskie”¹.

A on zdecydował się właśnie, ze względu na większą swobodę docierania do społeczności katolickich rozproszonych po bezkre-

sach sowieckiego imperium, zostać obywatelem sowieckim. Decyzję tę wiązał z możliwością pozostania na stałe w Kazachstanie, wśród tamtejszych katolików.

W świadomości wielu Polaków już w XIX w. Kazachstan funkcjonował jako przedpiekle Sybiru. W tym ogromnym kraju – sowieckiej naówczas republice (2715 tys. km²) mniej niż 40% ogółu ludności stanowili Kazachowie, a wśród licznych mniejszości narodowych około 100-tysięczną grupę stanowili Polacy. Pierwsze większe skupiska katolików pojawiły się tam w XIX wieku. Stanowili je głównie polscy zesłańcy, którzy w kilku miejscowościach (m.in. Ałma-Acie, Pietropawłowsku czy Kustanaju) stworzyli pierwsze ośrodki życia religijnego. Kolejne grupy zesłańców polskich osiadły w Kazachstanie w latach 1936–1937, kiedy władze sowieckie, chcąc ostatecznie rozwiązać problem polskich mniejszości narodowych na Podolu oraz południowym Wołyniu, dokonały wywózek ludności polskiej z okolic Kamieńca Podolskiego, Berdyczowa, Winnicy, Płoskiorowa i innych miejscowości. Także w okresie II wojny światowej w latach 1940–1941 NKWD deportowało ze wschodnich rubieży II Rzeczypospolitej tysiące Polaków do Kazachstanu, a po wybuchu wojny III Rzeszy z ZSRR wywieziono tam z Powoźża kilkaset tysięcy Niemców. W przypadku zesłańców pochodzenia niemieckiego połowę z nich stanowili katolicy, a pozostałą część protestanci, głównie luteranie. W okresie powojennym, kiedy rozpoczynał tam konspiracyjną działalność duszpasterską ks. Władysław Bukowiński, katolickie społeczności Kazachstanu, rozproszone po oddalonych od siebie rejonach, stanowili głównie repatrianci niemieccy i polscy, przy znacznej przewadze Niemców. Już po wojnie na coraz szerszą skalę pojawiali się tam także katolicy z Ukrainy, obrządku wschodniego, których Kościół został na terenie ZSRR zdelegalizowany, a jego wyznawcy zostali włączeni oficjalnie decyzją niekanonicznego pseudosynodu „świętojurskiego” (1946) do prawosławia. W sowieckim Kazachstanie, mimo zwielokrotnionej w XX wieku liczby zesłańców – wyznawców katolicyzmu, ilość zorganizowanych miejsc kultu w stosunku do okresu przedrewolucyjnego (w czasach caratu było ich kilkanaście) nie tylko nie wzrosła, ale uległa pełnej likwidacji. Po

Nad grobem św. Władysława Bukowińskiego przy kościele w Karagandzie*

śmierci Stalina (1953), kiedy uwolniono tysiące więźniów, w tym także licznych księży katolickich, katolickie społeczności podjęły zabiegi o odzyskanie utraconych miejsc kultu bądź stworzenie nowych.

W maju 1956 r. ks. Władysław Bukowiński otrzymał paszport i odtąd mógł – przynajmniej formalnie – poruszać się po całym terytorium ZSRR. Rezygnując z dotychczasowej pracy stróża nocnego na budowie, zajął się już wyłącznie obowiązkami duszpasterskimi, które wykonywał bez obowiązującego tam pozwolenia, konspiracyjnie. Nie posiadając własnego mieszkania, zamieszkał gościnnie na peryferiach Karagandy u Polaków, Stanisława i Zuzanny Maderów. Na przedmieściach Karagandy, w budynku oficjalnie zakupionym, urządził ks. Bukowiński dla Polaków kaplicę. Była to skromna, niewielka salka. Poświęcił ją kolega i współwięzień ks. Bukowińskiego, ks. Józef Kuczyński. W kaplicy tej, poświęconej 26 czerwca 1956 r., sprawował ks. Bukowiński liturgię tylko przez jeden rok, bowiem władze nie wydały w tym względzie pozwolenia i dokonały zamknięcia jej już na początku lipca 1957 r. W latach 1957–1958 odbył pięć wypraw misyjnych w rejony, w których od lat kilkudziesięciu nie było katolickiego księdza. Wyprawy te trwały, z uwagi na potrzeby duszpasterskie, nawet do czterech miesięcy codziennej, niezmodernizowanej pracy misyjnej. Jednym z takich wyjazdów misyjnych była działalność duszpasterska (czerwiec 1957) w okolicach Ałma-Aty wśród polskich przesiedleńców, gdzie nigdy dotąd nie było kapłana.

W grudniu 1958 roku został aresztowany przez KGB jako „szpieg Watykanu”, który dokonał „nielegalnego otwarcia kościoła, agitacji religijnej wśród dzieci i młodzieży i przechowywania literatury antyradzieckiej”.

Ksiądz Władysław Bukowiński zrezygnował z obrońcy z urzędu, uznał bowiem, że jako prawnik najlepiej będzie bronił swoich racji sam. Nadto zbyt dobrze znał sowieckie realia, by wierzyć w skuteczność głosu obrońcy, w racjonalność podawanych argumentów, choćby były one najbardziej rzeczowe.

Do kwietnia 1961 r. przebywał w obozie pracy w Czunie w obwodzie irkuckim, gdzie pracował przy wyrębie lasów. Dla schorowanego, wyczerpanego kapłana były te warunki pracy oraz bytowania nader trudne.



Ze względu na obolałe i opuchnięte nogi zmuszony był używać butów o kilka numerów większych. Dolegliwości te stawały się coraz cięższe, zwłaszcza że warunki stawały się coraz dotkliwsze. W wielu tych trudach i uciążliwościach wspomagał go skierowany do tego samego obozu pracy we wrześniu 1959 roku ks. Bronisław Drzepecki. Od kwietnia 1961 roku do 3 grudnia przebywał w obozie pracy dla „religiozników” w Sosnowce w Republice Mordawskiej, położonej niedaleko od Moskwy. W obozie tym przebywali głównie więźniowie oskarżeni o działalność religijną. Przez kilka miesięcy warunki pracy i bytowania dzielił tam z zaprzyjaźnionymi z nim księżmi z diecezji łuckiej: B. Drzepeckim i J. Kuczyńskim, a także z kilkoma księżmi greckokatolickimi, którzy przebywali tam z greckokatolickim metropolitą lwowskim Josyfem Slipyjem, następcą władzy Andrzeja Szeptyckiego na świętojurskiej stolicy. Były to kontakty i wspólne uciążliwości doświadczaniem udreń cierpiącego Kościoła, ale i szkołą ekumenicznego zrozumienia, bowiem przebywali w tym obozie także duchowni prawosławni oraz wyznawcy innych religii – mormoni, buddyzm i buddyjscy oraz przedstawiciele rozlicznych sekt. Był to bodaj najłagodniejszy z łagrów, w których ks. Władysław Bukowiński był więziony na „nieludzkiej ziemi”, gdzie w więzieniach i obozach, przebywał łącznie 13 lat, pięć miesięcy i 10 dni.

Do Karagandy Bukowiński powrócił w grudniu 1961 r., wznawiając dla rozsiągniętych po całym Kazachstanie katolików swoją wciąż nielegalną działalność duszpasterską.

„Trzeba było – pisze ks. Jan Nowak – odnowić kontakty, ożywić życie religijne, zadbać o katechizację, gdyż poziom elementarnej wiedzy religijnej słabł z każdym rokiem. Pomimo solidnie nadszarpniętego

zdrowia ks. Władysław dwoił się i troił, aby sprostać wszystkim potrzebom. Po nocach słuchał Radia Watykańskiego nadającego audycje o trwającym wówczas Soborze Watykańskim II. Odbierał te audycje w językach nieznanych w Kazachstanie, których z tego powodu nikt nie zagłuszał (np. po łacinie)⁷².

Głównie z tak zasłyszanych informacji podawanych przez Radio Watykańskie, bo inne informacje do niego zasadniczo nie docierały, dowiadywał się o podejmowanej na soborze reformie liturgii, o dowartościowaniu w liturgii języków narodowych, które teraz coraz śmieiej zaczął tam wprowadzać w swojej duszpasterskiej praktyce. Bukowiński, nie mając możliwości legalizacji sprawowanych czynności duszpasterskich, powrócił po przyjeździe do Kazachstanu do zakazanych przez prawo praktyk „Kościoła domowego”. Jak poprzednio, w prywatnych domach chrzczył, odprawiał msze św., spowiadał, katechizował. W latach 60. władze nieformalnie zalegalizowały jego duszpasterską działalność. Nie mając oficjalnego pozwolenia na tę działalność, bo władze mu wciąż odmawiały „sprawki”, płacił stale podatek dochodowy od wykonywanych czynności sakralnych w wysokości natenczas niemalej, bo około 1000 rubli rocznie.

Mimo podupadającego zdrowia, w związku ze zgłaszanymi oczekiwaniami wiernych, podejmował liczne wyprawy misyjne, m.in. do Aktiubińska czy Semipałatyńska. Wspierał go w tym apostołskim zaangażowaniu wyrzucony przed kilku laty z probostwa w Równem na Wołyniu o. Serafin Kaszuba OFM Cap., bezdomny odtąd duszpasterz, który w 1963 r. przybył do Taińczy (Krasnoarmiejska) w Kazachstanie. Kazachstan, podobnie jak w przypadku ks. Bukowińskiego, stał się wielkim apostołskim wyzwaniem o. Serafina.

Szczególnie znacząca i trwalsza była pomoc ks. Aleksandra Chiry, kapłana grekokatolickiego, który po opuszczeniu łagru otrzymał konspiracyjnie sakrę biskupią. Wraz z biskupem Aleksandrem Chirą założyli trzeci zakon św. Franciszka, w którym obowiązywały śluby i formacja zakonna.

W 1965 r. ks. Władysław Bukowiński otrzymał pozwolenie na pierwszy wyjazd do Polski, by tam odwiedzić swoich krewnych. W czerwcu tego roku po niespełna trzydziestu latach odwiedził swoje strony – m.in. Rabkę i Suchą Beskidzką, gdzie spotkał się ze swoimi koleżankami i kolegami z czasów młodości, wychowankami gimnazjum, ze studiów uniwersyteckich, przyjaciółmi z Akademickiego Koła Kresowego i „Odrodzenia”, dawnymi parafianami z Łucka, z kolegami z więzień. Wzruszające były spotkania z rodziną i księżmi. Dzięki temu pobytowi w kraju o jego działalności na Kresach i w dalekim Kazachstanie było odtąd głośno w całej nieomal Polsce. Spotkał się z prymasem Polski kardynałem Stefanem Wyszyńskim, a także z metropolitą krakowskim ks. Karolem Wojtyłą, który poznanego właśnie wówczas ks. Bukowińskiego darzył szacunkiem, podziwiał jego duszpasterskie dokonania i wielokrotnie dawał wyrazy troski o tego niezłomnego kapłana.

Ksiądz Władysław Bukowiński podjął, nie zważając na opadające siły i postępującą chorobę, wyprawę misyjną do Tadżykistanu. Trwała ona ponad trzy miesiące (od grudnia 1967 r. do marca roku następnego). Był to jego ostatni tak forsowny i długi wyjazd misyjny. Mimo opadających sił uważał, że był to – jak wyznawał w liście do ks. Kuczyńskiego – jeden z najlepszych okresów w jego azjatyckim żywocie.

Nieogające się rany, będące rezultatem katorżniczych warunków w sowieckich łagrach, a także niewydolność serca nieumożliwiały mu podejmowanie bardziej forsownych wysiłków. Jesienią 1969 r. wyjechał ponownie do Polski. Miesiąc czasu poświęcił w Krynicy na leczenie i wypoczynek. W 1969 r. kardynał Karol Wojtyła podczas spotkania z ks. Władysławem Bukowińskim zachęcił schorowanego, ale pełnego wiary w nadzieje dla Kościoła na tych bezkresach imperium swobody funkcjonowania i wypełniania jego misji – do spisania osobistych wspomnień i doświadczeń Kościoła Milczenia.



Tak powstały *Wspomnienia z Kazachstanu*, wydane w podziemnych strukturach „Biblioteki Spotkań” w 1978 r., a więc w kilka lat po śmierci autora.

Do Kazachstanu powrócił 16 grudnia 1969 roku. Stałe pogarszająca się kondycja zdrowotna ks. Władysława Bukowińskiego spowodowała, że do Polski zdecydował się przyjechać raz jeszcze, w grudniu 1972 r. Odmrożone, opuchnięte nogi i stopy wymagały solidnego, długotrwałego leczenia, były bowiem przyczyną dotkliwego cierpienia. W Krakowie przyjęty został przez metropolitę Karola Wojtyłę, który nakłaniał ks. Bukowińskiego, by ze względu na zły stan zdrowia zdecydował się, przynajmniej na dłuższy czas, pozostać w Polsce, bo warunki pracy w Kazachstanie są dla niego wyniszczające. Ksiądz Bukowiński podkreślał w takich przypadkach, że leżący, schorowany kapłan też jest duszpasterzem. Jego ostatni czteromiesięczny pobyt w Polsce (18 grudnia 1972 – 19 kwietnia 1973) obejmował dwumiesięczny pobyt w szpitalu w Krakowie; po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat spędził święta Bożego Narodzenia nie z wiernymi „Kościoła Milczenia”, ale z rodziną. Na Wielkanoc, ponaglany listami katolików z Kazachstanu, był już w Karagandzie. Stan jego zdrowia, mimo solidnie prowadzonej kuracji w Polsce, ulegał systematycznemu pogorszeniu.

Gdy czuł nadchodzący schyłek życia, postanowił odwiedzić raz jeszcze rodzinne ziemie, w tym także Podole. Końcem października 1974 r. wyjechał na odpoczynek do Wierchowca. W domu ks. Józefa Kuczyńskiego w gronie kilku przyjaciół pragnął odbyć swoje rekolekcje. Na zaproszenie ks. Antoniego Chomickiego odwiedził Murafę, jedną z tych nielicznych parafii, która po bohatersku broniła swojego niezłomnego trwania przy Kościele. W Murafie przy gościnnym stole, podczas wspólnego obiadu, greckokatolicki ksiądz Eliaszk Głowacki dał przejmujące świadectwo jego kapłańskiego heroizmu:

„W tym piekle zła, niesprawiedliwości, krzywdy, bólu i cierpienia szukałem człowieka – wzoru dla siebie. Tym wzorem człowieka był dla mnie przez 9 lat w łagrach i pozostanie na zawsze tutaj obecny ks. Władysław Bukowiński. Wysoki, wychudły, w licej odzieży, lecz zawsze pogodny i uśmiechnięty (...) Ile światła, pociechy i siły

wlewały w nasze serca jego słowa, dzięki którym przetrwaliśmy. Nie tylko słowem głosił miłość, ale czynem praktykował ją na co dzień. Pomagał innym nosić drewno, dzielił się skromną porcją chleba, oddawał innym cieplejszą bieliznę, nie patrząc na narodowość lub pochodzenie. Kiedy bliżej go poznałem, starałem się go naśladować. Kontakty z nim podtrzymywały mnie na duchu, zrozumiałem wartość cierpienia, dzięki czemu nie załamane się – owszem, wzrosła we mnie wiara i nadzieja lepszego jutra”³.

Po tygodniowym pobycie w Murafie powrócił ks. Władysław Bukowiński do Wierchowca. Mimo uzasadnionych obaw, czy jego schorowany organizm podola trudom podróży, do Karagandy powrócił. 25 listopada odprawił ostatnią mszę świętą i z rąk ks. Aleksandra Chiry, swojego przyjaciela i spowiednika, przyjął ostatni sakrament. Tego samego dnia przewieziony został do szpitala. Lekarze nie dawali już nadziei na poprawę jego stanu zdrowia.

„Ksiądz Bukowiński zmarł w szpitalu w Karagandzie 3 grudnia 1973 r. Niemka Teresa Bitz, późniejsza siostra Klara, tak wspomina te chwile: – Ludzie, którzy przy nim byli, mówili, że modlił się przez całą noc, aż do piątej rano; potem nastąpił krwotok z ust i nosa, uniemożliwiający oddychanie, i to był koniec. Umarł z różańcem w dłoniach. (...) Pocieszałyśmy się: cóż, dla niego lepiej. Jego szala aż po brzegi pełna jest samych dobrych dzieł”⁴.

Uroczystościom pogrzebowym przewodniczył przybyły z Podola ks. Józef Kuczyński oraz niemiecki duchowny ks. Michał Köhler z Frunze. Uczestniczyli w nich duchowni różnych wyznań i tysiące osób. Był ten pogrzeb niezwykle manifestacją szacunku i uznania dla zmarłego w opinii świętości kapłana, jego niezłomnej chrześcijańskiej postawy, pełnej otwartości wobec ludzi różnych wyznań i nacji. Pochowano go na nowym cmentarzu w Karagandzie.

Grób ks. Władysława Bukowińskiego stał się rychło miejscem nie tylko pamięci o niezwykłym, charyzmatycznym kapłanie, ale i rozwijającego się kultu. Staraniem miejscowych katolików wzniesiony został nad mogiłą marmurowy pomnik z fotografią i napisem polskim, rosyjskim i niemieckim.

W trzy lata po śmierci ks. Władysława Bukowińskiego władze tamtejsze wydały

zezwoleń na budowę w Karagandzie kościoła. Wzniesiony kościół, który z czasem uzyskał godność katedry, poświęcił biskup Aleksander Chira. W okolicznościowym kazaniu podkreślił, że rzucane z ogromnym heroizmem przez ks. Bukowińskiego ziarna pszenicy musiały obumrzeć, aby – jak zapisane jest w Ewangelii – wydać plon stokrotny. W latach 90. XX w. doczesne szczątki ks. Bukowińskiego uroczystie przeniesione zostały wraz z pomnikiem i umieszczone w nowej mogile obok katedry w Karagandzie.

Postawy i motywów działalności apostołskiej ks. Władysława Bukowińskiego nie sposób sprowadzić do argumentacji o charakterze wyłącznie racjonalnym. Jego heroiczny wysiłek duszpasterski miał być – rzecz po ludzku i w tamtym totalitarnym systemie ujmując – roztrwoniony, zapomniany, nade wszystko odrzucony jako relikwiczek fałszywej świadomości. Według zapewnień I sekretarza Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, niejakiego Chruszczowa, z 1965 r. już w roku 1970 na terytorium całego ZSRR miało nie być ani jednego chrześcijanina. W rozległym Kazachstanie kilkadziesiąt prywatnych domów pełniło doraźnie w systemie konspiracyjnym funkcje kaplic – chatynek Bożych, do których docierali po kryjomu co jakiś czas księża. Ilu ich było? Kilku, czasem, po opuszczeniu łagrów i więzień – kilkunastu... Wśród nich rzeczywisty twórca i organizator struktur podziemnego Kościoła w Kazachstanie – ks. Władysław Bukowiński. Jeden z tych nielicznych tam ludzi, którzy zdołali, wbrew wszelkim przeciwnościom, zachować pokłady wolności wewnętrznej w totalitarnym systemie państwa, On – pierwszy błogosławiony tej ziemi, Polak z kresowego Berdyczowa, kapłan diecezji krakowskiej.

Przypisy:

- ¹ Cyt. za: Władysław Bukowiński, *Spotkałem człowieka*, Biały Dunajec–Ostróg 2001, s. 153
 - ² Ks. Jan Nowak, *Apostoł Kazachstanu. Ks. Władysław Bukowiński*, Biały Dunajec–Ostróg 2016, s. 30
 - ³ Op. cit., s. 38
 - ⁴ Adam Hlebowicz, *Domokrączka z Karagandy. Książka Władysław Bukowiński*, Biuletyn IPN nr 1–2 (134–135), styczeń–luty 2017
- * Fotografie pochodzą z tomu *Spotkałem człowieka. Ks. Władysław Bukowiński w pamięci wiernych i przyjaciół*, cześć 2, zebrał i opracował ks. Witold Józef Kowalów.

KRYSTYNA STAFIŃSKA

„I rozradują się poniżone kości”
(*Et exultabunt ossa humiliata*)

STANISŁAWÓW

– TRAGEDIA WOJENNEGO
SIERPANIA 1941 ROKU
i 75 LAT PÓŹNIEJ

Do historii polskiej martyrologii wpisał się Czarny Las – miejsce egzekucji elity stanisławowskiej inteligencji. Była to zbrodnia dokonana w bestialski sposób przez hitlerowskich oprawców, której celem było pozabawienie polskiego społeczeństwa sprawczej siły narodu, ludzi wykształconych – a zwłaszcza kadry nauczycielskiej – mogących oddziaływać na pokolenia w duchu wartości najwyższych, sprzecznych z ideologią zbrodniarzy.



Pomnik na Cmentarzu Ofiar Wojny w Czarnym Lesie ufundowany w 2011 r. (fot. Krystyna Stafińska)

Akcja gestapo w Stanisławowie w sierpniu 1941 roku, kiedy to aresztowano bez sądu kilkaset osób, wpisuje się w ciąg konsekwentnych działań operacji „Intelligenzaktion” – czyli akcji likwidacji „na miejscu” polskiej inteligencji, pozostałej jeszcze w mieście po okupacji sowieckiej i masowych deportacjach na Sybir i do Kazachstanu. Ofiarami w większości byli ludzie młodzi lub w średnim wieku, nasi rodzice, krewni, przyjaciele, nauczyciele szkół licealnych, gimnazjalnych i tzw. powszechnych, lekarze, inżynierowie, prawnicy, kupcy, księża – kwiat stanisławowskiej inteligencji.

Każdy z Nich miał swoje imię, twarz i historię, każdy zasługiwał na szacunek, na wszystko dobro, na jakie może zdobyć się człowiek.

Hitlerowcy mieli perfekcyjnie przygotowane listy osób do „likwidacji”. Nauczycieli perfidnie wezwano do siedziby gestapo mieszczącej się w gmachu Sądu Wojewódzkiego przy ulicy Bilińskiego, pod pretekstem konferencji na temat szkolnictwa na tym terenie, w związku ze zbliżającym się we wrześniu nowym rokiem szkolnym.

Całą akcją kierował najbardziej krwawy i sadystyczny szef gestapo w okupowanej Galicji Wschodniej – SS Hauptsturmführer Hans Krüger, ten sam, który miesiąc wcześniej był odpowiedzialny za rozstrzelanie polskich profesorów we Lwowie.

Aresztowanych i niejednokrotnie wcześniej torturowanych – przeważnie pod osłoną nocy – ciężarówkami pod plandekami wywożono około 10 km od Stanisławowa w okolice wsi Pawełcze do tzw. Czarnego Lasu. Tam przed egzekucją musieli wykopać zbiorowe groby, pozbawieni przyrodzonego człowiekowi prawa do godnej śmierci.

Mord ten był w czasach niemieckiej okupacji osłonięty głęboką tajemnicą. Tyle bowiem było interwencji z Europy, a szczególnie z Watykanu, po akcji „Sonderaktion Krakau” – kryptonim akcji aresztowania 6 listopada 1939 roku profesorów i wykładowców krakowskich uczelni UJ i AGH, a następnie wywiezionych do obozów Sachsenhausen-Oranienburg i Dachau, że gestapo postanowiło „te sprawy załatwić szybciej, sprawniej i bez rozgłosu”.

Zbrodniarze niemieccy i ich pomocnicy mieli poczucie bezkarności, utwierdzając tryumf zła i pogardy dla człowieka.



Rok 1941 – był to rok, kiedy starły się dwa totalitaryzmy, a dla Polaków, jakby nie dość było Sybiru, łagrów i bezprawia bolszewickiego, nadszedł terror faszystowski, a wraz z nim okrucieństwo jawne i mordy skrytobójcze.

Po wojnie znów terror czerwony, masowy exodus, opuszczenie domów i ukochanej rodzinnej ziemi.

I kiedy wydawało się, że nikt nie upomni się o Ofiary, że trawą i lasem zarosną miejsca masowych straceń, w latach 80. udało się odkryć straszną i bolesną prawdę o zbrodni w Czarnym Lesie.

O krzywdzie wyrządzonej Polakom w Czarnym Lesie, a także na nieludzkiej ziemi Sybiru, w łagrach, obozach koncentracyjnych, zabitych na wojennym szlaku i skrytobójczo można było już mówić w świetle dnia, pełnym głosem.

Ofiarom męczeńskiej śmierci – z początkiem lat 90. – nieliczna polska społeczność Stanisławowa, wspomagana przez Krakowskie Koło Stanisławowian, przy bezinteresownej pomocy pracowników „Energopolu” i finansowym wsparciu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, wzniosła w Czarnym Lesie pomnik-kurhan z kamienia trembowelskiego, zwieńczony żelaznym krzyżem z cierniową koroną i opatrzony inskrypcją, że jest to „miejsce poświęcone krwią mieszkańców Stanisławowa i okolic zamordowanych przez hitlerowców w sierpniu 1941 roku”.

Cały teren, częściowo uporządkowany, nie został jednak ogrodzony i nie miał oficjalnego statusu cmentarza. Do Czarnego Lasu zbliżyły się tereny giełdy samochodowej i zachodziła obawa, czy nie zagrazi prowizorycznemu cmentarzowi bez zabezpieczeń formalno-prawnych.

W roku 2011 minęło 70 lat od tragicznych wydarzeń wojennego sierpnia. Głównie staraniem Towarzystwa Kultury Polskiej



Cmentarz w Czarnym Lesie, orkiestra reprezentacyjna WP. Na pierwszym planie (po lewej) sekr. ROPWiM Andrzej Kunert (fot. Krystyna Stafińska, 2016 r.)

By obłąkana ideologia faszystowska, która pozostawiła morze cierpień, nie powtórzyła się NIGDY WIĘCEJ! Aby zawołać „Nigdy więcej strasznej pogardy dla człowieka”.

Obchody rocznicowe uświetnione asystą honorową Wojska Polskiego odbyły się 6 sierpnia 2016 r. i miały charakter oficjalny i bardzo uroczysty.

Zostały rozpoczęte wykonaniem przez orkiestrę wojskową hymnów narodowych Polski i Ukrainy.

Nie potrafię oddać słowami wzruszenia, jakiego doznaliśmy po fakcie odegrania po raz pierwszy po 75 latach w tym miejscu pogardy i kaźni polskiej elity intelektualnej Stanisławowa – narodowego hymnu Polski!

Major WP (w cywilu) prowadzący uroczystość personalnie powitał oficjalnych gości, a następnie w treściwym przemówieniu nakreślił cel i powód spotkania na Cmentarzu w Czarnym Lesie.

W uroczystości uczestniczyli: Andrzej Kunert – sekretarz (w latach 2010–2016) Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Wiesław Mazur – konsul generalny RP we Lwowie, Jan Sroka – radca ministra ds. kombatanów i osób represjonowanych (notabene z Krakowa), delegacja Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, przedstawiciele Iwanofrankiwskiej Rady Miejskiej i Obwodowej Administracji Państwowej.

Jak prawie corocznie od ćwierćwiecza – Krakowskie Koło Stanisławowian zorganizowało zbiorowy wyjazd z udziałem rodzin Ofiar z Gliwic, Tarnowa, Wrocławia, Warszawy i spoza kraju. Przybyła również delegacja z Opola oraz Polacy ze Lwowa i Stanisławowa.

Uroczystą żałobną mszę św. w intencji Ofiar odprawili ks. Kazimierz Halimurka i ks. Bazyli Pawełko – byli proboszczowie, oraz ks. Władysław Iwaszczak – obecny proboszcz parafii pw. Chrystusa Króla w Stanisławowie.

Modliliśmy się, by nigdy w historii nie wydarzyła się podobna tragedia, by Bóg w swoim miłosierdziu dał nam łaskę budowania przyszłości na trwałych podstawach prawdy, ładu moralnego, miłości i między-ludzkiej solidarności.

„Przyjaźń” w Stanisławowie, przy wydatnym wsparciu gubernatora obwodu iwanofrankiwskiego (w 1962 roku rozkazem N. Chruszczowa zmieniono nazwę miasta na Iwanofrankiwskie) i sfinansowaniu przez ROPWiM w Czarnym Lesie na miejscu poprzedniego stanął nowy granitowy pomnik w kształcie Krzyża ze stosowną inskrypcją w języku polskim i ukraińskim: „Pamięci przedstawicieli polskiej inteligencji Stanisławowa i okolic pomordowanych przez hitlerowców w sierpniu 1941 roku”. Pomnik otoczony jest granitowym okręgiem o średnicy około 5 metrów, do którego przytwierdzono kamienne tablice z nazwiskami zamordowanych w języku polskim. I nareszcie Ofiary hitlerowskich zbrodni przestały być anonimowe!

W świadomości Polaków, ale również mieszkańców tej ziemi, suchy język historycznych faktów mordownia Niewinnych przełożony został na odczucie jednostkowego bólu, krzyku i cierpienia, które były ich udziałem.

Teren około 1,8 ha został odwodniony, ogrodzony i uporządkowany – obecnie 17 grobów. Uzyskał też prawny status Cmentarza Ofiar Wojny. Teoretycznie podlega opiece lokalnej administracji, a faktycznie bardzo ofiarnie opiekują się tym miejscem członkowie TKP „Przyjaźń”. Od strony szosy w głąb lasu pod pomnik prowadzi utwardzona i wybrukowana droga.

Czas niespodziewanie szybko płynie i w ubiegłym roku w sierpniu minęła kolejna, już 75. rocznica męczeńskiej śmierci Ofiar masowych straceń. My, dzieci, uczniowie, krewni i przyjaciele Pomordowanych, przyjeżdżamy tu z całej Polski od ponad 25 lat, aby uczcić „poniżone kości”, aby naszą obecnością powiedzieć:

PAMIĘTAMY!

Po okolicznościowych przemówieniach przedstawiciela rodzin Pomordowanych, przedstawicieli władz polskich i ukraińskich oraz wyrazach podziękowania Towarzystwu Kultury Polskiej „Przyjaźń” za nieustające starania dotyczące spraw Cmentarza w Czarnym Lesie i zorganizowanie tej Uroczystości został odczytany Apel Poległych, a kompania reprezentacyjna WP oddała salwę honorową.

Odgłos wystrzałów nieodparcie poruszył wyobraźnię i wczuliśmy się w mękę, żal, ból, przerażenie... rozstrzeliwanych tutaj Ofiar.

Na zakończenie przedstawiciele delegacji złożyli wieńce i zapalili znicze przy pomniku, kamiennych tablicach i grobach na terenie całego Cmentarza. Od krakowskiej delegacji złożyliśmy kosz białych i czerwonych róż z szarfą „Pamięcią wierni – Stanisławowianie”.



Cmentarz w Czarnym Lesie. Salwa honorowa kompanii reprezentacyjnej WP. 2016 r. (fot. Jerzy Hickiewicz)

Był pogodny, słoneczny dzień, lekki zefirek poruszał liśćmi drzew. Ich cichy szum nasunął myśli, że może wiele z tych drzew, które tu jeszcze rosną, były świadkami ostatnich chwil naszych Bliskich.

Może niektóre z nich, jeszcze jako małe siewki, czerpały soki z ziemi przesiąkniętej Ich krwią....

Na pomniku znajdują się słowa Adama Mickiewicza „Jeżeli zapomnę o Nich, Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie”.

To narodowe przesłanie zobowiązuje kolejne pokolenia – a teraz nas – do „żywej pamięci”. I to zobowiązanie pamięci pozostawiamy przyszłym pokoleniom w niepisanym testamencie spoczywających tu Ofiar – jako memento!

Co my – uczestnicy Uroczystości w Czarnym Lesie, upamiętniającej 75. rocznicę zagłady intelektualnej elity Stanisławowa – możemy powiedzieć w takich chwilach?

Oddać Ich cierpienie, Ich ofiarę Bogu i myślą przytulić się do Ich biednych szczątków... z nadzieją, że ofiara Ich życia nie poszła na marne i miłosierny Bóg sprawi, że nigdy już nie dojdzie do głosu haniebna nienawiść, bratobójcze zbrodnie i obłąkana przemoc.

*Każdemu daj śmierć jego własną, Panie.
Daj umieranie, co wynika z życia,
Gdzie miał swą miłość, cel i biedowanie.*

R.M. Rilke

CZTERY DNI W AUTOMOBILU

Drogi i bezdroża II RP (fot. arch.)



W połowie lat dwudziestych ubiegłego wieku (raptem blisko sto lat temu), gdy na ulicach Lwowa ciągle jeszcze samochód stanowił atrakcję, a codziennością były pocziwe dorożki, w poetyckiej kronice codziennego lwowskiego życia młody poeta, Jan Zahradnik, poświęcał samochodom satyryczne wiersze. *Za miasto sam na sam, Miłość i auto, Ludzie i auta, Lwowskie auta* wciąż jeszcze nie tracą aktualności, podczas gdy wiersz o daremnym poszukiwaniu taksówki (*Auto-taxi*) na postojach przy placu Mariackim, ulicy Legionów, placu Bernardyńskim i na Gródeckim jest już zrozumiały tylko dla tych, którzy daremnie usiłowali zdobyć taksówkę w Krakowie w latach – jeszcze – osiemdziesiątych... Wtedy jednak już nikt wierszy o autach nie pisywał ani tym bardziej nie używał w odniesieniu do nich tak wysokobrzmiących fraz:

*Dobrze zasłużył sobie na wawrzyny
Ten znakomity ludzkości dobrodziej,
Który z metalu stworzył i benzyny
Rącznego konia, co na kołach chodzi.*

Wycieczka autem, zaproponowana młodemu poecie w czerwcu 1924 r., musiała

stanowić więc atrakcję. Zorganizowała ją Dykcja Robót Publicznych we Lwowie, celem było obejrzenie dróg i mostów na trasie wiodącej przez Jaworów, Przemyśl, Krosno, Duklę, Sambor i Stryj. Inżynierowie prowadzili swoje prace, Zahradnik zaś – opisał podróż w trzydziściowym felietonie, opublikowanym następnie w „Słowie Polskim” w dniach 4–6 lipca 1924 r. W tekście przewijają się opisy dróg i mostów, zwiedzanych miejscowości i goszczących ich domów. Wśród nazwisk gospodarzy lub uczestników wycieczki napotykamy m.in. Augusta Krasickiego (1873–1946), ziemianina, polityka, oficera WP i zasłużonego działacza społecznego, który nie tylko odbudował zamek w Lesku, ale też prowadził poważne badania botaniczne; Jana Gorayskiego, syna marszałka pow. krośnieńskiego, Augusta; inżyniera Emila Bratro (1878–1944), znawcę budownictwa drogowego, profesora Politechniki Lwowskiej, wreszcie braci Groedlów, znakomitych przedsiębiorców i twórców wielkiej firmy drzewno-mieblarskiej, która wywarła też wielki wpływ na rozwój Skolego i okolicy.

Warto tę relację, spisana przez początkującego wówczas dziennikarza – 20-letniego Jana Zahradnika – przeczytać, zarówno

z uwagi na zapomniane już ówczesne realia (ciekawość granicy, kłody toczone przez miejscowych na szosę jako protest przeciw ruchowi samochodowemu), jak i z uwagi na niezmiennie aktualny problem braku funduszy na drogową infrastrukturę.

Karolina Grodziska

I
Janów, Dobrostańska Wola, Jaworów, Jarosław, Przeworsk, Przemyśl, Krosno, Dukla, Sanok, Lesko, Sambor, Stryj – to są ważniejsze miejscowości, przez które po dwakroć dotarłszy do granicy czechosłowackiej przejeżdżaliśmy w czterech dniach, trzema autami, celem obejrzenia dróg i mostów powierzonych opiece Dyrekcji Robót Publicznych we Lwowie, na zaproszenie tejże dyrekcji, tj. dyr. inż. Rogozińskiego i naczelnika inż. Bratro [...]

Wyjechaliśmy ze Lwowa w ub. środę ósma rano. Pogoda przyjemna aż do końca wycieczki, gospodarze i inicjatorowie również, droga zupełnie gładka. Zatrzymujemy się przed wojennym cmentarzem janowskim, najpiękniejszym może ze wszystkich we wschodniej Małopolsce i takim, który nie ma nic w sobie cmentarnego, tylko bujną roślinność (żeby mnie kto zabił, nie pamiętam, jakie drzewa tam rosną, wiem tylko, że jest bardzo zielono) i dużo poziomek. Istny park, tem ładniejszy, że trochę dziki. Z żyjących korzysta z niego, zdaje się, tylko dróżnik tamtejszy, zamieszkały tuż przy cmentarzu. Ale nie mamy czasu na dłuższą, po tym ślicznym, choć małym parku przechadzkę. Drogą gęsto obsadzoną drzewami, które nagle z lewej strony w las się zmieniają, zajeżdżamy do Woli Dobrostańskiej, gdzie pokazują nam olbrzymie tłoki pompy i dają do picia dobrostańską wodę „prosto od krowy”, wyborną: wprowadzie niektórzy uczestnicy wycieczki woleliby piłznera, ale trudno, dobrostańskie zbiorniki nie dostarczają go...

Do Jaworowa jedzie się pośród niezalesionych zupełnie równin, potem wpada się w sidła inż. Skórskiego, naczelnika powiatu drogowego, który podejmuje gości w taki sposób, jakby już na całe życie chciał napoić i pożywić; po śniadaniu pokazują nam wielki ponury budynek. Ma to być mennica z czasów Jana Sobieskiego, obecnie przemieniona na więzienie. Podziemia i niezwyklej gru-

bości mury budynku rzeczywiście wskazują na zamierzcze jego pochodzenie; warto by zwrócić się do p. Janusza we Lwowie, aby osądził, czy budowla ta, jako zabytek przeszłości (bo artystycznie nie pociąga zupełnie), godna jest starannejszej opieki, a może restauracji. Starosta jaworowski p. Chmielewski opowiadając o strasznych spustoszeniach, jakie tegoroczna wiosna poczyniła w powiecie (zniszczonych 16 000 morgów zasiewu, 67 stodół itd.), dalej o tym, że wojewoda udzielił zasiłku śmiesznie nieproporcjonalnego w stosunku do owych strat, w końcu wyliczając piekące potrzeby powiatu (konieczne są, zdaniem starosty, ulgi podatkowe dla tułtejszego drobnego przemysłu, dostarczenie nasion, pomoc doraźna rządowi i pożyczka banku rolnego), prowadzi nas do Państwowej Szkoły Przemysłu Drzewnego, gdzie poza ciekawymi i nierzadko artystycznie udanymi pracami uczniów, rzuca się w oczy ogromne zniszczenie całego gmachu: są to skutki burzy gradowej sprzed półtora miesiąca. Szyby pobite, tynk ze ścian obleciał prawie do szczętu, dach przecieka jak sito. Aż dziw, że tyle dziur mieści się w jednym budynku!

II

W Jarosławiu, gdzie zatrzymujemy się na nocleg, oglądamy wielki, świeżo wybudowany z drzewa most na Sanie systemu Richtera. Przesła o rozpiętości przeszło 40 metrów, w belkowaniu siła ogromna i staranne nadzwyczaj wykończenie. Oprowadzają nas potem po klasztorze św. Anny, w częściach mieszkalnych zajętych przez wojsko; na restaurację kościoła i klasztoru łożą władze wojskowe, ale robota, zdaje się, idzie bardzo powoli i prowadzona jest bez planu, nie wiadomo, jakim celom olbrzymie te zabudowania mają służyć w przyszłości. Na razie mało są wyzyskane.

Bezdroża II RP. (fot. arch.)



Zbaczamy do przeworskiej cukrowni. Pora już późna, fabryka nieczynna. Przewodnik nasz, dyrektor cukrowni, co chwilę przerywa wykład bardzo fachowy jakimś dyspozycjami, tyjącymi się kozy, która objada mu dzikie wino oplatające mury fabryki. Trudno się zorientować, kiedy mowa o kozie, a kiedy o sposobie wytwarzania cukru z buraków.

Następnie przeprawa promem przez Wisłok, potem oględziny mostu pod Tryńcą: gościniec, a raczej dróżka do nowego mostu wiodąca, utrzymywana przez Wydział Samorządowy, więcej i większe posiada dziury niż gmach Szkoły Przemysłu Drzewnego w Jaworowie, podczas gdy drogi, które przebywaliśmy dotychczas autem, są tak równe i gładkie, że można by je obdzielić tymi wszystkimi wybojami i niewiele by im to zaszkodziło.

Z Jarosławia na drugi dzień rano do Krosna. Zaczyna się Podkarpacie. Góry, jak ogromne piece zielone, w południe dobrze słońcem nagrzone, droga, choć nie zawsze dla auta bezpieczna, śliczna, jak biały gzyms obwija zбочa łukiem serpentyny. W Domaradzu śniadanie u inż. Kleinera, który drogami w powiecie krośnieńskim tak dbale i energicznie zawiaduje.

Na chwilę zatrzymujemy się w Miejscu Piastowem. Te dwa wielkie budynki, do których dojeżdża się aleją orzechową, to Zakład Wychowawczy Towarzystwa Powściągliwość i Praca, założony w r. 1892 przez ks. Markiewicza, prowadzony obecnie przez ks. Sobczaka. Rzecz naprawdę godna widzenia i nie tylko widzenia, ale i poparcia społeczeństwa, bo wszystko tam mają, oprócz – pieniędzy. Stalarnia, drukar-

nia, introligatornia, piekarnia (dla własnego użytku), wszelakiego rodzaju rzemiosła, do których przyucza się od małego sieroty oddane tam na wychowanie i utrzymanie. Po wyjściu z zakładu mają chleb w ręku. Wyroby skórne i drzewne (nawet meble) naprawdę wprawiają w podziw. Prawie każdy z wycieczkowców [!] zakupił w zakładzie tym jakiś drobniaczek, przeważnie pularesy lub torby podróżne. Szkoda, że czas nie pozwolił na dłuższy pobyt w tej małej i przez małych pracowników obsługiwanej fabryce, gdzie każda niemal gałąź przemysłu i każde rzemiosło jest reprezentowane. Wsiadamy do aut przy dźwiękach doskonale zgranej orkiestry zakładowej. Instrumenty dęte, muzycanci łącznie z kapelmistrzem w wieku od 8 do 14 lat. Szczęść im Boże, a ludzi pomóżcie!

Po obiedzie, wydanym w Krośnie przez marszałka powiatu p. Gorayskiego, zwiedzamy szyby naftowe. Wiercenia dochodzą obecnie do siedmiuset metrów w głąb ziemi, nafta ma się znajdować w głębokości dziewięciuset metrów. Kopalnie w Winnicy natomiast produkują gaz ziemny w znacznej ilości. O szóstej pijemy herbatę u marszałka Gorayskiego w domu. Rozkoszny pałacyk, w salonie biją w oczy wspaniałe perskie dywany, okolica sama jak bezcenny dywan perski.

Pod wieczór wyprawa na granicę czechosłowacką. Odrabiamy po osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Nagle przed jakimś mostem auto staje.

– Kredyty! – wzdycha siedzący obok mnie dyr. Rogoziński.

– Co to? Miejscowość tak się dziwnie nazywa? – pytam.

– Nie miejscowość, panie, tylko most szwankuje, a nie ma pieniędzy na odbudowę. Potrzeba nam kredytów i tak dużych, bo takich kulawych mostów pełno w Małopolsce, zwłaszcza po tej ostatniej fatalnej wiośnie.

III

Do Przelęczy Dukielskiej jedzie się śliczną, na pół dziką okolicą. Cywilizowany jest tylko gościniec, stromy wprawdzie, ale gładki i miękki, aksamit – nie droga. Na granicy nie ma ani jednego Czecha, a wszyscy chcieliby go zobaczyć, niby jakie *curiosum*, które ma głowę np. całkiem



gdzie indziej niż reszta ludzi. A jednak mają oni głowy na karku mocno osadzone.

Powrót odbywa się w ciemnościach. Po godzinnej jeździe szofer wstrzymuje auto, z całym rozpadem biegnące ze stromej góry. Cóż się okazuje? Leży w poprzek gościńca olbrzymia belka, przez chłopów, którzy aut nienawidzą, podłożona. Bardzo dowcipny sposób unieszkodliwienia wrogów. Następny automobil, zaopatrzony w słabsze światła niż nasz, wpadł na tę kłodę, bo ją chlopi, jako ludzie konsekwentni, drugi raz podłożyli. Na szczęście nikomu nic się nie stało (widocznie belka była dostatecznie gruba), mieli tylko większy apetyt przy kolacji.

W piątek przez Sanok i Zaslów (ogładamy doskonale most na Oslawie, wzniesiony przez inż. Radoszyńskiego, i fabrykę celulozy i papieru jeszcze niewykończoną) do Liska, a raczej Leska, bo tak miasteczko to czysto po polsku się nazywa, nazwy tej trzyma się do dzisiaj ordynat Krasicki, który zaprosił nas do swego zamku na śniadanie. Co tam śniadanie! Park tuż nad Sanem – równie pięknego nie tylko ja, ale ludzie, którzy bez porównania więcej ode mnie widzieli, nie znają – na szczycie z lewej strony zamek, z prawej aleja lipowa kolisto zamknięta – istna nawa romańskiego kościoła, w zamku cenna biblioteka (książki przeważnie z XVIII i XVII wieku), portrety rodzinne, m.in. księcia biskupa warmińskiego (jeden z lat chłopięcych, drugi w pontyfikalnym stroju), dalej portret Kościuszki i księcia Józefa pędzla Bacciarellego. Na parę dni przed nami był tu – kto? Któżby, jak nie Stanisław Wasylewski. Posiedział, pooglądał, porobił mnóstwo notatek i wyciągów, i wyjechał. Będziemy mieli wkrótce nową książkę – może o księciu biskupie? Czekamy niecierpliwie.

Pożegnawszy hr. Krasickiego, szybujemy przez Sambor do Stryja. Po drodze śliczny, koronkowej roboty most w Barechach na Strwiążu, żelazo-beton. Po drodze także przejeżdżamy w bród przez jakąś rzekę, bo most jeszcze w trakcie budowy. – Kredyty! – jęczy znowu, ale bardzo już głośno, dyrektor robót publicznych. Istny maniak, chce mieć wszędzie dobre mosty.

W Stryju kolacja u inż. Kwaka. Podczas kolacji, jako specjalne danie, ciekawe dosyć wiadomości z „życia artystycznego” Stryja: oto Sokół tamtejszy wydzierzawia kino czte-

rem kolejarzom, którzy afisze każą drukować – po żydowsku (tak!). Wprowadzie starosta, p. Nowak, urzędnik sprężysty i inteligentny, człowiek dobrej woli, ubolewa nad tym silnie, cóż jednak pocnie. Starostwo to nie kino. Głowa powiatu nie ma w tych sprawach ingerencji. Ale inni?

Rano, w ostatni dzień podróży, niby na deser przełęcz Beskidu. Wzdłuż Stryja jedziemy wolno i chwiejnie, bo droga tego roku na wiosnę przez rzekę zerwana: kredyty, kredyty! Mijamy Skole i jesteśmy za granicą: zaczyna się mianowicie „Państwo Skole” braci Groedlów, najładniejsze państwo, jakie w życiu widziałem – i nie tylko ja, ale także ludzie, którzy mieli sposobność więcej ode mnie zobaczyć. Kilka mostów prowizorycznych (w Świętosławiu na Orawie, w Synowódzku), kilka pagórków i jeden olbrzymi las świerkowy. Wspinamy się z wielkim bardzo trudem i bardzo niewielkim bezpieczeństwem na wysokość tysiąca metrów (Łysa Góra) i na granicy czechosłowackiej pijemy wino, podane przez Żyda z tamtej strony granicy, który uświadamia nas, że język czeski znamy doskonale. Powiada bowiem ten Czech do swojej córki:
Sure! Bring noch a Glas Wein!

Wdaję się w rozmowę z granicznym komisarzem celnym. Służbę ma zaiste ciężką: przemierza dziennie po kilkadziesiąt do stu kilometrów, kontrolując strażników, którym również ogromne przestrzenie oddano pod nadzór.

Czas nagli, obiad w Stryju czeka. Po obiedzie – powrót. Godzina jazdy i wyrastają przed nami lasy: buki i dębina. Jesteśmy więc pod Lwowem.

Zjeżdżiliśmy mnóstwo dróg, zwiedziliśmy mnóstwo miejscowości, ogłędaliśmy szereg mostów. Drogi nie tylko solidnie zbudowane, ale utrzymywane z czujną pieczołowitością, czego najlepszym dowodem fakt, że dwa auta doskonale wytrzymały podróż do końca: jedno firmy Grey, własność Dyrekcji Robót Publicznych, drugie Studebacker. Trzecie zatrzymało się w Samborze, nie z winy złego gościńca oczywiście, tylko skutkiem defektu w motorze. Mosty – te, które już wykończono (Jarosław, Przemyśl – most żelazny na Sanie, Berechy itd.) – dają zupełną gwarancję bezpieczeństwa i trwałości, o ile ma się rozumieć, materiał był odpowiedni, Reszta – wymaga pieniędzy. Kredyty! Fundusze!

Zegar – Przeznaczenie

(Część I)

Słuchając z zapartym tchem wspomnień mojego ojca Mariana Wasilewskiego o jego Bolechowie z lat przedwojennych, wielokrotnie namawiałem go do spisania ich, *by ocalić to od zapomnienia*. Bardzo mu jestem wdzięczny, że tego dokonał¹. Wśród tych opowieści szczególnie mnie zafascynował epizod dotyczący jego ojca (a mojego dziadka) Wiktora, który będąc emerytem-amatorem skonstruował i wystawił wielki zegar na Powszechnej Wystawie Krajowej we Lwowie w 1894 roku. Oddajmy więc głos Marianowi, który tak opisuje genezę konstrukcji tego zegara po tym, jak Wiktor stracił pracę kontrolera skarbowego.

* * *

Po takim uderzeniu losu postanowił ojciec wracać z tego Zachodu (Myślenice, Gorlice na trasie Kraków–Zakopane – przyp. TW) na wschód. Nie wiadomo, co wpłynęło na wybór miejscowości, może przypadek, ale osiedlił się w Stryju (21 kilometrów od rodzinnego Bolechowa) i żył z oszczędności, które powinny były być znaczne, jako że był bardzo oszczędny. Było to około roku 1885, więc za okres około lat 15 otrzymywał małą jakąś emeryturę mając lat około 37. Ponieważ, jak się rzekło, majsterkować lubił, a przy tym kultywował „sztuki piękne”, zapalał (skłonnością – przyp. TW) do rzeźby. Czy przypadkiem, czy zamierzając zadzierzgnąć (odpowiednie – przyp. TW) stosunki, wszedł w kontakt z kamieniarzem pochodzenia włoskiego rzeźbiącym dla zamawiających nagrobki z kamienia. Zapoznał się więc z techniką odwzorowania rysunku w kamieniu. Przez czas nauki koncyptował dzieło, które wkrótce miało całkowicie zmienić jego los. Zakiełkował bowiem w jego głowie pomysł wykonania zegara szafkowego o bardzo dużych wymiarach (... z takim mechanizmem – przyp. TW), aby pokazywał poza godzinami jeszcze fazy księżyca. Wykonanie obejmowało więc i mechanizmy. Praca rozłożona była na lata, a przeznaczeniem

jej była Wystawa Krajowa we Lwowie, która była zapowiedziana na rok 1894, a więc na około 9 lat naprzód. Systematyczne (wykonywanie – przyp. TW) częściowych planów nie przeszkadzało mu w kontynuowaniu zaczętych na zachodzie studiów nad różnymi zagadnieniami, jak teoria Darwina o pochodzeniu gatunków (w tym człowieka) czy życie zwierząt. Jeżeli o te ostatnie chodzi, chował u siebie w mieszkaniu różne ptaki, takie jak skowronki, dla których robił specjalne klatki z płóciennym sufitem, aby sobie nie obcierały łebków o druty. Trzymał też na półwolności zażyłego z nim szpaczka, który siadał na nim, gdy (Wiktor – przyp. TW) odpoczywał na otomanie i bawił się dewizką z zegarka, lub zaglądał mu do ucha, po czym zrywał się z krzykiem i siadał wysoko na szafie. O wielorakich zainteresowaniach świadczy fakt, iż znalazły się na strychu w Bolechowie rysunki do wykonania ze sklejki różnych cacek w rodzaju obudowy szklanego wazonu lub chińskiego domku. Rysunki pochodziły z Włoch (Mediolan, do którego wzdychałem, i sprawdziło się to potem za 20 lat). Widocznie adres dostał od rzeźbiarza-Włocha, u którego praktykował. Zachowały się też piłeczki do „laubzegi” oraz wiele dłutek i innych narzędzi do obróbki drewna, bo miał warsztatik do robót stolarskich. Wszystko to oglądałem (i tego używałem) w Bolechowie. W Stryju nie zawierał już znajomości, bo cały czas poświęcał swoim *hobby* i budowaniu zegara.

Wreszcie nadszedł czas wystawy, na której wystawiony zegar zrobił „furore”. Był to bowiem okaz 4 metry wysoki, 5 metrów długi i 90 cm głęboki, z umieszczoną w części centralnej tarczą, w której oprócz wyłączanych rzymskich cyfr dla godzin tkwiła u boku Chronosa (postać z mitologii greckiej) oś obracająca wskazówki (wykładane perłową macicą). Tarcza ta bowiem była właściwie cząstką dużej kuli, tak że mogła pomieścić jeszcze alegorie życia człowieka od dzieciństwa z wieńcem z kwiatków (wszystko rzeźbione i kolorowo malowane), poprzez wiek młodzieńczy i średni, symbolami odpowiednio

znaczony, do starości i grobów cmentarza. Wysokim uwieńczeniem była tarcza księżycowa, odpowiednio zasłaniana dla faz w ciągu miesiąca. W częściach bocznych umieszczone były reńskie wieżyczki rzeźbione w stylu gotyckim oraz białe figury bóstw (a to bogini obfitości z rogiem, a to Apollo i różne inne) w złożonych obramowaniach. Co jakiś czas odzywał się delikatny głos nokturnu Filda lub innego poważnego utworu z ukrytej, okazałych rozmiarów, „pozytywki” (walec najeżony sztyftami potrącającymi misternie wykonane zęby metalowego grzebienia).

Gdy tłum zwiedzających przewalił się, w godzinach popołudniowych przystąpił do ojca poważny starszy pan i zapytał o nazwisko, a skoro ojciec się przedstawił usłyszał: „A to jest pan chyba synem Ferdynanda, który pracował z ramienia Krajowego Wydziału Sprzedaży Soli, złóż pan podanie i wymień pan salinę w którymkolwiek (mieście – przyp. TW): Kałusz, Dolina czy Bolechów, będzie pan przyjęty z miejsca. „To było przeznaczenie”.

* * *

Tyle ze wspomnień mojego ojca Mariana. Przez długi czas powyższy opis pozostawał jedynym śladem po tym zegarze. Wprawdzie wcześniej (w lipcu 1956 r.), buszując po strychu domu w Bolechowie, natrafiłem na metalowy *walec najeżony sztyftami*, ale daleki byłem od wyobrażenia sobie całości. Dopiero w 2009 roku w Muzeum w Bolechowie doznałem prawdziwego szoku, odkrywając zdjęcie fragmentów zegara Wiktora, które były tam wystawione w 1970 r. Potem słuch o nich zaginał. Następnym odkryciem było znalezienie w Bibliotece Narodowej w Warszawie w 2012 r. w „Gazecie Lwowskiej” z 7.10.1894 roku (źr. 1) na stronie 5 opisu, który potwierdzał informację Mariana, nie wnosząc w zasadzie nic nowego. Dlatego też, gdy w listopadzie 2016 r. natrafiłem przez przypadek (w serwisie internetowym Austriackiej Biblioteki Narodowej) na trzy inne opisy, poważnie rozszerzające opis Mariana, to po prostu doznałem olśnienia! Dwa z nich zostały zamieszczone w „Kurierze Lwowskim” z 4.07.1894 (źr. 2) i z 13.10.1894 (źr. 3), a trzeci w tygodniku wiedeńskim „Montags Zeitung” z 1.10.1894 (źr. 4). Tak więc po przeszło 120 latach, na podstawie tych czterech nowych źródeł, można się po-



Fragmety zegara Wiktora Wasilewskiego z 1894 r. wystawione w Muzeum w Bolechowie w 1970 r. (fot arch. autora)

kusić o opis w miarę wiarygodny arcydzieła Wiktora Wasilewskiego.

Przede wszystkim zegar ten imponował rozmiarami. Wprawdzie wysokość i szerokość w opisie Mariana wydają się przesadzane (4 m i 5 m – co łatwo wytłumaczyć tym, że pewnie oglądał go, będąc jeszcze chłopcem, więc wydawały mu się większe), ale i tak pozostają imponujące. W rzeczywistości wysokość prawdopodobnie wynosiła od 320 cm (źr. 2) do 330 cm (źr. 1; 3; 4). Co do szerokości (długości frontu), to pewnie miała ona ok. 150 cm (źr. 2 i 4). Rzecz ciekawa, że podobne proporcje można stwierdzić na zdjęciu z 1970 r. Rzeczywista głębokość natomiast była nieco większa od tej podanej przez Mariana (90 cm) i wynosiła od 112 cm (źr. 2) do 120 cm (źr. 4).

Te znaczne wysokość i głębokość były zapewne konieczne dla pomieszczenia mechanizmu, który miał szereg oryginalnych rozwiązań. Przede wszystkim był to zegar wahadłowy z jednym ciężarem (duszą), który się nakręcało (naciągało) raz na rok, co było na te czasy nowością (źr. 2). Stąd potrzeba dużej wysokości. Następnie – mechanizm nie ograniczał się tylko do wskazywania godzin i minut, ale również uruchamiał pełny kalendarz z nazwami dni tygodnia i mie-

sięcy, na dodatek z uwzględnieniem... lat przestępnych, co musiało wywoływać powszechny zachwyt (żr. 3 i 4). Wskazywał również wschody i zachody słońca oraz fazy księżyca. I do tego chodził punktualnie! (żr. 3). Aż trudno uwierzyć, że urzędniczy emeryt-samouk był w stanie osiągnąć tak wysoki poziom techniczny. Ileż obliczeń, nieprzespanych nocy, no i pracy, by wykonać własnoręcznie wszystkie części...

Ale strona techniczna to jeszcze nie wszystko. Nasz pradziad wzbogacił swoje dzieło wprowadzając zarówno sztukę (muzyka, rzeźba), jak i filozofię.

Trzy razy dziennie (o 8 rano, o 12 w południe i o 7 wieczorem) odzywał się kurant. I to nie było to, ot sobie, „kukanie”, ale prawdziwy program muzyki poważnej z akcentami patriotycznymi (żr. 3):

- bliżej niesprecyzowany utwór Ludwika van Beethovena,
- nokturn Fryderyka Chopina,
- „Kalina” – popularna pieśń Ignacego Marcelego Komorowskiego, który notabene komponował również do słów krakowskiego poety Edmunda Wasilewskiego (1814–1846),
- „Pożegnanie Ojczyzny” – polonez patriotyczny Michała Kleofasa Ogińskiego,
- Marian jeszcze wspomina nokturn Johna Fielda (1782–1837, twórcy tej formy muzycznej – prekursora Chopina).

Dziennikarz „Kuriera Lwowskiego” nie precyzuje, czy te informacje otrzymał bezpośrednio z ust konstruktora, czy też ufał tylko własnemu słuchowi. Nie jest wykluczone, że w tym drugim przypadku mógł pomylić Fielda z Chopinem lub Beethovinem, gdyż jego kompozycje są bardzo do nich zbliżone. Niemniej jednak świadczy to bardzo dodatnio o gustach muzycznych oraz o zaangażowaniu patriotycznym Wiktora. Zgadza się też z duchem czasu, który panował na Powszechnej Wystawie Krajowej we Lwowie. Jest bardzo mało prawdopodobne, by udało się kiedyś odszukać ów *walec najeżony sztyftami*, który odtwarzał te melodie. Pewnie mieścił się w dolnej części zegara, jako że w mojej chłopięcej pamięci miał ok. 25 cm średnicy i ok. 150 cm długości. Błyszczał złotawo – pewnie był z brązu. Nie ma go na zdjęciu z 1970 r., więc chyba gdzieś wcześniej „wyparował”.

Styl kapliczek i wieżyczek, które stanowiły podstawę wystroju, jednomyślnie został okre-

ślony jako gotycki. Natomiast liczne rzeźby i płaskorzeźby miały charakter grecki (żr. 4), na co pewnie miał wpływ włoski kamieniarz ze Stryja... Cała dekoracja była wyrzeźbiona w drzewie: elementy architektoniczne wykończone na czarno, natomiast rzeźby na jasny kolor (lipa?). Nie wszystkim ten kontrast się podobał (żr. 3). Tym, co uderzało, była spójność całości wokół przewodniej idei filozoficznej dotyczącej nieuchronności skutków upływu czasu i nietrwałości ludzkiego losu.

Poczynając więc od góry: nad całością dominowała uskrzydłona postać Geniusza (ojca bogów w mitologii rzymskiej – żr. 4) lub innej personifikacji Stworzenia (żr. 2), który panuje zarówno nad przeszłością, jak i nad przyszłością. Pomiędzy skrzydłami widniała odpowiednia sentencja, ale o dokładnej jej treści reporterzy nic nie donieśli. Można sobie wyobrazić, że te sentencje, w rodzaju np. *Memento mori* itp., były umieszczone na wstęgach, jak to było zwyczajem w stylu gotyckim.

W części centralnej była umieszczona duża tarcza (cyferblat), która była wg Mariana „czaszą dużej kuli”. Inni o tej kuli nic nie wspominają. Mogła ona wyobrażać glob ziemski, który był bardzo częstym atrybutem Chronosa (greckiego boga czasu). Sądząc ze zdjęcia, sama tarcza miała ok. 50–60 cm średnicy. Po jej prawej stronie, jeśli się dobrze przyjrzeć, można zobaczyć uskrzydłoną postać Chronosa, tak jak to opisał Marian („tkwiła u boku Chronosa... ós obracająca wskazówki”). Przedstawiony jest on ze swymi zwykłymi atrybutami: klepsydrą i kosą jako symbolami nieuchronności upływu czasu i bliskiego końca życia (żr. 2 i 4). Na jego skrzydłach „uwidocznione są przerażenie i rozpacz, a czarne tło za nim oznacza tajemnicę grobową” (żr. 2). W dolnej części tarczy znajdowały się alegorie kruchości ludzkiego losu: rozsypany szkielet ludzki, a po jego bokach z jednej strony herbarz magnacki (złamane drzewo herbowe) – symbol władzy i bogactwa, a z drugiej ruiny zamku i groby cmentarza – symbol biedy („torba i kij”) i opuszczenia. Tarczę okalał wieniec z kolorowych kwiatów (róz?), który wraz ze złożonymi rzymskimi cyframi godzinowymi był uważany za symbol „młodzieńczych zachwyty”, a układane perłową masą wskazówki, biegnąc wokół, symbolizowały szybkie zmiany pór ludzkiego życia. Na zdjęciu wieniec ten jest

dobrze widoczny. Jego kolor jaskrawoczerwony spotkał się z krytyką jednego z reporterów (żr. 3). Nie jest jasne, czy te pory życia były w jakiś sposób zaznaczone na samej tarczy, czy też poza nią (np. na kuli wspomnianej przez Mariana). Ponadto w tej środkowej części były umieszczone inne rzeźby, między innymi Apollo i inne bóstwa greckie (czy rzymskie?). Nie jest wykluczone, że figura ze zdjęcia (ponad tarczą) przedstawia właśnie Apollona: jest on przedstawiony w pozycji półleżącej, prawdopodobnie z jakąś wazą. Brak nam dodatkowych informacji, bo jak pisze jeden z reporterów (żr. 3), „niepodobniestwem byłoby zegar ten opisać szczegółowo...”. Przyszłość pokaże, czy uda nam się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat.

Dzisiaj już wiemy, że zegar był także bogato zdobiony po bokach – miał on przecież ok. 120 cm głębokości. Były tam czarne kapliczki z wnękami na rzeźby z jasnego drewna (żr. 2 i 4). Na prawej bocznej ścianie można było podziwiać boginię symbolizującą niepewność ludzkiego losu i jego fortuny. Mogła to być więc albo bogini grecka Tyche, albo rzymska Fortuna – obie są zazwyczaj prezentowane z rogami obfitości. Na zdjęciu z 1970 roku po prawej stronie widnieje taka figura, ale uskrzydłona. Na lewej ścianie zegara widniała figura symbolizująca natchnienie poetyckie i muzykę. Tutaj raczej nie ma wątpliwości, że rzeźba po lewej stronie zdjęcia jest właśnie tą figurą. Powiewne, luźne szaty, wieniec na głowie i małych rozmiarów lira pozwalają w niej rozpoznać podstawowe atrybuty Erato, greckiej muzy poezji lirycznej i miłosnej. Gdyby lira była duża, można by sugerować muzę tańca i śpiewu – Terpsychorę. Na bocznych ściankach zegara umieszczone były również różne sentencje m.in. „przypominające śmiertelnemu człowiekowi, że czas jego jest dokładnie policzony...” (żr. 3).

O części dolnej zegara informuje nas już tylko zdjęcie z 1970 roku. Po bokach widać po cztery kolumny (wysokości ok. 100 cm) koloru czarnego z kapitelami (głowicami) korynckimi, tzn. pokrytymi liśćmi akantu. Jaśniejszy odcień tych głowic sugeruje, że były pozłacane. Pomiędzy nimi, na całej szerokości (ok 110 cm), były bogato zdobione czarne boazerie. Po prawej stronie od zegara widać rzeźbiony stożkowaty element, który mógł być prawdopodobnie zwieńczeniem jednej z kapliczek (może głównej, z uwa-

gi na rozmiary). Można się domyślać, że poza tymi boazeriami było dostatecznie dużo miejsca, by pomieścić walec kuranta z jego mechanizmem. Całość z pewnością musiała wyglądać bardzo okazale i imponująco.

Reporter „Kuriera Lwowskiego” z 4 lipca (żr. 2) na koniec swojej relacji dodaje niezwykle istotną informację: „Zegar ten, którego wartość oznaczył twórca na 6000 złr, wykończony został w ciągu lat pięciu”. Ale jaka była ówczesna wartość tych „złotych reńskich”, bo o nie chodzi? Złoty reński był polską nazwą guldena (florena) austriackiego i od 1858 roku dzielono go na 100 grajcarów. W 1892 roku wprowadzono nową jednostkę monetarną – koronę (dzieloną na 100 halerzy) w relacji 1 złr = 2 korony. Tak więc w 1894 roku w obiegu znajdowały się zarówno złote reńskie (guldeny), jak i korony. Jednakże złoty reński zachował swoją rolę wyznacznika wartości w odniesieniu do płac i innych należności. Z ogłoszeń zamieszczonych w Kurierze Lwowskim z tego okresu można się dowiedzieć, że nauczyciel zarabiał ok. 300–400 złr rocznie, a kierownik szkoły (liceum) ok. 800–1000 złr (Lwów, Buczacz 1891), lekarz Kasy Chorych – 500 złr rocznie, buchalter tamże – 720 złr, a zwykły pisarz – 360 złr (Lwów 1897), naczelnik straży ogniowej, a zarazem rewizor policji 500 złr rocznie (Stryj, 1891), inżynier kolei państwowych 1300 złr rocznie (plus 500 złr kwaterowego – Lwów 1895).

Z powyższego wynika, że nasz pradziad nie wycenił swojej pracy w sposób zbyt wygórowany: ok. 1200 złr rocznie, co odpowiadało w przybliżeniu płacy inżynierskiej. Byłoby to zgodne z charakterem włożonej przez niego pracy, nie licząc jednak wielu aspektów nowatorskich. A jeśli od tego potrącić wydatki na materiały, to na pewno nie było to wiele więcej niż płaca kierownika szkoły. Być może oceniał on to swoje dzieło z perspektywy własnej, skromnej emerytury urzędniczej. Trudno sobie wyobrazić siłę nabywczą tych pieniędzy. Mógł ziemi uprawnej kosztował ok. 400 złr (1890), pokój umeblowany z pościelą we Lwowie (1896) 180 złr na rok, roczna prenumerata „Gazety Lwowskiej” 16 złr, bilet do teatru – 5 złr. Wydaje się, że była to więc kwota poważna.

Pięcioletni okres pracy nad zegarem był również potwierdzony przez reportera „Gazety Lwowskiej” z 7.10.1894 roku (żr. 4). Według Mariana, był on znacznie dłuższy

– 9-letni. Być może idea skonstruowania zegara była wcześniej i powstała w okresie poprzednich wystaw. Ruch wystawienniczy w Galicji rozwijał się powoli w ciągu drugiej połowy XIX w.² Najpierw były to wyłącznie wystawy rolnicze (we Lwowie i innych miastach) i dopiero od 1867 roku włączono do nich artykuły przemysłowe (Lwów – Wystawa Krajowa Rolniczo-Przemysłowa). W dziesięć lat później (6.09.–4.10.1877), na wzór wystawy wiedeńskiej z 1875 roku, urządzono Powszechną Wystawę Krajową we Lwowie. Pomimo ambicji „krajowych”, ograniczała się jednak prawie wyłącznie do Galicji Wschodniej (1300 wystawców; 150 000 zwiedzających). Dlatego też następną Powszechną Wystawę Krajową, pierwotnie przewidzianą na 1884 rok, zorganizowano w Krakowie, ale z trzyletnim opóźnieniem (1–30.09.1887) i z wyraźną preferencją dla Galicji Zachodniej (800 wystawców). Wprawdzie nie było tam wyodrębnionego działu zegarmistrzostwa, ale nie jest wykluczone, że owa idea zegara „zakiełkowała” w głowie Wiktora właśnie w tym okresie, być może w czasie zwiedzania wystawy w Krakowie (o jego związkach z Krakowem świadczy zdjęcie z rodziną Szembeków zrobione tam w 1891 roku). Dziesięcioletni okres (jak wówczas sądzono) do następnej wystawy dawał dostatecznie dużo czasu na zrealizowanie tak ambitnego projektu. Z całą pewnością jednak ten

pierwotny harmonogram prac Wiktora uległ przyspieszeniu. Stosunkowo ograniczony charakter wystawy krakowskiej (tylko 800 wystawców) rozpowszechnił wśród kół gospodarczych przekonanie o konieczności przyspieszenia terminu wystawy i nadania jej rzeczywiście powszechnego charakteru. Było to istotne również z uwagi na rozwój sytuacji politycznej i gospodarczej w Galicji. Z jednej strony bowiem proces postępującej autonomizacji Galicji wymagał większej integracji terytorialnej i społecznej, a z drugiej strony zacofanie w rozwoju przemysłowym tego kraju skłaniało do organizowania akcji go pobudzających.

(Kontynuacja w następnym numerze)

Tomasz Wasilewski (s. Mariana i Emilii Michalik) urodzony w 1945 roku w Mielcu. Młodość spędził w Bielsku-Białej. Studia wyższe ukończył w 1968 r. w Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie, gdzie również w 1974 r. obronił pracę doktorską. Do 1982 roku pracownik naukowy w Instytucie Finansów w Warszawie. Po emigracji do Francji wykładał ekonomię na uniwersytetach w Orleanie, Nancy i Montpellier. Obecnie, po przejściu na emeryturę w 2008 roku, zajmuje się genealogią rodziny Wasilewskich (Lwów – Bolechów – Śniatyń).

¹ „Historia rodziny Wasilewskich”, Warszawa, listopad 1987, rękopis.

² Kazimierz Ołdziejewski, „Wystawy powszechne”, Lwów 1928.

Stanisława Puchała

Gimnazjum w Buczaczu

Fundatorem buczackiego gimnazjum był Mikołaj Potocki zwany starostą kaniowskim, który 22 października 1754 roku w Warszawie uzyskał od króla Augusta III Sasa przywilej następującej treści: *Przeto my Król, zważając w tem utilitatem publicam¹, chętnie pozwalamy, aby Bazylianie litewscy, w mieście Buczaczu ufundowani, szkoły publiczne łacińskie wiecznymi czasami uczyli, warując to oraz niniejszym listem przywilejem naszym, ażeby tak w samym Buczaczu, jako też o mil siedem od Buczacza nikt szkół innych otwierać nie*

ważył się z przeszkodą szkół księży Bazylianów w Buczaczu².

Po uzyskaniu królewskiej zgody, 12 grudnia tego samego roku w Haliczu, Mikołaj Bazyli Potocki przeznaczył odpowiedni fundusz na utrzymanie buczackiego kolegium

² Sadok Barącz, *Pamiętki buczackie*, s. 120; Franciszek. Zych, *Dwie uroczystości szkolne w nowym budynku gimnazjalnym* [w:] Sprawozdanie Dyrekcji ck Gimnazjum w Buczaczu za rok szkolny 1900, Stanisławów 1900, s. 3, także Franciszek Zych, *W 150 rocznicę. Przyczynki do historii buczackiego gimnazjum* [w:] Sprawozdanie Dyrekcji ck Gimnazjum w Buczaczu za rok szkolny 1905.

¹ *utilitatem publicam* – użyteczność publiczna

i konwiktu [tj. internatu] dla niezamożnej młodzieży męskiej. Fundator szkoły określił, ilu nauczycieli ma kształcić żaków, i rodzaj klas³. Szkoła została zorganizowana na wzór kolegiów jezuickich, ale prowadzili ją bazylianie, podporządkowani władzom litewskiej prowincji bazylikańskiej. Początkowo szkoła istniała jako gimnazjum 5-klasowe. Nie wiek, ale opanowanie określonej wiedzy dawało prawo do kształcenia w kolejnej klasie. Funkcjonowały klasy infimy (początkowe nauczanie łaciny podzielonej zwykle na infimę niższą i wyższą), gramatyki, syntaksy, poetyki i retoryki. W roku 1773 Mikołaj Potocki wyraził zgodę na klasę filozofii i wówczas gimnazjum funkcjonowało jako sześcioklasowe.

Mikołaj Bazyli Potocki na swój koszt utrzymywał także 12 uczniów niezamożnej młodzieży szlacheckiej, która mieszkała w konwikcie. Nazwiska pierwszych 12 konwiktów to: Antoni Barański, Józef Barański, Wojciech Bieńkowski, Kajetan Borczowski, Franciszek Chmielowski, Stanisław Jakubowicz, Antoni Karczowski, Bazyli Kowalski, Aleksander Popowski, Antoni Puchalski, Wincenty Puchalski i Teodor Wolański. Kowalski w niedługim czasie został wydalony, gdyż nie przejawiał ochoty do nauki⁴.

Żakowie byli w różnym wieku, od małych chłopców do dorosłych mężczyzn. Właściciel Buczacza zwracał się do rektora z uwagami dotyczącymi się zachowania żaków w mieście. Czasami ich zachowanie było skandaliczne: bijatyki z żołnierzami, z Żydami, z kapelą z kościoła farnego, przesiadywanie w karczmach, kradzieże, upijanie się, noszenie broni i spotkania z kobietami. Wówczas Mikołaj Potocki ingerował, korespondował z rektorami, zobowiązywał prefekta i nauczycieli do zwiększenia nadzoru nad gimnazjalistami, żądał wyjaśnień, nakazywał wydalenie. Fundator przywiązywał dużą wagę do dyscypliny, rozwoju pobożności i dobrych obyczajów. Choć sam był awanturnikiem i miał na sumieniu dużo ekscesów, to piętnował buczackich gimnazjalistów i grzmiał zarówno na wybryki podopiecznych, jak i na nauczycieli za brak nadzoru nauczycielskiego. Zdarzało się, że



opiekunowie brali podopiecznych w obronę i znajdowali różne wytłumaczenia niesubordynacji. Rektor Maurycy Kaskowicz pisał: *w młodzi zaś szkolnej, choćby przy najdoskonalszej edukacji nigdy się nigdzie nie obejdzie bez występków, bo przez same onych bujne lata, a rozsądek słaby, przez naturę skazitelną do złego skłonną a różnorodność obyczajów i nałogów w każdym osobliwszą, niepodobno, aby czasem nie było wykroczenia*⁵.

Gdy do Potockiego wpłynęła skarga buczackich Żydów o obrzucenie ich kamieniami w czasie pogrzebu, to otrzymał od Bazylianów takie wyjaśnienie: *studenci nie kamieniami, lecz śniegiem tylko z swawoli dziecinnej na Żydów niosących trupa rzucali, jednakże należyta uczyniliśmy satysfakcją*. Dalej pisali: *przyrzekamy, że będziemy wykraczających surowie karać, innych zaś za najmniejszą notą ekskludowali ze szkół*⁶.

Liczba uczniów gimnazjum systematycznie rosła. Jednak w czasach rozbiorów sytuacja bazylikańskiej szkoły była zmienna. Raz jej ranga rosła, to znów spadała. Wiele zależało od władz w Wiedniu i posiadanych funduszy klasztornych. W 1784 r. decyzją cesarza Józefa II zniesiono gimnazjum zamieniając je na trzyklasową szkołę ludową. W 1804 r. szkole przywrócono status gimnazjum i ranga szkoły rosła ponownie. W roku 1865 w czasie wielkiego pożaru w Buczaczu spłonęła znaczna część miasta, w tym także bazylikańskie budynki klasztorne, w których działało gimnazjum. W następstwie znów obniżono status szkoły do niższego gimnazjum czteroklasowego. Starania o przekształcenie go w gimnazjum wyższe nie tylko nie powiodły się, ale austriackie władze ministerialne w 1879 r. postawiły nowe warunki, grożąc zamknięciem bazylikańskiej szkoły

³ Sadok Barącz, *Pamiętki buczackie*, s 114–121.

⁴ Beata Lorens, *Problemy wychowawcze w szkołach bazylikańskich w drugiej połowie XVIII wieku na przykładzie kolegium w Buczaczu*, s. 33, Uniwersytet Rzeszowski.

⁵ Tamże, s. 36.

⁶ Jak wyżej.



Buczacz, gimnazjum widziane z ul. Targowej na Nagórzance
(fot. Ewa Kuhn-Dyczkowska)

w wypadku niezatrudnienia świeckich nauczycieli szkół średnich. Zachodziła obawa likwidacji szkoły, więc gmina zaczęła opłacać najpierw dwóch, a potem trzech suplentów, czyli zastępców nauczycieli gimnazjalnych. Wkrótce pojawił się projekt budowy nowego skrzydła szkoły, który nie zyskał aprobaty ministerstwa wyznań i oświaty. Bazylianie nie byli w stanie wypełnić wymogów stawianych przez Wiedeń, a władze oświatowe nie były zainteresowane rozwojem klasztornej, bazylikańskiej szkoły. Dlatego w 1892 roku starania budowy gmachu gimnazjalnego w Buczaczu rozpoczęła gmina. W skład komitetu budowy gimnazjum weszli: starosta dr Czesław Niewiadomski, dyrektor gimnazjum Franciszek Zych, lekarz powiatowy dr Mieczysław Hirschler i inżynier Kazimierz Rawski. Na budowę szkoły Buczacze otrzymał subwencję rządową w kwocie 20 000 guldenów austro-węgierskich, czyli złotych reńskich, i zaciągnął pożyczkę na sumę 70 000 złotych reńskich. Po zatwierdzeniu przez władze ministerialne projektu inżyniera Ferarego, przystąpiono do budowy budynku gimnazjum. Kierownikiem budowy został Adam Topolnicki. Działkę pod szkołę ofiarowała mieszkanka Buczacza, pani Rybczyńska. Wybudowano gmach pod dach i... zabrakło środków. Według obliczeń Topolnickiego, potrzebna była jeszcze bardzo duża suma, bo 60 000 zł reńskich. Takich pieniędzy gmina nie miała i budowa stanęła.

W Buczaczu uznano, że jedynym wyjściem będzie oddanie nieruchomości i budowy na własność ck rządowi. Rozpoczętą budowę przekazano państwu, a w zamian władze Buczacza otrzymały rządowe pieniądze na dokończenie dzieła. Od roku szkolnego 1893/94 buczackie gimnazjum funkcjonowało jako Cesarsko-królewskie Gimnazjum Monarchii Austriackiej. W następnych

latach kontynuowano budowę nowego budynku. Ostatecznie budowę szkoły, którą zarządzał dyrektor Franciszek Zych, zakończono w grudniu 1898 r.⁷ Szczególne zasługi w staraniach o pozwolenie na budowę państwowego gimnazjum w Buczaczu mieli starosta Emil Szott i lekarz Edward Krzyżanowski, którzy za wkład w utworzenie publicznego gimnazjum w Bu-

czaczu otrzymali od rady miejskiej honorowe obywatelstwo. Do Buczacza, jak pisała „Gazeta Lwowska” z 10 stycznia 1899 roku, na poświęcenie budynku i otwarcie klasycystyczno-humanistycznego gimnazjum przybyło wielu gości. Swoją obecnością zaszczylicili uroczystość namiestnik Galicji Leon Piniński i cesarsko-królewski krajowy inspektor szkolny Jan Lewicki. Namiestnik Galicji nie omieszkął powiedzieć, że gmach jest tak wspaniały, że *nie tylko w mieście prowincjonalnym, jakim jest Buczacze, ale nawet w stolicy kraju – we Lwowie można by go nazwać okazałym*. W uroczystości brali udział okoliczni właściciele ziemscy Emil Potocki, Marian Błażowski i inne miejscowe osobistości, wśród których był malarz Franciszek Horodyski z Trybuchowic i profesor historii sztuki Uniwersytetu Lwowskiego Jan Bołoz Antoniewicz, pochodzący z niedalekiej wsi Skoromuchy⁸.

Męskie gimnazjum w Buczaczu na przełomie XIX i XX wieku kształciło w znajomości języków klasycznych i nowożytnych. Uczono łaciny, greki, języka niemieckiego, polskiego i ruskiego (ukraińskiego). Szkoła proponowała gimnazjalistom do wyboru różne dodatkowe zajęcia. Utworzono dwie orkiestry: dętą i smyczkową. Gimnazjaliści mogli należeć do straży pożarnej, chóru i harcerstwa. Ćwiczenia fizyczne należały wówczas do przedmiotów nieobowiązkowych i prowadzone były przez nauczyciela gimnazjum w sali Sokoła. Uczniowie musieli bezwzględnie przestrzegać regulaminu szkolnego, nosić mundur szkolny i mieszkać w wyznaczonych stancjach lub bursach. Systematycznie za czasów dyrektora Franciszka Zycha powiększała się księgozbiór

⁷ F. Zych, *Dwie uroczystości*, s. 4–7.

⁸ Tamże s. 7.

gimnazjalnej biblioteki uczniowskiej i nauczycielskiej i ilość pomocy naukowych. Zbiory szkolne zgromadzone do czasu wybuchu I wojny były okazałe⁹.

Nauczycielami w szkole – podobnie jak w innych męskich gimnazjach – byli mężczyźni dyspozycyjni, często przenoszani do innych szkół w obrębie Galicji. Miejsce ich pracy wyznaczały krajowe władze szkolne.

W czasie I wojny światowej szkoła została doszczętnie zrabowana. Ogołoco ją nawet z tablic szkolnych i stojaków do tablic. W murach gimnazjum stacjonowały wówczas różne wojska. Z powodu wybuchu granatu w auli i pożaru ucierpiał budynek szkolny. Nauczyciele tegoż gimnazjum brali udział w I wojnie światowej, starsi uczniowie uczestniczyli w wojnie z bolszewikami.

Po zakończeniu działań wojennych gimnazjum borykało się z różnorakimi brakami, szczególnie pomocy naukowych. Nadto z powodu ogromnych zniszczeń Buczacza musiało w swoje mury przyjąć inne instytucje powiatowe. Sześć sal oddano na potrzeby starostwa. Po pierwszej wojnie światowej szkoła zaczęła nabierać charakteru koedukacyjnego. W buczackim gimnazjum pojawiły się uczennice. W 1921 r. dyrektorem szkoły przestał być Franciszek Zych. Kto pełnił po nim tę funkcję, nie ustalono. W roku szkolnym 1928/29 i następnym latach dyrektorem był Edward Lewek. W czerwcu 1930 r. w kościele parafialnym w Buczaczu odsłonięto pamiątkową tablicę poświęconą pamięci uczniów poległych w czasie I wojny światowej i w wojnie 1920 roku. W drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku dyrektorem gimnazjum został Jan Szajter, nauczyciel języka niemieckiego i zasłużony dyrektor gimnazjum z Bielska-Białej, przeniesiony na takie samo stanowisko do Buczacza. Jan Szajter był uczestnikiem powstań śląskich, jednak w czasie II wojny światowej podpisał niemiecką listę narodowościową i został volksdeutschem. Czy kierował nim strach, wygodnictwo czy inne względy – nie wiemy. Wiadomo było, że nosił niemieckie nazwisko i pochodził z Górnego Śląska, a mieszkańców tego regionu szczególnie

⁹ Informacje o nauczycielach, uczniach, realizowanych zadaniach, zbiorach szkolnych i trudnościach pisał dyrektor szkoły Franciszek Zych w corocznych sprawozdaniach, które były wydawane drukiem w latach 1900–1921.

zachęciano, a nawet zmuszano do podpisywania niemieckich list narodowościowych. Jednocześnie podpisywanie niemieckich list w czasie II wojny światowej przez powstańca i nauczyciela było bardzo źle odbierane przez społeczeństwo.

Buczackie gimnazjum działało do 1939 roku. Po zajęciu miasta przez Rosjan przekształcono szkołę według radzieckich programów nauczania na dziesięcioletnią. Podczas wojny działały w Buczaczu komplety tajnego nauczania i uczniowie zdawali tajne matury.

CENIENI NAUCZYCIELE W BUCZACZU

Franciszek Zych (1853–1934). Studia na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie kończył 1879 roku. Pracował jako nauczyciel gimnazjum w Przemyślu, we Lwowie i Drohobyczu, osiągając kolejne stopnie w drabinie oświatowej. W 1894 r. został mianowany profesorem szkoły średniej. Od 1895 Franciszek Zych pracował w Buczaczu, gdzie był dyrektorem gimnazjum aż do 1921 roku. Jako nauczyciel miał uprawnienia do nauczania w szkole historii, geografii, psychologii i logiki. Należał również do organizacji oświatowych i społecznych. W 1900 roku wymieniony został jako prezes Sokółka w Buczaczu. Był w zarządzie głównym Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych we Lwowie i przewodniczącym lokalnego koła w Buczaczu. W kole samokształceniowym wygłosił referat w 1913 roku „Jak przedstawiać młodzieży te miejsca z lektury Cezara, w których siła dominuje nad prawem”¹⁰. Był w komitecie organizacyjnym budo-

¹⁰ Sprawozdanie TNSW, s. 33.





wy szkoły i troszczył się o jej ukończenie. Przyczynił się do powiększania zbiorów bibliotecznych i wyposażenia gabinetów lekcyjnych. Pisał o stratach, jakie gimnazjum poniosło w ciągu sześciu lat wojny trwającej na tych ziemiach od 1914 do jesieni 1920 roku. Jego żona Zofia była członkiem buczackiego oddziału Ligi Pomocy Przemysłowej.

Na emeryturze Franciszek Zych mieszkał we Lwowie i tam zmarł w 1934 roku. Został pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim¹¹.

Ludwik Młynek (1864–1941), pedagog, działacz oświatowy, etnograf. Pochodził z licznej rodziny chłopskiej, w trakcie nauki zarabiał na swe utrzymanie jako korepetytor. Zdolności i praca owocowały tym, że otrzymał stypendium na Uniwersytecie Jagiellońskim. Studia kontynuował na uniwersytetach w Wiedniu i Grazu. Pracował jako nauczyciel w gimnazjach w Wadowicach, Krakowie, Buczaczu i Tarnowie. Osobną dziedziną zainteresowań była etnografia i folklor, którym poświęcił szereg szkiców i studiów. Od roku 1897 Ludwik Młynek należał wraz z żoną do Towarzystwa Ludoznawczego, które wydawało czasopismo „Lud”. Na jego stronach publikował artykuły poświęcone folklorowi. W Buczaczu był profesorem w gimnazjum tylko dwa lata (1896–1898), gdyż Rada Szkolna Krajowa skierowała go do pracy w Tarnowie. Zdążył w Buczaczu założyć w 1897 roku czytelnię ludową, był inicjatorem kółka rolniczego i kasy oszczędności. Pracowity pedagog napisał szereg artykułów o treści pedagogiczno-dydaktycznej, które zostały wydrukowane w sprawozdaniach gimnazjalnych. W Buczaczu Młynek wydał w 1897: *Jak u nas wyzyskać najlepiej znajomość pisania i czytania oraz Listy pouczające do Braci Włościan z Wielickiego w 1898 roku*. Pra-

ce: *Nauka języka niemieckiego w I klasie polskich szkół średnich w Galicji* – wydano w Tarnowie (1910), *Praca fizyczna jako czynnik wychowawczy* – Łańcut 1914, *Uwagi o wychowaniu kobiet* – Wieliczka 1922.

W lutym 1915 roku został powołany do austriackiego wojska i tam przyczynił się do powstania szkoły dla inwalidów wojennych.

Henryk Ozjasz Rose urodził się 27 sierpnia 1880 r. w Przemysłu, pochodził ze zasymilowanej rodziny żydowskiej. Studiował filologię niemiecką i polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. W Gimnazjum w Buczaczu pracował od 1 IX 1908 do 1920 r. Uczył języka niemieckiego, polskiego i łacińskiego. Był aktywnym członkiem buczackiego Koła Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych. Od stycznia 1912 r. był w jego zarządzie. W 1913 r. wygłosił referat „W sprawie zadań domowych z języka niemieckiego” dla członków koła. Jego referat opublikowano w Sprawozdaniu buczackiego gimnazjum, a później w czasopismach specjalistycznych.

W czasie I wojny został powołany do wojska. Na wojnę z bolszewikami w 1920 roku zgłosił się na ochotnika i za udział w tej wojnie otrzymał Złoty Krzyż Zasługi. W okresie międzywojennym pracował w gimnazjach w Przemysłu i Krakowie. Poświęcał się wystawianiu w szkołach przedstawień teatralnych i kwestiom nowoczesnego nauczania języków obcych. Jego artykuł *Próba nowego ujęcia i stosowania poglądu w nauczaniu języków obcych* był publikowany w Sprawozdaniu V Gimnazjum im. J. Kochanowskiego w Krakowie za rok szkolny 1932/1933. Do wybuchu II wojny pracował w gimnazjach Krakowa. Jego losy z czasów II wojny światowej pozostały nieznanymi¹².

Piotr Niebieszczański, długoletni nauczyciel gimnazjum w Buczaczu historii, geografii oraz nadobowiązkowego przedmiotu, jakim była historia kraju rodzinnego. Organizował liczne wycieczki w rejon Kołomyi, w Bieszczady, do Krakowa, Lwowa i innych miejsc Galicji. Należał do Towarzystwa Gimnastycznego Sokół i angażował się w inne działania gimnazjum¹³.

Józef Mazur w buczackim gimnazjum był długoletnim nauczycielem łaciny i greki,

¹¹ J. Mleczak, *Franciszek Zych*, Przemysł 1981; A. Puszka, *Nauczyciele historii i geografii szkół średnich w Galicji w okresie autonomii*, Lublin 1999, s. 345.

¹² *Henryk Rose – pedagog, żołnierz i miłośnik teatru*, Nasz Przemysł 2006, nr 8, s. 42.

¹³ Na podstawie corocznych sprawozdań gimnazjalnych dyrektora Franciszka Zycha.

opiekunem biblioteki oraz pionierem ćwiczeń gimnastycznych, które na przełomie XIX i XX wieku były nieobowiązkowe. Organizował dla tamtejszych gimnazjalistów coroczne ślizgawki na Strypie. Uczniowie mogli uprawiać zimą łyżwiarstwo, bo szkoła sukcesywnie kupowała łyżwy¹⁴.

Jakub Sandel – polski historyk literatury, który szczególnie interesował się twórczością Wyspiańskiego i Słowackiego, był nauczycielem gimnazjalnym przed I wojną światową w Galicji i w II Rzeczypospolitej. Od 1912 roku pracował w Buczaczu ucząc języka polskiego i niemieckiego. Tu też napisał artykuł *Zagadnienie patriotyzmu w „Kazaniach Sejmowych” Skargi*, który został opublikowany w Sprawozdaniu Dyrekcji za rok 1913. W późniejszych latach był dyrektorem gimnazjum we Lwowie. W latach II wojny światowej we Lwowie został aresztowany i w 1943 roku zamordowany przez Niemców.

Adolf Bolesław Korngut – urodził się 14 stycznia 1907 w Samborze, a zmarł 3 listopada 1973 roku w Kluczborku. Osierocony w dzieciństwie zdobywał środki na utrzymanie łącząc naukę z pracą. Zdał w 1925 roku celującą maturę i podjął studia we Lwowie na Uniwersytecie Jana Kazimierza, gdzie dał się poznać jako bardzo zdolny i obowiązkowy student filologii klasycznej. W 1930 roku po studiach podjął pracę w Państwowym Gimnazjum Humanistycznym w Buczaczu, jednocześnie pisał pracę doktorską, którą obronił w 1932 roku. W ciągu następnych dwóch lat zdał wszelkie egzaminy z filozofii, logiki, metodyki i dydaktyki, uprawniające do nauczania w szkołach średnich. Po ślubie z buczaczanką z nauczycielskiej rodziny Bolesławą Keffermuller zupełnie wrósł w środowisko buczackie. Swoją kulturą osobistą i wysokimi wymaganiami wobec uczniów zdobył sobie autorytet zarówno wśród gimnazjalistów, jak i w gronie pedagogicznym. Po zajęciu Buczacza w roku 1939 przez wojska sowieckie w przemianowanym na dziesięciolatkę gimnazjum Bolesław Korngut uczył historii. A gdy Buczacz zajęli Niemcy, zaangażował się czasowo w tajne nauczanie, chociaż oficjalnie podjął pracę w Liegenschaftcie, czyli w administracji majątko-

mi ziemskimi, które znalazły się w rękach niemieckich. Pracował tam niedługo, gdyż ze względu na swoje żydowskie pochodzenie musiał się ukrywać. Jedną z kryjówek Kornguta była plebania w Pużnikach, gdzie proboszczem był ks. Kazimierz Słucki, który opisał pewne wojenne wydarzenie związane z nauczycielem. Adolf Korngut *zamieszkał u mnie w małym pokoiku tuż obok mojej sypialni. W czasie poszukiwania za Żydami i różnych rewizji schodził do wcześniej przygotowanego pod schodami schowka. Na parterze pod jego pokojem kwaterował major hitlerowski, który często się upijał. Raz podpity, w nocy strzelił w sufit. Kula przeszła przez łóżko na piętrze, gdzie spał dr Adolf Korngut. Na szczęście przeszła tuż obok*¹⁵.

Po ponownym zajęciu w lecie 1944 roku Buczacza przez Sowietów Adolf Korngut powrócił do pracy w szkolnictwie średnim i w zniszczonym wojną mieście został dyrektorem szkoły, w której zaprowadził porządek i dyscyplinę, stawiając uczniom wysokie wymagania. Jednak niedługo, w związku z przesiedleniami Polaków, wyjechał z żoną Bolesławą (nauczycielką szkoły powszechnej w Buczaczu) w 1945 roku do Kluczborka. W nowym miejscu zamieszkania zaangażował się wraz z żoną i teściową w organizację polskiej oświaty. We wrześniu 1945 roku jego nazwisko widniało na liście uczestników pierwszej rady pedagogicznej utworzonego gimnazjum w Kluczborku. Po przekształceniu gimnazjum w liceum ogólnokształcące, A. Korngut pracował dalej w tej szkole. Od 1 września 1959 do 1968 roku Korngut był dyrektorem tego liceum. Uchodziło ono wówczas za jedno z najlepszych na Opolszczyźnie. W powojennej rzeczywistości dr Korngut zmagał się również z zakusami ograniczenia roli klasyki w szkołach średnich, dlatego stawał w obronie języka łacińskiego w liceach ogólnokształcących na łamach „Głosu Nauczycielskiego” i wysyłając pisma do organów oświatowych. Współpracował z Polską Akademią Nauk i tłumaczył starożytne dzieła na język polski. W testamencie przekazał swój przebogaty księgozbiór Uniwersytetowi Wrocławskiemu. Rektor Uniwersytetu Wrocławskiego prof. dr

¹⁴ O nauczycielach Piotrze Niebieszczańskim i Józefie Mazurze pisano w Przewodniku Gimnazjalnym Sokół z 1900 r. nr 4. S

¹⁵ Władysław Bartoszewski i Zofia Lewin, *Ten jest z Ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom (1939–1945)*, Warszawa 1967, s. 287.

hab. Roman Duda napisał o nim: *W pamięci mojej pozostaje dr Adolf Korngut największą indywidualnością mych lat gimnazjalnych.*

Adolf Korngut nosił nadany mu przez uczniów pseudonim „Oremus”, gdyż w czasach dozwolonych lekcje rozpoczynał słowami *Oremus: Pater Noster...*

Ciekawostka z lekcji łaciny już w Kluczborku: *Uczennica została poproszona przez profesora Kornguta o podanie wszystkich form czasownika „fero”. Nauczyciel oczekiwał prawidłowej odpowiedzi: „fero, ferre, tuli, latum”. Ponieważ uczennica nie potrafiła jej udzielić, więc usłyszała od pedagoga odpowiedź: – Fero pochodzi od tere fere kuku, strzela baba z łuku¹⁶.*

Irena Hasko (1905–1976), córka Karola i Heleny urodzona w Rafajłowej, do szkoły chodziła w Buczaczu. Studiowała polonistykę na Uniwersytecie Jana Kazimierza, a romanistykę w Poznaniu i Grenoble. W Buczaczu uczyła języka polskiego i francuskiego. W czasie wojny angażowała się w tajne nauczanie. Przebywała w Kołomyi i na Sądecczyźnie, gdzie była członkiem Tajnej Komisji Egzaminacyjnej. Po wojnie pracowała w Liceum im. Marii Curie-Skłodowskiej w Starym Sączu. Była bardzo cenionym pedagogiem, zaangażowanym w pomoc potrzebującym uczniom. Wspomagała ich materialnie i użyczała swojego mieszkania. W okresie stalinowskim dotykały ją trudności o charakterze politycznym. Irena Hasko zmarła w 1976 roku i została pochowana na cmentarzu w Starym Sączu. W dowód uznania uczniowie ufundowali tablicę poświęconą jej pamięci i mimo sprzeciwu władz umieścili w budynku szkoły¹⁷.

ZNANI UCZNIOWIE BUCZACKIEGO GIMNAZJUM

Marceli Popiel (1821–1903) był uczniem buczackiego gimnazjum w I połowie XIX w. Po święceniach w 1850 r. został proboszczem grekokatolickim w Buczaczu, później grekokatolickim biskupem chełmskim i lubelskim. Był reformatorem kościoła unickiego oraz zwolennikiem powrotu unitów do prawosławia. Gdy zamieszkał na terenie Rosji, został w 1875 roku włądyką¹⁸ kolejno:

¹⁶ Źródło: strona internetowa szkoły w Kluczborku: zoskluczbork.pl.

¹⁷ *Z grodu Kingi*, nr 33, 34, 35, r. 2000.

¹⁸ włądyka – biskup w kościele prawosławnym.

podolskim, braclawskim i płockim. Zmarł w Petersburgu.

Kornel Ujejski (1823–1897). Uczniem buczackiego gimnazjum był poeta romantyczny i podróżnik żyjący w XIX wieku, który urodził się w Beremianach. Kornel Ujejski w czasie podróży po Europie Zachodniej, we Francji poznał Słowackiego i Chopina. Ujejski był autorem słów pieśni *Z dymem pożarów*, która zdobyła popularność jako hymn w epoce powstania styczniowego.

Juliusz Kossak (1824–1899) – po ukończeniu buczackiego gimnazjum studiował malarstwo i prawo. Swoje zdolności malarskie rozwijał w Paryżu u boku francuskiego batalisty Horacego Verneta. Juliusz Kossak, który malował głównie sceny batalistyczne, historyczne i konie, był bardzo znanym malarzem XIX stulecia, protoplastą znanej rodziny malarzy. We Francji urodziło się trzech jego synów: Wojciech, Tadeusz i Stefan. Po powrocie z Francji rodzina Kossaków mieszkała najpierw w Warszawie, a potem w Krakowie, gdzie za pieniądze z posagu żony nabyli dworek – Kossakówkę – znane miejsce spotkań artystów. Sławę malarską zdobyli także jego syn Wojciech i wnuk Jerzy.

Zygmunt Sawczyński (1826–1893), działacz oświatowy i społeczny w Galicji, autor podręczników i opowiadań. Uczył się w gimnazjum w Buczaczu, studiował na Uniwersytecie Lwowskim. Zdobył wykształcenie w zakresie historii i filologii klasycznej. Był od 1865 roku posłem do Sejmu Krajowego Galicji, w latach 1867–93 członkiem Rady Szkolnej Krajowej, również wielokrotnym posłem do parlamentu w Wiedniu i prezesem Towarzystwa Pedagogicznego w latach 1873–91.

Władysław Zych (1899–1981), profesor UJK, syn dyrektora gimnazjum Franciszka Zycha. Urodził się w Buczaczu i tam uczęszczał do szkoły powszechnej i do gimnazjum. W okresie szkolnym działał w harcerstwie i w Sokole. Walczył w wojnie 1920 roku z bolszewikami i w III powstaniu śląskim. Studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, a po ukończeniu pracował na tej uczelni zdobywając kolejne tytuły naukowe. Tytuł profesorski uzyskał w 1940 roku, kiedy to lwowska uczelnia jeszcze działała, ale już pod zarządem radzieckim. Jako naukowiec zajmował się geologią i paleontologią. W czasie wojny był żołnierzem AK

i przedstawicielem Delegatury Rządu RP na Kraj, na obszar lwowski. Aresztowany w 1943 roku, trafił do obozów koncentracyjnych w Auschwitz-Birkenau i Dachau, gdzie stracił zdrowie i z tego powodu musiał zrezygnować po wojnie z dalszej pracy naukowej. Mieszkał w Wielkiej Brytanii, angażując się w pracę harcerską.

Szymon Wiesenthal (1908–2005) urodził się w Buczaczu i tu ukończył gimnazjum. Po ukończeniu studiów architektonicznych mieszkał we Lwowie. W czasie wojny, żeby przeżyć, uprawiał inne zawody. Przeżył holokaust i po wojnie za swoją powinność uznał tropienie zbrodniarzy wojennych. Doprowadził do ujęcia niemieckiego oficera SS Adolfa Eichmanna odpowiedzialnego za politykę unicestwienia narodu żydowskiego w czasie II wojny światowej. Znalazł wielu innych odpowiedzialnych za zbrodnie na Żydach, których postawił przed sądem. W Wiedniu, gdzie mieszkał po II wojnie, założył Żydowskie Centrum Dokumentacji. Był strażnikiem pamięci holokaustu i mówił, że należy szukać nowych strażników, *bo bez nich ludzkość jest skazana na popelnienie tych samych błędów i tych samych okrucieństw.*

Antoni Opolski (1913–2012), astrofizyk, urodził się w Rozwadowie nad Dniestrem. Do szkoły powszechnej i gimnazjum uczęszczał w Buczaczu. Po maturze w 1931 roku studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Po skończeniu studiów był asystentem na tymże uniwersytecie w Instytucie Astronomicznym. W 1939 roku obronił pracę doktorską. Brał udział w walkach wrześniowych i dostał się do niewoli niemieckiej, w której spędził sześć lat. W obozach jenieckich był jednym z wykładowców dla oficerów w kołach samokształceniowych. Po wojnie osiedlił się we Wrocławiu i podjął u boku swego mistrza ze Lwowa pracę w Obserwatorium Astronomicznym we Wrocławiu. Tu wydał dwie prace naukowe, nad którymi pracował w niewoli. Były to: *Atlas astronomiczny* i *Astronomiczne podstawy geografii.*

Zdobywał kolejne szczeble drabiny naukowej, zostając w 1964 profesorem zwyczajnym. Jego głównym przedmiotem badań były obserwacje spektralne gwiazd i planet oraz badania zmienności gwiazd pulsujących. Pracował na Uniwersytecie Wrocławskim i w Wyższej Szkole Pedagogicznej

w Opolu, gdzie piastował funkcję rektora. Był autorem wielu prac naukowych i organizatorem pracowni spektroskopii plazmy w Opolu.

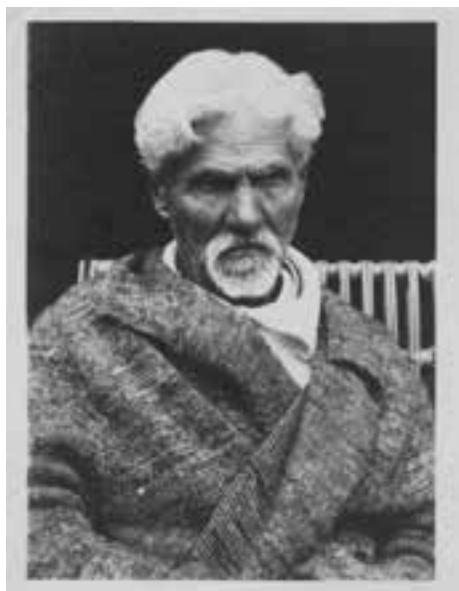
Ludwik Rutyna (1917–2010) urodził się w Podzameczku koło Buczacza. Był księdzem na Tarnopolszczyźnie i Opolszczyźnie, jednak przede wszystkim wielkim proboszczem buczackim.

Po ukończeniu buczackiego gimnazjum studiował we Lwowie i tam w 1941 roku przyjął święcenia kapłańskie. Był wikarym w Baworowie koło Tarnopola, gdzie otarł się o śmierć. Został wówczas zamordowany przez banderowców proboszcz ks. Karol Procyk i miejscowy organista. Ocalały cudem ksiądz Ludwik od tej pory przejął obowiązki proboszcza i przebywał w Baworowie do czerwca 1945 roku. Po opuszczeniu Podola przyjechał na Opolszczyznę i został proboszczem w Szybowcach koło Prudnika. W marcu 1947 roku, na prośbę władz kościelnych, opisał okoliczności mordu na proboszczu i organiście z Baworowa i przesłał do Kurii Metropolitalnej Lwowskiej z siedzibą w Lubaczowie. Później duszpasterzował w Kędzierzynie-Koźlu. Po przejściu na emeryturę wrócił do Buczacza, by ratować zabytkowy kościół Matki Bożej Szkaplerznej. Wyremontował i wyposażył nie tylko zdewastowaną barokową rzymskokatolicką świątynię w Buczaczu, ale uratował od zagłady inne okoliczne kościoły na Ziemi Buczackiej, które po wojnie w większości pełniły rolę magazynów. Były to kościoły w Uściu Zielonym, Koropcu, Potoku Złotym, Trybuchowcach i Petlikowcach Starych. Podnosił z ruin okoliczne katolickie kościoły i relacje między-ludzkie, był człowiekiem pojednania między narodem polskim i ukraińskim. W Buczaczu żył w spartańskich warunkach, w walącej się plebanii. Remont plebanii przeprowadził mając 91 lat. Dwadzieścia lat duszpasterzował garstce wiernych katolickiego wyznania łańciskiego. Mawiał, że na Kresach miał *więcej parafii niż parafian.* A gdy inni dziwili się, że zaszły się na prowincji, odpowiadał z humorem, że *lepiej być pierwszym w pipidówce niż ostatnim w Rzymie.* Zmarł 11 grudnia 2010 roku w Kędzierzynie-Koźlu i tam został pochowany. Scenarzysta i reżyser Jerzy Janicki, którego ojciec Zdzisław był notariuszem w Buczaczu, nakręcił o księdzu Rutynie dwa filmy dokumentalne.

Apolinary Tarnawski – ostatnie wakacje!

Czyściec zaczyna się już w autobusie od Kołomyi do Kosowa. Mimo urzędowej czapki konduktora i firmy PKP autobusy te są okropnie roztrzęsione i brudne. Z brzękiem i stukotem przetacza się taka „auto-bryka” przez Kosów, aż wreszcie staje przed zakładem. „Władaj sobą” – oto hasło powitania dla znękanego tłuściocha! – pisał w humorystycznym tonie korespondent „Polski Zbrojnej”. Przybywszy do Smodnej, oddalonej od Kosowa o ok. 2 km, przyszły kuracjusz zatrzymywał się przed piękną, drewnianą bramą, która miała przypominać pajęczynę. Nad bramą widniał wspomniany napis „Władaj sobą” – zapowiadający nakaz moralny panujący w zakładzie. Czuwający w pobliżu bramy stróż podawał informacje dotyczące wolnych miejsc i możliwości zakwaterowania. Po przekroczeniu furty nowo przybyłych czekała pierwsza niespodzianka. Na terenie, na którym się znaleźli, obowiązywał czas słoneczny – wbrew obowiązującemu wiedeńskiemu czasowi kolejowemu – a w kolejnych latach czasowi strefowemu. Dalsza droga wiodła gościa wprost do lekarza pomocniczego, który po zbadaniu i spisaniu historii choroby wręczał nowemu pacjentowi „książeczkę ordynacyjną”. Z tym dokumentem należało udać się do głównego lekarza ordynującego, czyli doktora Apoliniego Tarnawskiego.

Rozmowa z dyrektorem zakładu budziła w pacjentach lęk, porównywano ją nawet do sądu ostatecznego. Metodą doktora Tarnawskiego było bowiem wstrząśnięcie pacjentem szczerymi i krytycznymi uwagami dotyczącymi wyglądu badanego, a także groteskowymi i bolesnymi epitetami, których nie szczędził nowo przybyłym. Tylko w ten sposób można było skutecznie wpłynąć na kuracjusza, by chciał zmienić swoje życie, a wraz z nim wygląd zewnętrzny. Według Wita Tarnawskiego, charakter rozmowy zależał jednak w dużej mierze od samego pacjenta; nieprzyjemna stawała się tylko wówczas, gdy badany stawiał opór. Wtedy Tarnawski tracił cierpliwość i wpadał w gniew, co w najgorszym wypadku mogło się skończyć odmową przyjęcia na kurację. Wstęp-



Dr. Apolinarij Tarnawski (1851–1943), fot. arch. autora

na rozmowa z dyrektorem zakładu musiała być nie lada wstrząsem, zwłaszcza dla przybyłych do tego miejsca pięknych dam. Dowiadywały się bowiem, że na czas pobytu w zakładzie muszą wyzybyć się wszelkich „zbytków”: szminek, biżuterii, wykwinnych sukien i pantofelków na wysokich obcasach. Kategorycznie zabraniano używania podwiązek, rękawic – szczególnie skórzanych, krochmalonych kołnierzy i sznurówek. Jak wspominał syn Tarnawskiego, po usłyszeniu takich warunków panie często opuszczały pokój z płaczem.

Wyśmienity obraz przebiegu ordynacji u dra Tarnawskiego pozostawił Melchior Wańkowicz, który nie mógł nie odwieźć tak popularnego wówczas miejsca, jakim stała się kosowska lecznica. Barwnie opisał wizytę młodej, pulchnej mężatki, która przepytywana przez doktora w czasie ordynacji z bezwstydną szczerością wyznała grzechy swojej diety. Gdy kobieta wyliczała długą listę tłustych, obfitych posiłków, właściciel lecznicy nie wytrzymał, chwycił pacjentkę za rękę i poprowadził w głąb zabudowań gospodarskich. Wskazując nerwowym ruchem opasłe prosię przy korytku – wrzasnął: – Żre pani. o tak... Jak można się domyślić, bez-

pardonowe zachowanie doktora wywołało rozpaczliwy płacz pacjentki.

Nie tylko panie opuszczały pokój ordynacyjny z trwogą. Córka Tarnawskiego Celina opisała inną wizytę u sędziego doktora. Pewnego razu w gabinecie pojawił się tęgi pacjent. Dr Tarnawski spojrział nań i bez wahania ocenił: – Podgardle zwisłe, wzrok tępy, brzuch jak bania, ktoś pan taki? – Można jedynie domyślać się reakcji pacjenta, którym okazał się wybitny wileński chirurg i profesor uniwersytecki dr Marian Moszyński. Dosadna i przez to sugestywna ocena Tarnawskiego poskutkowała, ponieważ kuracusz przejęty stanem rzeczy zjawiał się potem w kosowskim zakładzie corocznie.

Pacjenci znajdujący w opowieści surowe oblicze doktora przygotowywali się do wstępnej rozmowy bardzo starannie. Przygotowania obejmowały zarówno odpowiednie nastawienia psychiczne, jak i dobór odpowiedniego stroju, tak by niepotrzebnie nie rozżłościć właściciela lecznicy. Mimo stosowania środków zapobiegawczych trudno było jednak całkowicie uniknąć krytyki. Konsulowa Mazurkiewiczowa, kobieta o pulchnych kształtach, przyjechała na kurację prosto z Rzymu. Przygotowywana psychicznie przez pacjentów weteranów na rozmowę z seniorem Tarnawskim ubrała się bardzo skromnie, aby uniknąć niepotrzebnych uwag co do niehigienicznego stroju. Mimo to konsulowa po godzinie wybiegła z gabinetu zapłakana. Nie mogąc dojść do siebie po dramatycznym przebiegu ordynacji relacjonowała: – Pani droga! spojrzął na mnie – [...] – i powiada: „Ależ się pani spasała, to spasała! Wątróbsko jak u bydłaka!”. Na szczęście obecny przy całym zajściu doktor Wit uspokajał pacjentkę dyskretnym mruganiem oka. Przysłuchujący się rozżalanej konsulowej mężczyzna stwierdził: – To jeszcze nie tak groźnie! [...] – Gdy ja tu przyjechałem, zaprowadził mnie senior przed lustro i pyta: „Co pan tam widzi? – Cóż innego mogę widzieć? Doktora i siebie. – Żle pan widzi! Ja widzę doktora i wieprza. Tuczony warchlak!

Równie bezwzględnie został potraktowany tęgi dyrektor fabryki, Stanisław Młodzianowski, który pofatygował się do kosowskiej lecznicy z Warszawy. Wielki brzuch Młodzianowskiego od razu przykuł uwagę doktora, który bez pardonu klepnął jego właściciela i nie przebiegając w słowach, zapytał: – No,

ile sznyci tam wpakowałeś? Co? Ile proszków, kaczek i golonek? Wszystko masz tu zostawić i żebyś stał się normalnym człowiekiem, obżartuchu. Jutro o szóstej pobudka i biegiem na plac ćwiczeń! – Po takim wstępie dyrektor, nieprzywykły do słuchania rozkazów i krytycznych uwag, zrezygnował z kuracji i wrócił do Warszawy. Wspominająca te tragicomiczne przeżycia pacjentów, Eugenia Kruk-Rostańska z sentymentem dodała: – To był Apolinary Tarnawski, złote serce, przezacności człowiek i śmiertelny wróg obżartuchów, lekarz niespotykanej uczciwości.

Szczerłość doktora w wyrażaniu przesadnie krytycznych opinii była powszechnie znana i większość pacjentów podchodziła do nich z należytym dystansem. Nie musiał się jednak niczego obawiać ten, który do pierwszej rozmowy podszedł z ufnością. Dr Apolinary, widząc pogodne nastawienie pacjenta, w życzliwej atmosferze poddawał go badaniu i rozmawiał o higienicznych błędach popełnianych przez chorego, które przyczyniły się do pogorszenia jego vitalności. Na koniec zalecał odpowiednie dlań zasady higieny i diety, które miały poprawić stan zdrowia i samopoczucie pacjenta. Krótki opis takiej ordynacji pozostawił przywoływany już wcześniej Marian Dąbrowski, który nazywał Tarnawskiego – Starym Tołstojem, tylko z mniejszą brodą. Według tej relacji, doktor postawił szczegółową diagnozę (dwukrotne zwiększenie serca, trzykrotne zwiększenie wątroby i skutki obżarstwa), a następnie wydał zalecenia dietetyczne i higieniczne. Z całego opisu można wywnioskować, że wizyta u Tarnawskiego wywarła na Dąbrowskim ogromne wrażenie. Nie mniejsze wrażenie pierwsze spotkanie z sędziwym doktorem wywarło na małżonce Dąbrowskiego – Marii, która udała się do Kosowa w 1925 roku, zapewne zachęcona barwnymi opowieściami swojego męża. Budzący grozę doktor okazał się łaskawy również i dla niej. „Stary dr Tarnawski nie gniewał się na mnie wcale, ponieważ mam wagę taką, jak lubi” – pisała w jednym z listów do męża, zadowolona z przebiegu ordynacji Dąbrowska.

Podobne wrażenia po pierwszej wizycie u doktora miała inna pacjentka, która pytana o to, czy senior Tarnawski był bardzo straszny, odpowiedziała: – Był czarujący. Tylko mi, swoją drogą, naurągał, że się w mieście ob-



żeramy, powiedział, a potem poniewczasie zaczynamy się troszczyć o „linię”. Strasznie wykił mój *maquillage*. Widzi pan? Już nie mam zrobionych ust. [...] Młodszy doktor powiedział, że *maquillage* zrobi mi w tydzień kosowskie słońce.

Nie każdy jednak miał tyle szczęścia, ile wspomniani powyżej pacjenci. Znany był bowiem w historii kosowskiej lecznicy przypadek (zapewne nie jeden, ale ten został udokumentowany) chorego z ogromną otyłością, który nie został przyjęty przez doktora Tarnawskiego na kurację. Pacjent ten z powodu swojej nadwagi nie mieścił się w żadnej z zakładowych wanien. Mimo próśb i nalegań, a także okazałej sumy pieniędzy oferowanej doktorowi za przyjęcie, chory nie został przyjęty na leczenie, ponieważ według Tarnawskiego było zbyt duże wydawanie pieniędzy na kurację, która i tak już nie pomoże pacjentowi z taką nadwagą. Ponadto doktor zastrzegał, że otyli kuracjusze, którzy nie chcą wprowadzić zasad higieny w życie, a przyjeżdżają jedynie po to, by pozbyć się kilku kilogramów, nie powinni zajmować miejsca innym. Takich pacjentów przyjmowano do lecznicy tylko jednorazowo po to, by nauczyli się wstrzemięźliwości i życia według zasad higieny.

Każda pomyślna wizyta kończyła się odaniem pacjenta pod opiekę jednego z kilku lekarzy pomocniczych, który od tej pory miał troszczyć się o kuracjusza. Ordynacja u kierownika zakładu z reguły nie trwała zbyt długo, stary doktor bardzo często stawiał diagnozy intuicyjnie, polegając na swoim długoletnim doświadczeniu lekarskim.

Po rozmowie z seniorem Tarnawskim, wedle prospektu lecznicy, pacjent udawał

się do jednej z pięknych, ale skromnie urządzonych willi, gdzie mógł się rozgościć. Pierwszy dzień w zakładzie miał być przeznaczony na odpoczynek, zalecano jednak rozpoczęcie pobytu od ciepłej kąpieli, która oczyszczała z kurzu podróżnego i niejako zaznajamiała nowego pacjenta z jednym z ważniejszych elementów kuracji, którym były kąpiele wodne. Pierwszy dzień pobytu na terenie zakładu prawdopodobnie upływał też na spacerach wśród wspaniałych klombów kwiatowych i drzew owocowych, zapoznawaniu się z wyśmienitym towarzystwem odbywającym w tym czasie kurację oraz poznawaniu malowniczej okolicy.

Kolejny dzień w zakładzie nie przypominał już nowicjuszm sielanki dnia poprzedniego. Dla wielu pacjentów okazywał się momentem krytycznym, przerastającym ich wątłe siły. Wczesnym rankiem, gdy goście lecznicy jeszcze smacznie spali bądź leniwie przewracali się z jednego boku na drugi, w zakładzie rozlegał się głośny, rytmiczny i powtarzający się huk. „Hałasi jak najęty, dzikim tata, tata (...). Grzmoci w duszę bębniący, dziki, chiński taran!”. Dźwięk japońskiego tamtamu, wielkiej, brązowej tarczy z wizerunkiem smoka, wrywał pacjentów z błogiego snu. Wczesna pobudka była jednym z elementów kształtowania silnej woli oraz sposobem na powrót do naturalnego rytmu przyrody. Pierwsze uderzenia były wolne i miarowe, by co gorliwsi pacjenci mogli po przebudzeniu zdążyć pobrodzić gołymi stopami po zimnej rosie. Moment ten uwiecznił piórem felietonista „ABC”, pisząc humorystycznie: „Wkrótce ze wszystkich dworków wysypuje się na trawniki i klomby olbrzymiego parku kosowskiego groma-

da bosonogich, białych postaci. Widocznie nie otrząsnęły się jeszcze ze snu, bo miast trzymać się utartych ścieżek, w dziwacznych płasach snują się po mokrej trawie. Z początku ociężali i senni, po chwili perypatecy ranni zaczynają się ożywiać. Wysoki, wąsaty brunet (w cywili dyrektor poważnej instytucji finansowej) zrzuca kurtkę i, wydając radosne piski, tarza się po mokrej trawie. Przykład działa zaraźliwie. Wkrótce kąpie się już w rosie wydatny brzuszec leciwego profesora, a kościsty inżynier na oprószonej siwizną głowie fika rozkoszne kozły”.

Z kolei redaktor „Kuriera Poznańskiego” wychwalał zalety tego zabiegu: „Czy państwo wiecie, co to jest rosa! Ta rosa, która kocha się na zabój w słońcu, odbija je w sobie, pozwala mu wchłaniać. Otóż poza tym wszystkim ma rosa właści-

wości utlenionej wody i stąd działa ożywczo i podniecająco”. Pozostali w tym czasie dosypiali, nim gong zaczął wydawać szybkie i nerwowe dźwięki sygnalizujące, że zbliża się pora obowiązkowej gimnastyki.

Fragment rozdziału *Przeciętny dzień w nieprzeciętnej lecznicy* z książki Natalii Tarkowskiej pt. *Lecznicza narodu. Kulturotwórcza rola Zakładu Przyrodoleczniczego doktora Apolinarego Tarnawskiego w Kosowie na Pokuciu (1893–1939)*, Kraków 2016.

Ćwiczenia w lecznicy dra Tarnawskiego w Kosowie k. Kołomyi, fot. Mikołaj. Sieńkowski Kosów – ze zbiorów autorki



Anna Stengl

RYSZARDA J. CZARNOWSKIEGO OPOWIEŚCI O LWOWIE I KRESACH

Zapewne wielu Lwowian, Kresowian, ale i innych osób zainteresowanych utraconymi ziemiami południowo-wschodnimi II Rzeczypospolitej, sięgnęło już po publikację, a właściwie opowieści Ryszarda Jana Czarnowskiego, zakochanego we Lwowie, posiadającego wielkie zbiory dokumentów, fotografii i przede wszystkim grafik własnego autorstwa.

Wydaje się jednak, że warto przybliżyć tytuły wydanych książek, bowiem każda z nich zasługuje na uwagę ze względu nie tylko na treść, ale także ze względu na bogatą szatę graficzną.

Jako pierwsza z cyklu publikacji o Lwowie, w 2010 roku, ukazała się książka pt.

Lwów – legenda zawsze wierna. Ta opowieść przedstawia bogatą historię Lwowa w sposób bezpretensjonalny, z elementami osobistych refleksji, opisuje najważniejsze miejsca i wydarzenia, stanowiące o naszej codziennej świadomości narodowej.

Lwów – legenda zawsze wierna to książka o Lwowie w najważniejszych jego aspektach, a więc o: dziejach miasta w kolejnych okresach historii, wybitnych postaciach, nekropoliach, nauce, kulturze, obiektach sakralnych. Bliski jest język, styl, sposób przedstawienia poszczególnych wątków, ujmuje w niej szczerść i prostota. A tak napisanej treści towarzyszy niezwykle bogata, dopracowana szata graficzna, w której zachwyca-

ją ilustracje pochodzące ze zbiorów autora i jego syna Jakuba.

Zdecydowałam się na zacytowanie poniżej tekstu dedykacji. Mam nadzieję, że będzie to zrozumiałe zarówno dla autora, jak i dla czytelników, bowiem myślę, że bliskim, którzy przedwcześnie odeszli, także należy się pamiętać i podziękowanie, jak to uczynił autor:

„Wszystkim, którzy nie wyrzucili z serc Utraconego Miasta, Miasta swego dzieciństwa, Tym, do których przyszło Ono nową miłością, Tym, którzy pod powiekami stąpają ulicami Lwowa – śladami swych przodków, i Tym, którzy pozostali tam na zawsze, oraz przede wszystkim mej Ukochanej Żonie Ewuni, która nie doczekała ukazania się tej książki drukiem, a bez Niej by ona nigdy nie powstała”.

Wśród tekstu podziękowań znalazły się ciepłe słowa dla właściciela Wydawnictwa „Galaktyka” – pana Andrzeja Nowakowskiego – za to, że zdecydował się książkę wydać, w dodatku bez większych ingerencji objętościowych i merytorycznych, a także podziękowania dla syna Jakuba Czarnowskiego, autora czterech albumów fotografii z Kresów dawnej Rzeczypospolitej.

Pragnę dodać, że mieliśmy zaszczyt gościć autora w Krakowie, z pierwszą częścią trylogii o Lwowie, na spotkaniu członków Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” 1 lutego 2011 roku.

Lwów sacrum et profanum (2012) to drugi tom trylogii, poświęcony miastu – Bramie Kresów – jak to określa autor; tom mniej historyczny, bardziej sentymentalny. To czas międzywojennego Lwowa (1918–1939), lwowscy Żydzi, kaplice, kościoły, klasztory; miejsca i postacie – Pani Zaświecica Maryla Wolska i młodzi poeci, m.in. Jan Kasprowicz, Ostap Ortwin, Leopold Staff, Stanisław Przybyszewski, Władysław Orkan; poeta, prozaik, bard lwowski Henryk Zbierzchowski – pseudonim Nemo.

Trzecim tomem trylogii, który jest w przygotowaniu, ma być *Semper fidelis*.

Zarówno *Lwów – legenda zawsze wierna*, jak i *Lwów sacrum et profanum* wydane zostały przez Wydawnictwo „Galaktyka” z siedzibą w Łodzi.

Następne pozycje opracowane przez Ryszarda J. Czarnowskiego, pięknie wydane

przez Oficynę Wydawniczą Rytm, tworzą rodzaj serii „Moje Kresy”.

Są w pewnym sensie niezwykle zarówno w swej treści, jak i w szacie: kremowy papier, przejrzysty druk, przyjazna czcionka, grafiki, fotografie, ozdobniki – to wszystko sprawia, że miło je wziąć do ręki, no i oczywiście czytać.

Trzy z nich dotyczą miast: *Krzemieniec. Zaginione miasteczko* (2014), *Żółkiew. Hetmańskie gniazdo* (2015) i *Grodno. Zapomniana stolica* (2015).

Nie sposób przedstawić w krótkim opisie treści tych publikacji, bowiem można by zniekształcić intencje autora i nieuważnie „pokaleczyć” te piękne opowieści. Natomiast warto zacytować tu słowa autora, zawarte w tomie *Krzemieniec*.

„Jeśli me subiektywne, wybiórcze, acz jak najbardziej realne opisanie przypadnie Ci, Przyjacielu, do serca, wiedz, że w przygotowaniu są już kolejne tomiki z serii „Moje Kresy”: *Żółkiew – kolebka* i *Grodno – zapomniana stolica*”.

A także: „Jednocześnie chcę przeprosić za ewentualne błędy i za to, że zapewne wielu z Państwa nie znajdzie tu postaci bliskich i znajomych, których być może szukało na kartach tej książki. Jedynym usprawiedliwieniem jest niemożność wyczerpania tematu Kresów... kiedykolwiek”.

Zapewne ten cytat można odnieść do wielu publikacji dotyczących Lwowa i Kresów.

Dwie następne pozycje, także wydane w serii „Moje Kresy” przez Oficynę Wydawniczą Rytm w 2016 roku to: *Lwów. Okupacja sowiecka* i *Lwów. Okupacja niemiecka*. Myślę, że treść zawarta w tych tomikach nie wymaga komentarza, bowiem autor opowiada o historii tragicznych dni walki i kolejnych okupacjach wojennych, o dniach zagłady polskiego miasta. Nie jest to „suche kalendarium” (jak to określa autor), ale relacja oparta na autentycznych dokumentach i wspomnieniach świadków, jak Barbara Mękarska-Kozłowska, Witold Szolginia czy Emil Hlib. Najbardziej wstrząsające jest to, że w tych opowiedzianych przez autora wydarzeniach nie ma cienia beletryzacji. Jest to świadectwo, dotyczące tamtych bolesnych wydarzeń, opowieści o wojennym Lwowie.

I kolejna pozycja z serii „Moje Kresy”, wydana w 2017 roku: *Wokół Lwowa szła-*

kiem Sobieskiego to wędrówka po ziemi lwowskiej. Szlak od Oleska, miejsca narodził króla Jana III Sobieskiego, poprzez Podhorce, Złoczów, Zadwórze, Pomorzany, Pieniaki, łączy historię ze współczesnością. Treść tego opracowania jest fascynującą opowieścią o historii, kulturze i życiu obwodu lwowskiego.

Na koniec – piękne opracowania, rzecz można albumy: *Lwów. Dzieje miasta* (2015) i *Wilno. Dzieje i obraz miasta* (2016), wydane przez wydawnictwo „Jedność”. Autorami są panowie Ryszard J. Czarnowski i Eugeniusz Wojdecki.

O pierwszym z nich (*Lwów. Dzieje miasta*) Krzysztof Masłoń napisał: „Szczególnej urody to książka, niezależnie bowiem od warstwy merytorycznej, historycznej czy narracyjnej, przykuwa uwagę wspaniałą ikonografią (...) dzięki czemu nie tylko czyta się, ale i ogląda ją z ogromną przyjemnością”.

Lwów. Dzieje miasta nagrodzono mianem Najlepszej Książki Roku 2015.

Jest to pierwsze tak szerokie ujęcie dziejów Lwowa, jakże bliskie, pisane językiem prostym, dalekim od trudnych opracowań naukowych, z pięknymi ilustracjami. Wydarzenia historyczne, sylwetki wielu zasłużonych, związanych ze Lwowem Polaków, zabytki, nekropolie, ale także dramaty wojenne, okupację, zbrodnie (...) słowem to wszystko co było Lwowem! Całość wydania zamykają reprodukcje obrazów ujęte w Czarną Galerię – Dzieła utracone.

Wilno. Dzieje i obraz miasta. Podobnie wydana, wszak to także wydawnictwo „Jedność”, pod względem układu, formy, języka, staranności opracowania. Bogata ikonografia (fotografie, reprodukcje, starodruki, dokumenty) sprawia, że tę książkę-album nie tylko czyta się z zainteresowaniem, ale także ogląda z równie wielkim zaciekawieniem. W treści wydania szeroko, ale w interesujący sposób, z dużym rozmachem przedstawiona jest historia Wilna, a także zabytki w obrębie miasta drogiego sercu wielu Polaków. W drugiej części, nieco współcześnie, spacer po Wilnie, ale rzecz jasna w świetle historii tego pięknego miasta: obiekty sakralne, Sanktuarium Ostrej Bramy, miejsce związane z życiem św. Faustyny i kultem Bożego Miłosierdzia, nekropolie wileńskie,

Katedra, współcześnie zaś – wileńskie jarmarki, tzw. kaziuki.

Raz jeszcze posłużę się fragmentem recenzji Krzysztofa Masłonia, który napisał: „Opowieść panów Czarnowskiego i Wojdeckiego czyta się jednym tchem, choć jej rozmiary są ogromne. W żadnym razie ta pięknie ilustrowana książka nie jest przewodnikiem po Wilnie. Najważniejsze jest co innego. To wolna od poprawnościowych wymogów, zwarta historia miłosa: o uczuciu do ojczyzny, tradycji, historii, do wszystkiego, co tak pięknie gra nam czasem w duszy”.

Kończę moją „opowieść” o opowieściach niezwykłego Człowieka z pasją, obdarzonego wielkim talentem, wielką wiedzą i miłością do Lwowa, Ryszarda Jana Czarnowskiego. Jego ogromna praca to jedno, ale jego serce, zaangażowanie, talent, wszystko to, co daruje nam, czytelnikom, to wartość nie do przecenienia.

Czekamy na dalsze opowieści, Panie Ryszardzie!

* * *

Ryszard Jan Czarnowski – pisarz, grafik i malarz, znawca historii i sztuki, przewodnik, bibliofil. Działacz drugoobiegowego ruchu wydawniczego w PRL; za działalność podziemną został uhonorowany przez Ministra Kultury i Sztuki RP odznaczeniem Zasłużonego Działacza Kultury.

Został także doceniony poprzez nadanie mu tytułu Obrońcy Dziedzictwa Narodowego (Komitet Katyński i Krąg Pamięci Narodowej) oraz odznaczony Medalem dla Osób Represjonowanych (Urząd ds. Kombatan-tów i Osób Represjonowanych). Członek i współzałożyciel Kazimierskiej Konfraterni Sztuki, grupującej twórców związanych z Kazimierzem Dolnym nad Wisłą.

Człowiek z pasją, niezwykle utalentowany, z wielką wiedzą i miłością do Lwowa.

Eugeniusz Wojdecki – podróżnik, grafik, filmowiec, kolekcjoner breloków (!), założyciel i wydawca „podziemnego” wydawnictwa LOGOS. Za działalność wydawniczą odznaczony przez Ministra Kultury i Sztuki odznaczeniem Zasłużonego Działacza Kultury.

Z ANDRZEJEM CHLIPALSKIM

rozmawia Janusz M. Paluch

Mieszkaś w tych „krakowskich stronach” od 1944 roku. Czy pamiętasz, jak przyjmowano was, ludzi wypędzonych z Kresów, pozbawionych niemal z dnia na dzień dorobku życia? W końcu niewielu udało się wywieźć ze sobą meble, wyposażenie domów, książek etc. Nie ukrywam, że z relacji pisemnych i ustnych nie wygląda to korzystnie dla krakowian, którzy z uprzedzeniami i chłodem, z moralnego przymusu, przyjmowali ekspatriantów... Powodowało to, że niektórzy kresowianie, jeśli tylko mogli i nadarzyła się im korzystna sytuacja, uciekali czym prędzej z Krakowa, najchętniej do Wrocławia...

Przyjechaliśmy ze Lwowa do Wieliczki jeszcze podczas okupacji niemieckiej. Rzeczywiście nie zawsze było miło. Mnie na szczęście nie dotknęły te różne przykrości, bo zajechaliśmy do bliskiej i kochanej cioci, Stasi Smrokowskiej. Miałem 13 lat. Przez dwa lata chodziłem do szkoły w Wieliczce, a potem już w Krakowie do Gimnazjum i Liceum im. Jana III Sobieskiego. Po trzech latach, w 1949 roku, była matura, a potem studia architektoniczne na Politechnice Krakowskiej.

We Lwowie zostało twoje dotychczasowe środowisko koleżeńskie, ale tu zyskałeś nowe, ze szkoły średniej i ze studiów.

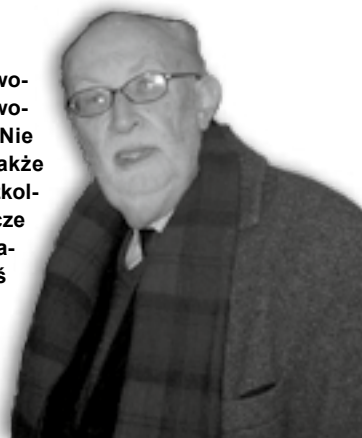
Teoretycznie tak, ale co zabawne, przyjaciela towarzyszącego mi przez większość życia – Bogdana Michalskiego, poznałem... w schronie, w piwnicach klasztoru oo. Reformatów w Wieliczce, bo tam ukryliśmy się – jak setki wieliczčan – w nocy, gdy sowieci wypierali Niemców z tych okolic.

Wracając jednak do środowiska koleżeńskiego, muszę się przyznać, że przyjaźni i bliższych znajomości szukałem raczej poza szkołami, w środowiskach towarzyskich czy związanych ze szczególnymi zainteresowaniami, które podzielałem. Do takich zaliczam przede wszystkim problematykę tzw. miłośnictwa Lwowa i w ogóle problematykę kresową. Te sprawy z czasem pochłonęły mnie bez reszty i trwają do dziś – inaczej mówiąc – do końca życia.

Chyba wszystko w twoim życiu ogniskuje się wokół Lwowa i Kresów. Nie sądziłem jednak, że także już wtedy, w czasach szkolnych. Skupmy się jeszcze na chwilę na tamtych latach. Opowiadałeś kiedyś o nauce języka angielskiego. Dzisiaj to nic nadzwyczajnego, ale w latach 40. XX wieku w szkołach nie uczono tego języka.

Poradzono mi drogą prywatną panią Adelę Duninową ze Lwowa, choć była rodem ziemianką z Zbrucza. Świetnie знаła kilka języków i uczyła ich. Zacząłem więc uczęszczać do niej na lekcje, które odbywały się w ponurych izdebkach na dole gmachu Muzeum Czartoryskich, na rogu ulic Pijarskiej i św. Jana. Po pewnym czasie dołączył do nas okresowo ksiądz z pobliskiego kościoła św. Floriana, Karol Wojtyła, który pisał pracę naukową i potrzebował pomocy językowej w angielskiej i francuskiej literaturze. Ja pozostawałem na jego lekcjach jako „przyzwoitka”. Po lekcji księdza odbywała się zawsze pyszna kolacja, przygotowywana przez panią Wisię, czyli Jadwigę Horodyską, znakomitą artystkę-rzeźbiarkę, siostrzenicę pani Adzi Duninowej, i jej współmieszkanek. Ksiądz mówił do pani Wisi żartobliwie: la cuoca (kucharka). Na te kolacje przychodziło coraz więcej osób, głównie z wyższych sfer, w większości z naszych, wschodnich stron.

W tamtym czasie pojawiła się w Krakowie, przybyła z Rumunii, bratanica pani Horodyskiej, Kinga, dla swoich – Kinia. Rodzina pochodziła z powiatu czortkowskiego, a po wybuchu wojny i wejściu sowieców jej ojciec został zabrany i zamordowany. Wtedy razem z matką uciekły do Rumunii. Tam Kinia zaczęła chodzić do szkoły, ale matka niespodziewanie umarła. Kinia zaopiekowała się wtedy protektorka szkoły, księżna Carra-gea, wywodząca się z rodu niegdysiejszych



fot. Janusz M. Paluch

cesarzy bizantyńskich. Kiedy, po II wojnie światowej, komunistyczne władze Rumunii nakazały wszystkim obcokrajowcom opuścić ten kraj, Kinia też musiała wyjechać. I w ten sposób – po pałacu w Bukareszcie (gdzie tańczyła nawet z królem) znalazła się w Krakowie, w strasznym mieszkaniu ciotek. Konieczne wtedy okazało się zapisanie Kiny do szkoły z internatem ss. Urszulanek na ulicy Starowiśnej. Zdała tam z czasem maturę i z powrotem zamieszkała u pani Wisi Horodyskiej, która – po niemałych trudach – wystarała się o dodatkowy pokój. Kinia prowadziła bogate życie towarzyskie. Znalazłem się w tej grupie osób obok m.in. Marysi de Geringer i kilkorga innych z tzw. dobrych rodzin, bo innych Panie by nie akceptowały. Oczywiście przyszły studia i nasza grupa się rozleciała. Nie chce mi się wierzyć, że tych osób już nie ma wśród żyjących, mimo że byli młodszy ode mnie.

Po jakimś czasie nasze Panie zostały wyproszone z budynku Muzeum Czartoryskich i przeniesione do mieszkania przy ul. Basztowej. Kinia wyszła niebawem za mąż – ślubu udzielał jej biskup Wojtyła. Małżeństwo jednak ze Staszkiem Wołkowickim nie było udane, prędko się rozpadło. Po niewielu latach oboje zeszli z tego świata.

Ale to są sprawy całkiem prywatne, choć warto od czasu do czasu o nich wspomnieć.

Nie mówiłeś dotąd o swojej pracy zawodowej.

Na początku naszej rozmowy wspominałem o wstąpieniu na wydział architektury na Politechnice Krakowskiej. Studiowałem w latach 1949–1955 i jeszcze przed dyplomem związałem się z powstającym wtedy w Krakowie oddziałem warszawskiego Biura Projektów Służby Zdrowia. Przez wiele lat zaprojektowałem – w większości na Śląsku – szpitale, przychodnie, ośrodki rehabilitacji. Niestety te najważniejsze – krakowski szpital wojewódzki w Wieliczce i pawilony Akademii Medycznej – nie doszły do skutku, bo wtedy nastąpił upadek tego typu inwestycji, pozostały mi do dziś stosy papieru. Nie mogę nie wspomnieć, że w latach 1984–1988 jeździłem siedmiokrotnie na delegację do Syrii, gdzie pomagałem w projektowaniu szpitali. Potem jeszcze przez parę lat pracowaliśmy z Alkiem Chodakiem oraz gronem inżynierów i techników, nasze nowe biuro nazwaliśmy „Hospides”. Niestety dłużej się nie dało, z inwestorami było marnie. Ale właśnie wtedy nastał dla mnie czas emerytury i wciągnęła mnie bez reszty tematyka lwowska.

Wspominałeś już o miłośnictwie Lwowa, o problematyce kresowej. Rok 1989 dla Kresowian w Polsce jest o tyle ważny, że w końcu można było zwrócić się ku utraconym Ziemiom.

Tak, we Wrocławiu powołano wtedy do życia, w 1988 roku, Towarzystwo Miłośników Lwowa. Potem nazwa została rozszerzona na Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Ale w skrócie mówmy: TML. Kiedy we Wrocławiu zawiązało się TML, to niebawem jego oddziały powstawały – jak grzyby po deszczu – w całej Polsce. Oczywiście także w Krakowie. To był rok 1989. Włączyłem się do pracy przy tworzeniu naszego krakowskiego oddziału, poznałem dziesiątki lwowiaków, tarnopolan, stanisławowian oraz wołyńian. Aktywnym członkiem w naszym towarzystwie był wówczas Janusz Orkisz. Prowadził nasze zebrania bardzo profesjonalnie. Zaproponował wtedy kandydaturę prof. Jerzego Kowalczyka na prezesa naszego Towarzystwa. Sam nie chciał kandydo-



Kartka pocztowa wydana z okazji jubileuszu Szkoły Marii Magdaleny (ze zbiorów A. Chlupalskiego)

wać. W takiej sytuacji prof. Kowalczuk został wybrany na pierwszego prezesa Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, a ja zostałem wiceprezesem. Współpraca naszego Oddziału z Zarządem Głównym była wtedy bardzo intensywna. Kiedy we Wrocławiu prezesem ZG została pani Danuta Nespiak, mnie uczyniono również wiceprezesem. Szybko zrezygnowałem z tej funkcji. Ale to wtedy wystąpiłem z propozycją powołania do życia Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich. Niestety ta inicjatywa, mimo szerokiego poparcia ze strony członków oraz dość licznych prób podejmowanych w różnych ośrodkach – dotąd nie doczekała się realizacji. A środowisko Kresowian przecież tak szybko odchodzi!

Co działo się w środowisku Kresowian wcześniej, bo nie uwierzę, że przed 1989 rokiem nie spotykaliście się, nie rozmawialiście o Lwowie i Kresach...

Rzeczywiście takie spotkania miały miejsce, nawet zanim powstał TMLiKPW. Gdzie się odbywały? Kolejno w kilku miejscach – najważniejsze były w podziemiach klasztoru oo. Dominikanów, a to dzięki o. Adamowi Studzińskiemu. Jednak tymi, którzy od początku to wszystko ożywiali, byli pan Stanisław Wasiuczyński i pani prof. Janina Winowska. Wcześniej spotykaliśmy się u Adwokatów na Sławkowskiej albo w jakimś biurze na Szewskiej, obok mieszkania naszej członkini, pani Teresy Wilkowej *de domo* Kondolewicz, siostrzenicy Szczepcia. To były takie kameralne spotkania. O tych sprawach pisaliśmy już na łamach *Cracovia-Leopolis*.

Ale skąd się takie grupy spotkaniowe brały?

To byli przeważnie znajomi lwowiaczy, którzy ściągali swoich znajomych i krewnych, i tak powiększała się ta grupa.

Czy to były już spotkania tematyczne, z prelekcjami?

Na początku były to spontaniczne spotkania, podczas których opowiadaliśmy sobie nawzajem a to własne historie albo relacje z wyjazdów do Lwowa, a to znowu jakieś tematy, które nas zajmowały. W końcu zaczęliśmy do tych spotkań podchodzić poważniej i wreszcie nadszedł czas, że po-



stanowiliśmy je sformalizować i wzbogacać także różnymi imprezami.

Co było pierwsze?

Pierwsza, w 1994 r., była wystawa książek zatytułowana „Lwów i Kresy Południowo-Wschodnie w kolekcjach zbieraczy lwowskich”. Skorzystaliśmy wtedy z książek zgromadzonych w Bibliotece Jagiellońskiej. Podczas naszego zebrania założycielskiego w 1989 r. wygłosiłem referat programowy naszego Towarzystwa. Zakreśliłem w nim ramy programu, czym będziemy się zajmowali i co w Krakowie będziemy robić.

W ten sposób wszedłem więc na drogę działalności organizacyjno-twórczej. Przez następne lata – do czasu całkowitego poświęcenia się redakcji kwartalnika *Cracovia-Leopolis* (były to więc lata 1989–1995) – współtworzyłem lub tworzyłem najrozmaitsze przedsięwzięcia i imprezy związane ze Lwowem, jego historią i kulturą, ale także z całą Małopolską Wschodnią.

Jakie najważniejsze innowacje organizacyjne wprowadzałeś?

Były to różne pomysły, które staraliśmy się realizować. Jednym z ciekawszych było stworzenie Kół, które skupiały dawnych mieszkańców Stanisławowa, Złoczowa, Tarnopola, Sambora etc. Z biegiem lat te koła się porozpyływały albo czasem usamodzielniały. Na przykład Złoczowianie – z wielkimi ambicjami Romana Maćkówki. To, że nagle spotykali się ludzie pochodzący z jednej miejscowości, było dla nich bardzo ważne, było ważniejszym lepiszczem niż ogólne towarzystwo miłośników Lwowa, z którym może nie mieli nic wspólnego. Dla wielu sama nazwa TMLiKPW mogła być abstrakcyjna, ale jak słyszeli np. Koło Tarnopolan, od razu czuli jedność. Ale i tak nie wszyscy to rozumieli i doceniali. Podjęliśmy też

bardzo ważną ideę organizowania mszy świętych w intencji – dzisiaj już świętego – abp. Józefa Bilczewskiego. Msze święte odprawiał ks. kardynał Franciszek Macharski, który z taką ojcowską troską odniósł się do naszej inicjatywy.

Organizowaliście też imprezy otwarte i adresowane do wszystkich mieszkańców Krakowa.

Asympt do wszczęcia takiej właśnie działalności dało nastanie jubileuszowego roku 1994. Było to wszak stulecie Powszechnej Wystawy Krajowej, otwartej we Lwowie w roku 1894. Dla uczczenia tej rocznicy nasze Towarzystwo ogłosiło rok 1994 Rokiem Lwowskim i od tamtej chwili rozpoczęły się liczne imprezy: wystawy, koncerty, spotkania naukowe i wspomnieniowe, msze święte. W tym wszystkim brałem udział jako inicjator i realizator, miałem bowiem wiele znajomości z różnych sfer, nie tylko ekspatrianckich, ale z całego kraju. Docierałem do znanych ludzi i instytucji z całego kraju, a i spoza.

Wśród organizowanych przez nas imprez za jedną z najważniejszych trzeba uznać koncert w Filharmonii Krakowskiej, który odbył się w 24 listopada 1994 r. – a więc zamykający Rok Lwowski. Nazwaliśmy go „Homagium Leopoli”. Zaprosiliśmy do niego siedmiu kompozytorów rodem ze Lwowa. Pięciu specjalnie na tę okoliczność skomponowało utwory poświęcone swemu miastu – Andrzej Kurylewicz, Stanisław Machl, Krystyna Moszumańska-Nazar, Andrzej Nikodemowicz i Bogusław Schaeffer. Dwaj ofiarowali swoje wcześniejsze dzieła – Wojciech Kilar i Stanisław Skrowaczewski. Wszyscy kompozytorzy potraktowali wykonanie swoich utworów honorowo. W realizacji tego przedsięwzięcia pomagała mi Lwówianka i kompozytor, uczestniczka „Homagium Leopoli”, pani prof. Krystyna Moszumańska-Nazar. Zagrała Capella Cracoviensis pod dyrekcją Stanisława Gałońskiego i Stanisława Krawczyńskiego. Cała korespondencja towarzysząca organizacji tego przedsięwzięcia zachowała się, co jest bardzo ważne, bo większość z uczestników tego koncertu już nie żyje. Dokładniej wszystko opisałem w kwartalniku CL nr 1/1995.

Wróćmy jeszcze do początków Roku Lwowskiego.

Początkiem była nasza doroczna uroczystość rocznicowa, odbyta wyprzedzająco, bo w listopadzie 1993 r. Była to uroczysta msza święta u Dominikanów, potem prelekcja prof. Artura Leinwanda i koncert dwóch zespołów. Wcześniej, w czasie mszy świętej w Bazylice Mariackiej, śpiewały chóry prof. Danuty Degórskiej-Czubek i Chór Cecyliński, a na organach grał prof. Bogusław Grzybek.

Koncertów było ponadto kilka, ale jeszcze więcej wystaw, głównie książek dawnych, przechowywanych w zbiorach, ale i nowych, świeżo napisanych. Cenię sobie pierwszą, pokazaną jeszcze przed Rokiem Lwowskim, wystawę o „Czterech przedwojennych kolekcjonerach”: ziemianinie – kolekcjonerze i bibliofilu – Franciszku Biesiadeckim, pisarzu Mieczysławie Opałce, Rudolfie Męckickim oraz introligatorze i senatorze Aleksandrze Semkowiczu. Po tym ostatnim została we Lwowie oryginalna willa z napisem „Dom pod Książką”. Potem były wystawy, do których organizacji i nas dopraszano – w Międzynarodowym Centrum Kultury, Śródmiejskim Ośrodku Kultury czy w Galerii Domu Polonii. Pokazywano nie tylko książki, także albumy i widokówki, gazety o znaczeniu historycznym, plakaty, pamiątki po wybitnych ludziach, teatralia... Z tymi wystawami łączyły się sesje naukowe i popularne, ponadto w prasie i czasopiśmie ukazały się liczne artykuły oraz wydawnictwa.

Wspominałeś kiedyś o problemach związanych z odnową lwowskich cmentarzy.

Powojenne ratowanie zniszczonych lwowskich i wschodniomałopolskich cmentarzy to wielki problem, nie tylko obiektywny – roboczy, by się tak wyrazić, lecz bardzo uczuciowy. Ze wszystkich stron kraju, a i spoza granic też, odzywały się głosy, nawet zawiązywano komitety na rzecz ratowania w pierwszym rządzie Cmentarza Obrońców Lwowa. Uważano, że tego wymagają względy patriotyczne, a i stan tej nekropolii – bestialsko zniszczonej przez okupantów. W tym świetle stary Cmentarz Łyczakowski i inne cmentarze lwowskie odkładano na drugi plan, tym bardziej że nie widziano z odległości ich zniszczenia przez czas oraz wartości Łyczakowa, pełnego zabytków i miejsc pochówku pokoleń, zwłaszcza wybitnych Polaków. Różnica



Prof. Jadwiga Winowska i Stanisław Woszczyński podczas spotkania u OO. Dominikanów (archiwum A. Chłipańskiego)

Z pracami prowadzonymi na cmentarzach wiąże się zdobywanie środków finansowych.

W tym celu podjęliśmy coroczne kwesty w dniach 1 i 2 listopada na cmentarzach krakowskich. Niestety nie było zrazu kandydatów na kwestarzy na innych nekropoliach niż Rakowice czy Salwator. Przeto – jako ówczesny prezes zarządu oddziału krakowskiego TML – poczułem się zmuszony do podjęcia kwesty na ogromnym cmentarzu w dość oddalonych od centrum miasta Batowicach. Razem z kol. Edwardem Adlesem spędzamy tam co roku szereg godzin, ale z dobrym skutkiem. Co roku ludzie dopytują się o nas z sympatią. Kwesty są też na Podgórzu, a tarnopolanie zbierają na cmentarz w Tarnopolu. Niestety odpadł Stanisławów, bo tam polski cmentarz zburzyli okupanci.

Do kwest włącza się młodzież szkolna. W tym miejscu muszę wymienić młodego historyka – krakowianina, ale entuzjastę Kresów, Pawła Należniaka, który przed laty przyłączył się do nas. Pracując w szkolnictwie i w Instytucie Pamięci Narodowej zaraża problematyką kresową młodych ludzi. To dla nas wielka satysfakcja.

Czy w swojej działalności po tamtej stronie kordonu ograniczasz się do samego Lwowa?

Bynajmniej. Tu warto poruszyć współpracę z „Wspólnotą Polską” i jej krakowskim prezesem prof. Zygmuntem Kolendą. Miałem szansę objechania wielu miejscowości, skąd dochodziły wiadomości o złej sytuacji Polaków. Tam nawiązywaliśmy kontakty co do spraw bytowych, ale i kultury polskiej. Potem zbieraliśmy w Krakowie książki, które przy okazjach przesyłamy. Tak zresztą jest do dziś, problemem jest tylko transport. Ale tu ratuje nas pan Maciej Wojciechowski ze swoim samochodem! Później jeździliśmy parokrotnie z Panią Romą Machowską. Niestety jej już nie ma...

Reasumując, wiele się działo. Ale jeszcze coś bardzo ważnego, o czym wreszcie musisz opowiedzieć. Pewnego dnia narodził się nasz k w a r t a l n i k, jeszcze nie wiadomo, o jakiej nazwie...

Stop! Nim się narodził, musiało zaistnieć zapłodnienie. Dokonało się ono we Lwowie przed Bożym Narodzeniem w 1989

zdań dawała się odczuć nawet w gronie krakowskich członków Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW.

W końcu, po rozmowach półprywatnych i oficjalnych, doszło do pozytywnego rozwiązania. Uzyskano zgodę władz ukraińskich na podjęcie przez Państwo Polskie robót budowlanych na Cmentarzu Orłąt i odbudowę części architektury – z jednym wyjątkiem: bez Pomnika Chwały, tzn. kolumnady z dwoma kamiennymi lwami (mimo iż obie rzeźby w ostatnim czasie sprowadzono z miejsc „wygnania”, ale w końcu obudowano deskami). Katakumby i groby odbudowano.

Natomiast Cmentarz Łyczakowski pozostawiono stronie społecznej. Władze zgodziły się na podjęcie robót przy grobowcach i pomnikach przez miejscowych Polaków oraz stały nadzór ze strony polskiej, konkretnie – oddziału krakowskiego TML. W tej kwestii wypada docenić organizacyjny udział prezesa Adama Gyurkovicha oraz aktywność merytoryczną wiceprezesa Stanisława Czernego i Ryszarda Deforta. Na tej zasadzie uratowano smętne resztki grobów z powstań listopadowego i styczniowego (na tzw. Górce Powstańczej). Z czasem podobne prace podjęto – idąc za tym wzorem – na Cmentarzu Janowskim, a także w Tarnopolu.

roku. Tam we Lwowie się przecież poznaliśmy. Do Lwowa pojechaliśmy z okazji koncertów Akademickiego Chóru „Organum” w Samborze i Lwowie. Pamiętam, siedzieliśmy przy obiedzie w stołówce studenckiej na Politechnice Lwowskiej. Ty, Stanisław Dziedzic – dyrektor ówczesnego Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Krakowa, Bogusław Grzybek – dyrygent Akademickiego Chóru „Organum”, i ja. I wtedy padło z waszej strony pytanie, czy nie podjąłbym się realizacji powołania takiego pisma? Rzeczywiście taki pomysł nosiłem w sobie od dawna, ale nie było przecież takich możliwości, nie tylko finansowych. Kiedy z waszej strony padła ta propozycja, zaczęło się to krystalizować. Pierwszy numer kwartalnika ukazał się jednak dopiero w sierpniu 1995 roku. Przez ten czas byliśmy zajęci tworzeniem w Krakowie oddziału Towarzystwa. To były bardzo owocne lata. Po długim okresie, kiedy oficjalnie nic nie można było zrobić dla Kresów, nagle można było mówić, pisać, organizować spotkania, wystawy, a nawet posiadać własne pismo.

Po jakimś czasie przedłożyłem koncepcję: charakter i tytuł pisma. Propozycji tytułu było wiele, ale chwycił mój: *Cracovia–Leopolis*. Dlaczego te dwie nazwy miast? Przecież miało być o Lwowie? – pytano. I słusznie, ale ja uważałem, że to jest „głos z Krakowa dla Lwowa”. A dlaczego po łacinie? Bo łacina wiąże nas z Zachodem – tłumaczyłem – i nie da się jej przełożyć na inny język, którego nie lubimy. I przyjęło się!

Pismo od razu spodobało się w całym kraju, przyszło dużo listów pochwalnych i próśb o kontynuację w takim stylu, jak zaczęliśmy. Trzeba zwrócić uwagę, że wtedy było już na rynku wydawniczym kilkanaście pism lwowskich. Ale *Cracovia–Leopolis* spodobała się szczególnie.

Kto jeszcze przy tym pracował?

Wśród osób, które zajęły się redagowaniem pisma znalazł się plastik Bohdan Prądyński, który opracował stronę graficzną pisma, istniejącą do dzisiaj. Byliśmy zaprzyjaźnieni z rzeźbiarką Wandą Czełkowską, a Bohdan był jej mężem. Wanda pochodziła z Wilna, po latach wyprowadziła się z Krakowa, nadal tworzy w Warszawie. Mieszka i pracuje w opuszczonej

hali fabrycznej, gdzie stoją jeszcze resztki maszyn. W niewielkim boksie ma urzędowy pokój, w którym mieszka. Ona nie ma szczęścia do mieszkań. W Krakowie mieszkali wraz z kilkorgiem innych artystów na ul. Karmelickiej 27, w mieszkaniu pozostawionym przez znakomitego rzeźbiarza prof. Xawerego Dunikowskiego. Kiedy kamienica wróciła do dawnych właścicieli, musieli opuścić mieszkanie (Bohdan już wtedy nie żył). Podobnie straciła mieszkanie w Warszawie. Z tego grona pochodziła też Barbara Czalczyńska. Basię poznałem właśnie u Wandy, u której odbywały się spotkania ludzi sztuki i kultury z krakowskiego świata artystycznego. Basia była pisarką katoliczką, współtwórczynią i przez parę lat prezeską Klubu Inteligencji Katolickiej w Krakowie.



Jadwiga Horodyska (archiwum A. Chlipalskiego)

Kto dzisiaj o tych klubach pamięta? Basia pisała dla nas przez całe lata, do kiedy mogła, wstępne felietony literackie, pełne poezji i niesłychanej mądrości. Nie ma jej już między nami, zmarła w 2015 roku. Był też w naszej redakcji i dostarczał nam teksty, ale nie brał czynnego udziału w jej pracach, prof. Andrzej Olszewski z obecnego Uniwersytetu Pedagogicznego, ale wtedy chyba jeszcze Wyższej Szkoły Pedagogicznej. To mój kolega ze Lwowa, ze szkolnej ławy od Marii Magdaleny. Nasze rodziny we Lwowie się przyjaźniły. Był zawsze cichy i milczący

i tak niespodziewanie i cicho odszedł – zmarł w roku 2005. Ważną rolę w redakcji odgrywała pani Maria Taszycka, córka znanego polonisty prof. Witolda Taszyckiego, który od 1929 r. związany był z Uniwersytetem Jana Kazimierza we Lwowie. Tam urodziła się w 1934 roku pani Maria. Z falą ekspatriantów trafiła najpierw do Torunia, a potem, w 1946 roku, do Krakowa, gdzie Profesor dostał angaż na Uniwersytecie Jagiellońskim. Też już jej nie ma z nami od 2015 roku. Osobą, która zajmowała się kontaktami z czytelnikami i wysyłaniem *Cracovia–Leopolis* do naszych czytelników rozsianych w Polsce, ale i poza granicami była pani Roma Link-Machowska, która całe swoje życie podporządkowała sprawom kresowym. Działała na każdym froncie, w TMLiKPW, w redakcji *Cracovia–Leopolis* i w Stowarzyszeniu „Wspólnota Polska”. A jej nieodłącznym asystentem był mąż, przesympatyczny pan dr Zdzisław Machowski, który dbał o nią, pilnował jej na każdym kroku. Kiedy nadszedł dla nich czas ostateczny, oboje trafili do szpitala i w krótkim czasie po sobie odeszli. Najpierw on – w grudniu 2014 r., a później ona w marcu 2015 roku. Od samego początku jest z nami pani Krystyna Stafińska pilnująca głównie spraw Stanisławowa, pani Anna Madej – kolejna prezeska krakowskiego Koła Tarnopolan (po pp. Wacławie Obuchowiczu i Michale Lasockim), dalej pani Danuta Trylska-Siekańska doglądająca spraw Krzemieńca i Wołynia, pani Marta Walczewska zajmująca się sprawami Kościoła, Ireneusz Kasprzysiak. No i oczywiście ty, a także przez lata Basia Kościuk, która kierowała Klubem „Zaulek” przy ul. Poselskiej 9, gdzie odbywały się przez lata comiesięczne spotkania TML oraz zebrania naszej redakcji – aż do likwidacji klubu. Nie mogę pominąć pana dra Jarosława Falla, który od początku zajmuje się przygotowaniem do druku i drukiem *Cracovii–Leopolis*, i jego pomocnika Piotra Rachwańca.

Przez 21 lat – czyli 84 kwartały – wydałeś prawie 90 numerów kwartalnika, a ponadto kilkanaście zeszytów i broszur okolicznościowych! To ogrom pracy!

Ta nieproporcjonalna liczba numerów wynika stąd, że były lata, w których wydawaliśmy więcej niż cztery numery. Ale w minionym roku tylko jeden. Przez te ponad dwie dekady doznawaliśmy hojności wielu ważnych urzędów, a w chwilach kryzysowych wspierali nas Kochani Czytelnicy. Wszak były lata, kiedy znikąd nie nadchodziła dotacja. Prawie zwiłaliśmy interes informując czytelników o naszych kłopotach i wtedy zaczynały napływać na konto TMLiKPW datki, większe i mniejsze. Wszystkim na bieżąco dziękowaliśmy i chętnie każdego bym raz jeszcze wymienił za ten dar serca. Muszę jednak o jednym, szczególnym darczyńcy w tym miejscu wspomnieć. Bo wiem wszystkiego mogliśmy się spodziewać, ale nie tego, że znaczna pomoc finansowa spłynęła z Londynu, i to od kogo! Samej pani Władzy Majewskiej! Kiedyś spotkaliśmy się z nią w Busku-Zdroju, gdzie corocznie przebywała na kuracji. Nie chciała w tej sprawie rozgłosu, wykręciła się też niestety od wywiadu dla naszego pisma... Teraz, kiedy jej już nie ma od 2011 roku, mogę o tym oficjalnie powiedzieć.



Dofinansowanie otrzymywaliśmy z różnych urzędów. Dbali o nas w różnych latach: Senat RP z marszałek Alicją Grześkowiak, Krakowski Urząd Wojewódzki z wojewodami Tadeuszem Piekarszem i Jackiem Majchrowskim, Małopolski Urząd Marszałkowski z marszałkiem Markiem Nawarą, Urząd Miasta Krakowa z prezydentami Józefem Lasotą, Andrzejem Gołasiem i Jackiem Majchrowskim oraz dyrektorem Wydziału Kul-

tury i Dziedzictwa Narodowego UMK Stanisławem Dziedzicem, Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa z przewodniczącymi śp. Andrzejem Przewoźnikiem i Andrzejem Kunertem. Wszystkim raz jeszcze w tym miejscu pragnę serdecznie podziękować.

Znając twą skrupulatność, prowadziłeś bez wątplenia statystyki. Wszak tych prawie setka numerów kwartalnika to tysiące stron maszynopisu, kilkudziesięciu autorów... Wiem, że z czymś jednak nadal jesteś na bakier – internet...

Rzeczywiście, gdy spojrzeć od strony statystycznej wstecz, to można popaść w dumę i zadziwienie, że tyle się udało. Te 90 numerów to ponad 6000 stron druku, których autorami były setki osób. Myślę, że powinniśmy jeden numer poświęcić na same indeksy. Rzeczywiście internet jest dla mnie czymś zupełnie obcym, czego już chyba nie ogarnę. Ale cieszę się, że nasz kwartalnik dostępny jest dla wszystkich, pod każdą szerokością geograficzną, w internecie. I choć sam na stronę nie zaglądam, zawsze musi ktoś mnie tam zalogować, to adres naszej strony znam na pamięć – www.cracovia-leopolis.pl – i serdecznie zapraszam do jej odwiedzania!

Dlaczego postanowiłeś zakończyć pracę nad kwartalnikiem? W tamtym roku ukazał się tylko jeden numer? Nie chciałeś kontynuacji pisma?

Zabrakło sił fizycznych i umysłowych, pamięć odmawia posłuszeństwa. Powiadałem Czytelników, że trzeba kończyć. Protestowali, ale z *pustego i Salomon nie należy*. Liczyłem na to, że ktoś inny zakasze rękawy i otworzy drugi etap historii *Cracovia–Leopolis*. Wszyscy na ciebie liczyli, Januszu, i udało się. Powodzenia!

Dziękuję bardzo. Mam nadzieję, że teraz nie opanuje cię *dolce far niente*?

Ależ bynajmniej. Obiecałem synowi spisanie historii rodzinnych, które znam z opowiadań, literatury lub sam przeżyłem. To w sumie daje ponad 200 lat! Sam nie mogę doczekać się wolnego czasu. Zamierzam pisać do 120. roku życia! (*śmiech*) Może to kiedyś wydamy w ramach *Biblioteki Cracovia–Leopolis*?

Bardzo dziękuję za rozmowę!

SŁOWNIK NAZW ULIC I MIESZKAŃCÓW LWOWA

Ulica Sieniawska

Na wschód od Starego Rynku, ku górze biegnie ul. **Sieniawska** – dzisiaj *Užhorodska*, która od ulicy Stary Rynek jest kontynuacją ulicy Smerekowej. Prowadzi w kierunku Wysokiego Zamku, zbiega się z dawną ulicą Klasztorną – obecnie *Zamkową*.

Do połowy XIV wieku była to najważniejsza ulica Lwowa. W Lwowie „ruskim” stanowiła odpowiednik ulicy Grodzkiej w Krakowie – prowadzącej z Rynku na Wawel. Sieniawska prowadziła z Rynku, obecnie nazywanego Starym Rynkiem, na lwowski Wysoki Zamek. Po lokacji Lwowa „kazimierzowski” szybko straciła na znaczeniu. Ulica jest położona na zachodnim, bardzo stromym stoku Wysokiego Zamku. Ostro wznosi się ku górze w kierunku wschodnim. Dziś jest zupełnie zapomniana.

Przy ul. **Sieniawskiej 1** położony jest dawny **klasztor Zgromadzenia Służebnic Serca Jezusowego. Wzniesiony został w stylu neoromańskim** w roku 1911 wg projektu lwowskiego architekta Edmunda Żychowicza (1870–1924). Obecnie w budynku klasztornym mieści się 1. Miejski Szpital Kliniczny im. Kniazia Lwa. Na przestrzeni lat pod numerem pierwszym mieszkali ks. Karol Jastrzębski, Władysław Paszkowski – śpiewak operowy, ks. Władysław Chrzanowski, któremu 7 grudnia 1934 skradziono tam garderobę. Ponadto był to adres Teofilii Duszyńskiej, kupca Adama Kielanowicza oraz prawnika Henryka Kielanowicza.

Sieniawska 4 – w tej kamienicy mieszkali m.in.: Artur Leinwand – docent historii, Stanisław Dąbrowiecki – kuśnierz, Adam Bober – drukarz. 12 kwietnia 1929 r. w kamienicy aresztowano Zygmunta S., urodzonego w 1899 r., za podrabianie dolarów.

Sieniawska 6 mieszkali: m.in. Eliaż Fedak – urzędnik, Marek Gall – handlowiec.

Sieniawska 8 – Józefa Szmigielska prowadziła w tej kamienicy zakład kominiarski, a mieszkali w niej m.in. Antoni Lasiota – woźny sądowy, Jan Karablowski.

O pewnym mądrym toaście

Nie powinien być zapomniany, choć ogłoszono go przed laty. Łączył dwie szkoły badawcze, które choć dzieliły je poglądy, współpracowały dla dobra nauki. Łączył również dwa ośrodki badawcze: Lwów i Kraków.

Od 5 do 7 czerwca 1900 roku obradował w Krakowie zjazd historyków polskich, świętujących pięćsetną rocznicę odnowienia Akademii, nazwanej z czasem Uniwersytetem Jagiellońskim. Zjazd zgromadził badaczy nie tylko z zaboru austriackiego i nie tylko narodowości polskiej, a jego cenny dorobek został osobno wydany drukiem. Zakończył swoje obrady uroczystym przyjęciem koleżeńskim – rautem w salach Sukiennic. Ostatnie słowo wygłosił profesor Oswald Balzer, wznosząc staropolski toast *Kochajmy się*.

Piękny to był obyczaj zamykania uczt takim wezwaniem. Poruczano ten obowiązek komuś, kto cieszył się uznaniem zgromadzenia, i wiadomo było, że w pięknej formie da wyraz cennej idei: wzajemnego szacunku i uznania ludzi, choćby różniących się poglądami.

– *Od dawnych czasów – mówił Balzer – zwykliśmy kończyć ucztę toastem „Kochajmy się”, gdyż przy stole biesiadnym rozgrzewają się nie tylko głowy, ale i serca. Ujawnia się wewnętrzna potrzeba podkreślenia, iż łączy nas jedna myśl, jedno pragnienie.*

– *Należy jednak – kontynuował – dodać pewien komentarz, nieodzowny w naszym środowisku, ludzi oddających się nauce. Owemu „kochajmy się” nie można przypisać znaczenia zbyt sielankowego. Zapewnić należy miejsce dla polemik i starć poglądów, niejedna bowiem polemika posunęła naukę znacznie naprzód, aniżeli całe biblioteki rozpraw.*

Nie wolno jednak pójść za daleko, mówił Balzer: – *Byłoby źle, gdyby zapanować miał jakiś antagonizm zaściankowy; naprzód dlatego, że to antagonizm, a po wtóre dlatego, że zaściankowy... Uznajmy się; nie wyrzekając się walki o rzeczy, będziemy mogli stwierdzić, na pociechę dla siebie, na pożytek nauki, że jest tu wzajemne poważanie naszej pracy.*

Niewątpliwie zawód nasz nie należy do tych, które by dawały zadowolenie łatwe i wszechstronne. Musimy go szukać w sobie samych; to co jest naszym głównym bodźcem to satysfakcja odkrywania prawdy. Ze wnętrzną atmosferą otaczającą prace nasze nie jest promienna i słoneczna, jakby się na pozór zdawało. W społeczeństwie ludzi, którzy by o nas wiedzieli, nie zawsze jest wielu. Tych, którzy by nas czytali, bez porównania mniej, a spośród czytających jeszcze mniej takich, którzy nas dobrze rozumieją. Są i tacy, którzy nas krytykują, choć ich krytyka nie ma podstaw: ci zazwyczaj potępiają najostrzej... Niechże zespolenie z naszymi towarzyszami pracy zadzierzgnie między nami węzły życzliwości i przyjaźni nierozzerwalne.

Powierzenie tego obowiązku Balzerowi nie było przypadkiem. Na przełomie XIX i XX wieku był on na pewno najbardziej zasłużonym uczonym, niewątpliwym autorytetem w zakresie historii ustroju Polski oraz środkowej Europy. Balzer (1858–1933) nie od razu związany był z naukowym środowiskiem Lwowa. Studiował bowiem także w Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie korzystał z opieki naukowej niewiele odeń starszego Michała Bobrzyńskiego (1849–1935). W Krakowie doktoryzował się w 1883 roku i wszedł z czasem w skład Akademii Umiejętności. Profesorem Uniwersytetu Lwowskiego został w 1887 roku. Oddał społeczeństwu polskiemu nieocenione zasługi w procesie o przynależność do Polski Morskiego Oka w Tatrach. Jak mu bowiem napisano na miejscu spoczynku łyżczakowskim: *Deo et patriae serviebat.*

Pełnił funkcję dziekana Wydziału Prawa i rektora, był dyrektorem Archiwum Krajowego Aktów Grodzkich i Ziemijskich, założył „Towarzystwo dla popierania nauki polskiej”, rozpoczął zasłużoną serię wydawniczą „Studia nad historią prawa polskiego”. Miał w swym dorobku tak pomnikowe dzieła jak „Genealogia Piastów”, czy „Geneza Trybunału Koronnego”, wiele cennych rozpraw i edycji źródłowych.

Wykładał studentom na pierwszym roku studiów prawniczych „Historię ustroju Polski”,

od powstania państwa do trzeciego rozbioru, nie wchodząc już w czasy porozbiorowe. Nie ujmował jednak swojego wykładu w podręczniku (co uczynił z sąsiednim wykładem, „Dziejami ustroju Austrii”), sądząc, że nie pozwala na to niedostateczny stan badań monograficznych. Doczekał się jednak tylko tego, że został w tym zakresie uprzedzony – podjął bowiem to zadanie Stanisław Kutrzeba (1876–1946), profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, następcą na Katedrze Historii Ustroju Polski po Franciszku Piekosińskim.

Choć zjazd historyków polskich w 1900 roku dopiero to zapowiadał, dojście niebawem do starcia poglądów. Stanisław Kutrzeba, który dał się poznać już jako autor publikacji poświęconych dziejom ustroju społecznego i wymiaru sprawiedliwości w Polsce, opublikuje w 1905 roku swoją „Historię ustroju Polski w zarysie”. Dzieło to służyć potem będzie przez całe półwiecze jako niezastąpiona synteza. Kutrzeba nie zakwestionował poglądu Balzera, iż stan badań monograficznych w tej dziedzinie jest niedostateczny; wyciągnął jednak z tego inny wniosek. Podkreślił, iż właśnie potrzebna jest – wstępna oczywiście – synteza, która ujawni wszystkie białe pola, braki, błędne poglądy i ułatwi dalsze badania, wykazując, co należy pogłębić i skorygować.

Dojście niebawem do polemiki, która będzie nie tylko polemiką Balzera i Kutrzeby, lecz także dwóch zasłużonych ośrodków naukowych: lwowskiego i krakowskiego. Stanie się to, co przewidział Balzer: polemika posunie naukę znacznie bardziej naprzód niż całe biblioteki rozpraw. Ujawni też różnice w poglądach, które charakteryzowały ówczesną naukę polską i nadal ją cechują do tej chwili: iż przyczyną upadku Rzeczypospolitej w XVIII wieku był atak z zewnątrz, który zadecydował o rozbiorach (bliski temu ujęciu był Balzer), czy też: przyczyną upadku Rzeczypospolitej były jej wady ustrojowe, ale nie tylko one, bo z nich – jak świadczy Konstytucja 3 Maja – wydobyliśmy się własnymi siłami (pogląd Kutrzeby). Obydwa te ujęcia w pełni zasłużyły się nauce nie tylko polskiej.

Mądra myśli zawarte w toąście Oswalda Balzera warto przypomnieć w czasie, kiedy pracownicy naukowci (uniknijmy tu określenia: uczeni) tak polemizować ku korzyści nauki nie potrafią.

Sieniawska 3 – mieszkali tam m.in. Gerwazy Krukowski – katecheta, Tadeusz Łuczkiwicz – urzędnik Towarzystwa Kredytowego.

Sieniawska 5 – brak danych.

Sieniawska 8A – brak informacji.

Sieniawska 7 – mieszkali tam m.in. Michał Maruszczak – motorniczy tramwaju, Franciszek Podboraczyński – woźny magistratu, Wilhelm Fuhrman – krawiec.

Sieniawska 9 – mieszkała tam Izydora Bober – nauczycielka.

Sieniawska 10 – znajdowało się tam przedsiębiorstwo Zakład Wodno-Kanalizacyjny i Energetyczny, prowadzone przez Polaka o nazwisku Michalski (imię nieznanne), które działało też w czasie okupacji niemieckiej. Tu znajdowały się warsztaty, natomiast administracja mieściła się przy ul. Wałowej (*Wałowa*) 7. Pracownicy zajmowali się głównie naprawą lwowskich wodociągów (relacja: Edward Adles) W kamienicy mieszkał m.in. Izaak A., który wraz z dwoma kolegami w dniu 9 lutego 1937 r. dokonał włamania do domu Hermana Lichta przy pl. Zbożowym 3. Złapany został przez Policję Państwową na placu Solskich.

Sieniawska 11 – mieszkali tam m.in.: położna Anna Gąsiorowska, Jan Radomański – piekarz ur. 1907, który brał udział w rozruchach z 1936 r., podczas których został ranny i hospitalizowany był w Szpitalu Powszechnym, Jan Stauban, Sabina Janczar – położna, Michał Baczmański – ślusarz, Ignacy Jaszczeński – piekarz, Stanisława Krajewska, która 30 sierpnia 1932 r. próbowała na terenie łąni żydowskiej przy ul. Bożniczej (*Sianska*) popełnić samobójstwo, przewieziona została do szpitala, Kazimierz Bazylewicz – kominiarz, Jan Ćwik – malarz. Z zapamiętanych wydarzeń odnotować mi się udało awanturę, do jakiej doszło 17 stycznia 1937 r., podczas której Julian Ł. zaatakował Pawła Wołoszczuka; 1 sierpnia 1937 r. okradziono mieszkającą tu położną Sabinę Janczer; policja aresztowała Dawida D., mieszkającego nieopodal.

Sieniawska 11A (13) – w kamienicy mieszkali m.in. Róża Haczkiwicz – 6 maja 1938 r. potrącona została przez ciężarówkę na ul. Słonecznej (*Kulisza*), Edward Grajewski – drukarz, Aleksander Graziado – urzędnik pocztowy, Irena Graziado – urzędniczka pocztowa, Adam Gula – szlifierz, Konstanty Gula – malarz, Marian Haftek – malarz pokojowy.

Sieniawska 12A – w kamienicy mieszkał m.in. 12-letnia Sala Hoender – w dniu 11 marca 1939 r. została potrącona przez auto na ul. Zamarstynowskiej (*Zamarstyniwska*); kierowca

Joachim Śliwa

KAROL HADACZEK (1873–1914)

Archeolog, profesor Uniwersytetu Lwowskiego

Postacią znaczącą w kręgu lwowskiej profesury był bez wątpienia także jedyny w tym środowisku – do pewnego czasu – archeolog, kierujący w latach 1905–1914 uniwersytecką katedrą oraz seminarium archeologii klasycznej i prehistorii. Takie połączenie obu specjalności było w przypadku Karola Hadaczka całkowicie uzasadnione, wynikało bowiem zarówno z jego kompetencji zawodowych, jak i szeroko zakrojonych badań (w tym również terenowych).

Karol Hadaczek urodził się 24 stycznia 1873 roku w Grabowcu, niewielkiej wsi w powiecie bohorodczańskim¹. Początkowe nauki pobierał w Lachowcach i Bohorodczanach, natomiast gimnazjum ukończył w Stanisławowie (1885–1893). Podjął następnie studia na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego, kierując swe zainteresowania ku filologii klasycznej i historii Polski. Pod wpływem Ludwika Ćwiklińskiego², założyciela



Karol Hadaczek (1873–1914). Zdjęcie z indeksu uniwersyteckiego, 1893 (archiwum autora)

¹ Por.: J. Pilecki, *Hadaczek Karol*, [w:] Polski słownik biograficzny, t. IX, Kraków 1960–1961, s. 223–224, oraz ocenę sylwetki Hadaczka: P. Bieńkowski, „Eos” XX, 1914–1915, s. 191–196; W. Antoniewicz, *Karol Hadaczek jako prehistoryk*, „Przewodnik Naukowy i Literacki” 43, z. VI, 1917, s. 385–387; J. Kostrzewski, *Dzieje polskich badań prehistorycznych*, Poznań 1949, s. 94–97; S.J. Gąsiorowski, *Badania polskie nad sztuką starożytną*, Kraków 1948, s. 34 i 36; Zob. także J. Lech, *Z badań polsko-ukraińskich związków w archeologii do II wojny światowej*, „Przegląd Archeologiczny” 54, 2006, s. 5–59 oraz N. Bulyk, *Od „Przeglądu Archeologicznego” do Karola Hadaczka: archeologia lwowska w latach 1876–1914*, tamże, s. 99–124 (gł. s. 112–115).

² Ludwik Ćwikliński (1853–1942), filolog klasyczny, profesor Uniw. Lwowskiego (1876–1902), ogromnie zasłużony dla rozwoju nauk o starożytności, w tym także archeologii (jego starszym uczniem był również Piotr Bieńkowski, któremu Uniwersytet Jagielloński powierzył katedrę archeologii klasycznej w roku 1897). Zob. szerzej K. Królczyk, *Pomiędzy Lwowem, Wiedniem i Poznaniem – Ludwik Ćwikliński (1853–1942) i jego badania nad światem starożytnym*, [w:] *Świat starożytny, jego polscy badacze i kult panującego*, Poznań 2011, s. 141–172.

uniwersyteckiego Gabinetu Archeologicznego (1876) i doskonałego znawcy cywilizacji klasycznej, przystąpił do poszerzania swej wiedzy o zagadnienia dotyczące tzw. realiów, pozwalających objaśniać kwestie filologiczne i historycznoliterackie, oraz z zakresu antycznej mitologii. W efekcie po studiach kontynuowanych w Wiedniu (tamże doktorat, 1900) i trzyletniej podróży naukowej (Grecja, Italia, Niemcy) Hadaczek habilitował się we Lwowie w roku 1903 „do archeologii klasycznej i prehistorii”. Uzyskał wówczas docenturę, natomiast w roku 1905, po uzyskaniu nominacji profesorskiej, powierzono mu Katedrę Archeologii Klasycznej i Prehistorii lwowskiego Uniwersytetu (profesurę zwyczajną uzyskał w roku 1909). Hadaczek cenił sobie również współpracę z lwowskim Muzeum im. Dzieduszyckich, gdzie zorganizował dział archeologiczny (tu przechowywany był m.in. słynny skarb z Michałkowa, któremu także poświęcił sporo uwagi³). Od roku 1905 był

³ K. Hadaczek, *Złote skarby michałkowskie*, „Muzeum imienia Dzieduszyckich we Lwowie”, t. 9, Lwów 1904.



Strona tytułowa jednej z publikacji Karola Hadaczka (archiwum autora)

członkiem Austriackiego Instytutu Archeologicznego, natomiast w roku 1909 powołany został na członka-korespondenta krakowskiej Akademii Umiejętności. Istotną była też jego działalność w Gronie Konserwatorów Galicji Wschodniej.

W swej działalności naukowej Hadaczek interesował

się starożytnym rzemiosłem artystycznym i rzeźbą antyczną, pozostawiając w tym zakresie znaczny dorobek⁴. Duży wkład wniósł ponadto w badania nad pradziejami Galicji wschodniej, w latach 1909–1912 kierując m.in. wykopaliskami na stanowisku osadniczym w Koszyłowcach pow. Borszczów⁵. W okresie wcześniejszym natomiast (1903) prowadził Hadaczek prace wykopaliskowe na przypadkowo wówczas odkrytym cmentarzysku w Gaci koło Przeworska, stanowisku eponimicznym kultury określanej później jako „kultura przeworska”⁶.

Oddzielny, choć krótkotrwały etap na badawczym szlaku Karola Hadaczka stanowi jego udział w pracach na cmentarzysku mastabowym z okresu Starego Państwa (około 2700–2200 p.n.e.) w pobliżu piramidy

⁴ Wysoką oceną cieszy się po dzień dzisiejszy jego rozprawa z zakresu starożytnego złotnictwa (*Der Ohrschmuck der Griechen und Etrusker*, Wiedeń 1903). Hadaczek planował także obszerną monografię poświęconą twórczości Fidiasza, której nie zdołał jednak ukończyć (drukami ukazały się jedynie fragmenty).

⁵ K. Hadaczek, *Osada przemysłowa w Koszyłowcach z epoki neolitu. Studia do początków cywilizacji w południowo-wschodniej Europie*, Lwów 1914, ss. 73, tabl. 1–10 (także w języku francuskim: *La colonie industrielle de Koszyłowce de l'époque énéolithique. Album des fouilles* [Les monuments archéologiques de la Galice, I], Lwów 1914, ss. 28, tabl. 1–33).

⁶ Por. m.in. jego *Cmentarzysko ciepłopalne koło Przeworska (z epoki Cesarstwa Rzymskiego)*, „Teki Konserwatorskie” III:2, Lwów 1909, ss. 21, tabl. I–XXI. W roku 2008 wznowiono badania wykopaliskowe na tym niezwykle ważnym stanowisku.

odwizł ją do szpitala św. Zofii; Ignacy Michał Leichter – malarz pokojowy (w styczniu 1931 r. przeniósł się na ul. Żółkiewską (*Chmielnykoho*) 35, Józef Hałucha – elektryk.

Sieniawska 12 – znajdowała się w tej kamienicy piekarnia Michała Jaegera oraz pracownia krawiecka pani M. Amster. 19 lutego 1934 r. zmarła tam nagle na udar serca Genowefa Funkeł ur. 1892 r.

Sieniawska 15 – w kamienicy mieszkali m.in. Bazyli Bilecki – pocztowiec, Zofia Bryk – urzędniczka, Adam Ciba – intrologator, Jadwiga Ciba, Piotr Cynkajło – kelner, Stefan Horak – chemik, Róża Sch., która aresztowana została 9 grudnia 1933 r. za nielegalny handel sacharyną.

Za tym domem (przy Sieniawskiej 15, w lewo do góry) odbija krótka uliczka **Schodowa** (*Schodowa*), prowadząca do ul. Zamkowej (*Zamkowa*).

Schodowa 3 – mieszkali tam m.in. Maurycy Labner – krawiec, Stanisław Markowski, Roman Flachs, Regina Gerstel.

Schodowa 3A – mieszkali tam m.in. Józef Iżycki – jeden z założycieli LKS „Czarni”, który prowadził w kamienicy swój sklep, porucznik Karol Putz, Henryk Viktoryn – handlowiec.

Sieniawska 14 – mieszkali tam m.in. Amalia Rozner – położna, Józefa Kollmann – akuszerka, Piotr Kościów, Michał Kamiński – przemysłowiec, Wilhelm Lenart – 29 lipca 1932 r. włamano się do jego mieszkania.

Sieniawska 16 – znajdował się tam zakład krawiecki M. Kram, a mieszkali w kamienicy m.in. Zofia Czerwiec – akuszerka, Eugeniusz Biskupowicz – handlowiec, Helena Frenkel – handlowiec.

Sieniawska 19 – w kamienicy mieszkali m.in. Stanisław Borowicz – murarz, Waclaw Mączka.

Sieniawska 21 – w kamienicy mieszkali m.in. Ludwik Zdebski – stolarz, Bazyli Demczuk – kupiec, Waclaw Dominik – handlowiec, Paulina Jakubiczka – właścicielka domu.

Sieniawska 18 – w kamienicy mieszkali m.in. Marcin Radomski – ogrodnik, Maria Pluderowa, Piotr Arseniuk ur. 1890 – murarz, Leopold Froehlich – przemysłowiec.

Przemysł Włodek

Wszelkie informacje uzupełniające prosimy kierować do autora za pośrednictwem naszej redakcji lub bezpośrednio do Przemysława Włodka na adres mailowy: pwlod@interia.pl

Na ten adres można składać też zamówienia na książki dotyczące ulic Lwowa autorstwa Przemysława Włodka.

Cheopsa w Gizie⁷. Z początkiem roku 1912 pojawiła się tam grupa badaczy reprezentujących wiedeńską Akademię Nauk, której jako przedstawiciel krakowskiej Akademii Umiejętności towarzyszył właśnie Karol Hadaczek⁸. W ramach działań podjętych przez reprezentantów obu Akademii, z inicjatywy prof. Hermanna Junkera (1877–1962)⁹, przystąpiono do prac nad ogromnym zespołem usytuowanych tu grobowców. Spoczywali w nich, wraz z najbliższymi członkami rodzin, najwyżsi dostojnicy z kręgu ówczesnych władców, stanowiący elitę epoki Starego Państwa. Badania na polu mastab usytuowanych na zachód od piramidy Cheopsa prowadził prof. Junker przez kilka sezonów wykopaliskowych w latach 1912–1914 i po przerwie spowodowanej wydarzeniami I wojny światowej – w latach 1924–1929¹⁰. Następne lata intensywnej pracy badawczej poświęcił Junker opracowaniu i publikacji rezultatów tych niezwykle interesujących prac terenowych, które pozwoliły lepiej poznać sztukę egipską okresu Starego Państwa, strukturę rozległego cmentarzyska u stóp piramid, wierzenia tego okresu oraz zagadnienia organizacyjne i szczegóły techniczne związane z budową tych intrygujących budowli, już w odległej przeszłości uznanych za jeden z cudów świata starożytnego¹¹.

⁷ Szerzej na temat jego udziału zob. J. Śliwa, *Profesor Karol Hadaczek: Giza 1912*, [w:] *Prace Komisji Filologii Klasycznej PAU nr 44*, Kraków 2013, s. 125–138.

⁸ Koszty związane z udziałem Hadaczka pokrywała krakowska Akademia Umiejętności. Ponieważ Hadaczek z przyczyn od niego niezależnych nie zdołał wziąć udziału w pracach wykopaliskowych na terenie Dolnej Nubii, kilka dni dzielących go od rozpoczęcia prac w Gizie wykorzystał na podróż do Górnego Egiptu, głównie z myślą o zapoznaniu się z zabytkami Karnaku, Luksoru oraz nekropolii tebańskiej.

⁹ M.L. Bierbrier (red.), *Who Was Who in Egyptology*, Londyn 2012, s. 285–286.

¹⁰ Zob. P. Janosi, *Österreich vor den Pyramiden. Die Grabungen Hermann Junkers im Auftrag der Österreichischen Akademie der Wissenschaften in Wien bei der Grossen Pyramide in Giza*, Wiedeń 1997; S. Haag, R. Hölzl, P. Janosi (red.), *Im Schatten der Pyramiden. Die österreichischen Grabungen in Giza (1912–1929)*, Wiedeń 2013 (katalog wystawy zorganizowanej w Kunsthistorisches Museum w Wiedniu dla upamiętnienia stulecia austriackich prac w Gizie).

¹¹ Niezależnie od wstępnych raportów, podstawowe opracowanie stanowi wielotomowa seria

Same piramidy, jak i położone u ich stóp nekropolie budziły już od dawna ogromne zainteresowanie. Od czasów starożytnych obszar ten traktowany był jako swego rodzaju kamieniołom, bowiem z pozyskanego tu budulca (także z bloków stanowiących okładzinę zewnętrzną piramidy Cheopsa) wzniesiono liczne budowle średniowiecznego Kairu. Starożytne grobowce przyszukiwano także z myślą o mumiach, które po sprostkowaniu, aż do początków XX wieku, cieszyły się w Europie ogromnym uznaniem jako wszechstronny specyfik farmaceutyczny. Podróżnicy docierający do Egiptu rzetelnie nieraz opisywali piramidy i przyległe cmentarzysko. Szczególnie ceniona była relacja Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła „Sierotki”, który jako pielgrzym zmierzający do Ziemi Świętej – do Egiptu dotarł w roku 1583¹².

Swoiste wyzwanie, nie tylko jako obiekt bardziej szczegółowych badań i rozmaitych spekulacji, stanowiły także same piramidy. Wspinaczka na wierzchołek piramidy Cheopsa stała się bowiem uznaną atrakcją turystyczną (Radziwiłła „Sierotkę” uznać można za pierwszego Polaka, który dokonał tego wyczynu!), jeszcze do niedawna zalecaną w popularnych przewodnikach turystycznych. Po dotarciu na jej wierzchołek do dobrego tonu należało także wyrzucie na jednym z bloków pamiątkowej „inskrypcji”.

Pierwsza kampania wykopaliskowa podjęta przez prof. Junkera w Gizie odbyła się od 22 stycznia do 7 kwietnia 1912 roku. Jak informował ówczesny reprezentant krakowskiej Akademii: *Prace odkopaliskowe prowadzono tak około największej mastaby widocznej na tym terenie, jako też na szerokim zagłębieniu ciągnącym się od niej na wschód między rzędami większych grobowców, których szczyty sterczą z piasku. W ciągę przeszło dwumiesięcznych robót odśloniono kilka monumentalnych grobowców i zbadano szeregi mniejszych*¹³. Ekipa

publikowana pod auspicjami Austriackiej Akademii Nauk: H. Junker, *Giza I–XII*, Lipsk–Wiedeń 1929–1955.

¹² Zob. M.K. Radziwiłł, *Podróż do Ziemi Świętej, Syrii i Egiptu 1582–1584*, oprac. L. Kukulski, Warszawa 1962.

¹³ K. Hadaczek, [w:] „Akademia Umiejętności w Krakowie. Sprawozdania z czynności i posiedzeń”. Rok. 1912, t. XVII, nr 5, Kraków 1913, s. 11.

Posąg Hemiunu, budowniczego piramidy Cheopsa. Wapień polichromowany, wys. 155,5 cm. Stare Państwo, IV dynastia (około 2580 p.n.e.). Roemer- und Pelizaeus Museum w Hildesheim (archiwum autora)



badaczy pracujących w Gizie nie była zbyt liczna. Oprócz prof. Junkera kierującego ekspedycją oraz Marii Junker (jego siostry) jako asystentki i sekretarki, w skład zespołu wchodził tylko prof. Hadaczek¹⁴. Wzorem innych ekspedycji, badacze zamieszkali na miejscu, w skromnym domostwie o cechach lokalnej architektury, gdzie oprócz izb mieszkalnych znalazły się także niezbędne pracownie i magazyny¹⁵.

W trakcie kampanii ekspedycja zatrudniała około 150–200 robotników bez większego doświadczenia oraz trzydziestu dobrze wy-

szkolonych specjalistów-brygadzystów (raisów)¹⁶. Aby usprawnić przebieg prac, zbudowano odpowiedniej długości linię kolejki wąskotorowej, wyposażoną w specjalne wagoniki; umożliwiało to wywóz rumoszu i skalnych odpadów na znacznie większą odległość.

Niestety przybysz z Galicji zmuszony był opuścić teren prac wykopaliskowych nieco wcześniej (nastąpiło to 24 marca 1912). Uczestniczył jednak w pracach związanych z odsłanianiem kilku większych i mniejszych mastab; w ich trakcie odkryto znaczne ilości dzieł sztuki, ceramiki i drobnych znalezisk. Do odkryć najbardziej spektakularnych należało odsłonięcie monumentalnej mastaby dostojnika imieniem Hemiunu, któremu powierzono niegdyś budowę piramidy Cheopsa. Mastaba ta usytuowana jest w pobliżu piramidy władcy, w odległości około 250 m na zachód od niej; jej wymiary wynoszą 26,77 × 53,20 m¹⁷. W jednym z jej pomieszczeń, jak okazało się później – odkryto jedno z najcenniejszych dzieł sztuki okresu Starego Państwa¹⁸. Ponadto na cokole posągu umieszczone zostało imię dostojnika i jego rozbudowana tytulatura, stanowiąca istotny przekaz historyczny. Na tej podstawie zdołano ustalić rangę społeczną właściciela mastaby i jego miejsce w genealogii najbardziej dostojnych wówczas rodów. Jako „Nadzorca wszelkich przedsięwzięć budowlanych Króla” czuwał Hemiunu bez wątplenia nad całokształtem prac związanych z budową grobowca władcy. Z tego tytułu przysługiwał mu także odpowiedni splendor nawet w życiu pozagrobowym, stąd monumentalna mastaba (górująca rozmiarami nad najbliższym otoczeniem) usytuowana w sąsiedztwie królewskiej piramidy, a także niezwykle, monumentalny posąg umieszczony we wnętrzu grobowca. Niestety, *mastaba He-*

¹⁴ Dodać należy, iż obowiązki fotografa pełnił Egipcjanin, którego nazwiska nie uwzględniono w raportach z przebiegu prac (zdołano jedynie ustalić, iż pochodził z Koptos, podobnie jak zatrudnieni tu kopacze).

¹⁵ Rozbudowano w tym celu znacznie skromniejsze domostwo, wzniesione wcześniej przez pracującą tu ekipę niemiecką. Ów „dom wykopaliskowy” służył także kolejnym ekipom austriackim, pracującym tu w następnych latach.

¹⁶ Byli to mieszkańcy górnoegipskiego Koptos, od lat współpracujący z ekipami europejskich badaczy i przez nich odpowiednio już przygotowani do wykopaliskowych wymagań. Szczególnie wyszkoleni dla potrzeb prowadzenia prac terenowych byli natomiast raisowie, cieszący się ponadto bezwzględny posłuchem swych podwładnych.

¹⁷ Por. H. Junker, *Giza I*, 1929, s. 132–162 (oznaczona jako G 4000).

¹⁸ Posąg Hemiunu znajduje się obecnie w zbiorach Roemer- und Pelizaeus Museum w Hildesheim (nr inw. 1962). Wapień, ślady polichromii, wys. 155,5 cm. Por. H. Junker, *Giza I*, 1929, s. 153–157, tabl. XVIII–XXIII.

Egipski dostojnik w towarzystwie małżonki. Wapień, pierwotnie wys. około 50 cm. Stare Państwo, schyłek V dynastii (około 2400–2350 p.n.e.). Ze zbiorów Muzeum Archeologicznego w Krakowie (archiwum autora)

miunu została zniszczoną w czasach rzymskich (dwa napisy demotyczne). W tej epoce założono przed nią fabrykę ciosów budulcowych tudzież wielkich naczyń kamiennych i do tego celu obdarto prawie cały grobowiec z pięknej pokrywy wykonanej z wapiennych ciosów starannie obrobionych i już w kamieniolomach sygnowanych¹⁹.

Zgodnie z warunkami umowy zawartej pomiędzy krakowską Akademią Umiejętności a Akademią Nauk w Wiedniu, do zbiorów krakowskich trafiła też w roku 1913 spora grupa zabytków pochodzących z badań prowadzonych w Egipcie do chwili wybuchu I wojny światowej. Z pracami prowadzonymi w Gizie (wprawdzie dopiero w trakcie kolejnej, II kampanii, 1912/1913) łączy się bezpośrednio posążek pary małżeńskiej pochodzący z jednej z mastab w Gizie²⁰. Jest to tzw. diada lub posążek podwójny (grupa złożona z figurki mężczyzny i stojącej u jego boku postaci kobiecej), charakterystyczny dla sztuki okresu Starego Państwa. Zabytek ten datować można na schyłek panowania V dynastii (około 2400–2350 p.n.e).

Sprawozdanie z egipskich badań przekazane przez Hadaczka władzom Akademii Umiejętności²¹ stanowiło w swoim czasie ważny i ciekawy przyczynek, informujący o postępach badań prowadzonych w Egipcie przez wiodące ośrodki naukowe, rywalizujące z sobą na tym polu. Władzom Akademii przyświecały jednak ważniejsze i dalej sięgające cele, zmierzające w głównej mierze, we współpracy z Wiedniem, do wykształcenia własnych



specjalistów, którzy w przyszłości mogliby samodzielnie przystąpić do prac w Egipcie²².

Do realizacji tego celu przystąpiła krakowska Akademia już nieco wcześniej, wydatnie wspierając działania Tadeusza Smoleńskiego podczas jego pobytu w Egipcie (1905–1909)²³. Młody adept egiptologii, dzięki poparciu zapewnionemu jego projektom przez władze Akademii, zdołał opanować nie tylko arkana egiptologii, lecz podjął także samodzielne badania wykopaliskowe (Szaruna i Gamhud, 1907–1909), które ze względu na ówczesne uwarunkowania (był obywatel monarchii austro-węgierskiej) uważane są obecnie za pierwsze kroki podjęte na tym polu zarówno przez naukę polską, jak i węgierską²⁴. W zasadzie jednak dzięki pracom Smoleńskiego właśnie Austro-Węgry, do tej pory nieprowadzące badań w Egipcie, przystąpiły na tym polu do rywalizacji z reprezentantami nauki francuskiej, niemieckiej, brytyjskiej, włoskiej i amerykańskiej, mającymi już tutaj znaczne osiągnięcia.

¹⁹ K. Hadaczek, *op. cit.*, s. 14.

²⁰ Obecnie w zbiorach Muzeum Archeologicznego w Krakowie, nr inw. MAK/AS/2379. Wapień, wys. 36,4 cm. Niezachowana baza i dolna partia figurki (uzupełnione), z tego względu brak inskrypcji identyfikującej zmarłego i jego małżonkę. Zob. K. Babraj, H. Szymańska, *Bogowie starożytnego Egiptu*, Kraków 2000, s. 36–37.

²¹ Rezultaty kampanii przedstawił Hadaczek w Krakowie już w maju 1912. Zob. „Akademia Umiejętności w Krakowie. Sprawozdania z czynności i posiedzeń”. Rok 1912, t. XVII, nr 5, Kraków 1913, s. 11–15. Tekst ten, uzupełniony dziesięcioma zdjęciami, opublikował Hadaczek raz jeszcze: *Wykopaliska egipskie*, „Sztuka. Miesięcznik ilustrowany poświęcony sztuce i kulturze”, R. II, t. 1, Lwów 1912, s. 213–216.

²² Por. K. Stachowska, *Wkład Akademii Umiejętności w początki polskich badań wykopaliskowych w Egipcie w latach 1906–1914*, „Rocznik Biblioteki PAN w Krakowie” 18, 1972, s. 93–148.

²³ Por. *Tadeusz Smoleński 1884–1909. Pisma naukowe i publicystyczne*, do druku przygotował i opracował J. Śliwa i L. Zinkow, Kraków 2010.

²⁴ Badania Smoleńskiego finansowane były przez węgierskiego kupca Filipa Backa (1862–1958).

Niestety przedwczesna śmierć krakowskiego badacza (zmarł w wieku zaledwie 25 lat!) całkowicie zmieniła sytuację. Władze Akademii Umiejętności, przewidujące udział Smoleńskiego w egipskich wykopaliskach planowanych wspólnie z Akademią Wiedeńską, w nowej sytuacji zmuszone były jednak szukać nowych współpracowników. Niestety udział Karola Hadaczka jako dojrzałego, ukształtowanego już badacza zainteresowanego odmienną problematyką nie rokował tu chyba odpowiedniego rezultatu. Trudno oprzeć się wrażeniu, że praca na tak specyficznym stanowisku jak cmentarzysko w Gizie oraz kontakt z materiałem epigraficznym wymagającym biegłej znajomości egipskich hieroglifów nie stanowiła wyzwania satysfakcjonującego go w pełni. Jak sądzono już niegdyś, współpraca z prof. Junkerem *nie przyniosła Hadaczce spodziewanych sukcesów ani nie zadowoliła jego ambicji, gdyż nie udało mu się wywalczyć współudziału w opracowaniu rezultatów tej ekspedycji, ani też uzyskać perspektyw na zorganizowanie osobnej polskiej ekspedycji do Egiptu*²⁵. Należy więc jego udział w egipskiej ekspedycji uznać raczej za dodatkowe, egzotyczne doświadczenie, nierzucające w znaczniejszym stopniu na jego dalsze plany naukowe, choć zamierzał uczestniczyć także w pracach następnej kampanii w Gizie (1912/1913)²⁶.

W lwowskim środowisku uniwersyteckim był prof. Hadaczek postacią cenioną, o uznanym autorytecie, cieszącą się dużym poważaniem. Z dzisiejszej perspektywy ocena jego działalności jest szczególnie wysoka. Nieraz postrzegany jest obecnie nie tylko jako *najwybitniejsza postać archeologii lwowskiej i polskiej początków XX stulecia*, a zarazem *młody i najlepiej wykształcony archeolog na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, o szerokich zainteresowaniach i horyzontach naukowych*, lecz także jako *pierwszy reprezentant szkoły kulturowo-hi-*

*storycznej na ziemiach polskich*²⁷. W jego kręgu ukształtowała się również grupa młodych uniwersyteckich słuchaczy, którzy swoją rolę odegrać mieli w następnych latach²⁸.

Niezbyt fortunnie potoczyły się dalsze losy Karola Hadaczka w niecałe dwa lata po powrocie z egipskiej wyprawy. Jego wrażliwa natura nie zniósła przeciwności losu, które całą Europę zgotował wybuch I wojny światowej²⁹. *Po zajęciu Lwowa przez Rosjan, zgnębiony swą chorobą i pozbawiony środków do życia, popełnił samobójstwo*³⁰. Zgodnie z relacją swego ucznia, prof. Hadaczek *pod wpływem ogromnego rozstroju nerwowego, spowodowanego pesymistycznym zapatrywaniem się na ciężką w istocie sytuację naszą w ziemie, targnął się na młode swe jeszcze życie*³¹ i *dnia 19 grudnia 1914 r. przeniósł się do wieczności. Śmierć jego niespodziewana sprawiła ogromne wrażenie w całym mieście i żal też wielki towarzyszył mu do grobu na cmentarz Łyczakowski, gdzie spoczął w południe dnia 21 grudnia*³². Niestety miejsca pochówku Karola Hadaczka, mimo podejmowanych parokrotnie prób, nie udało się do tej pory odnaleźć.

Prof. dr hab. Joachim Śliwa (ur. 1940), archeolog zajmujący się sztuką i archeologią Egiptu i Bliskiego Wschodu oraz historią archeologii. Wieloletni kierownik Zakładu Archeologii Egiptu i Bliskiego Wschodu UJ. Uczestniczył w misjach archeologicznych w Deir el-Bahari, Palmyrze, el-Tarif oraz Kasr el-Saga.

²⁷ Zob. J. Lech, *Z badań...*, op. cit., s. 27–29.

²⁸ Byli to m.in. prehistorycy Bohdan Janusz, Włodzimierz Hrebieniak oraz po części także Włodzimierz Antoniewicz i Roman Jakimowicz (por. N. Bulyk, *Od „Przeglądu Archeologicznego”...*, op. cit., s. 114–115). Natomiast po śmierci Hadaczka katedrę objął w roku 1916 Edmund Bulanda (1886–1951), krakowski uczeń Piotra Bieńkowskiego; od tego momentu jej badania koncentrowały się wyłącznie na badaniach z zakresu archeologii klasycznej.

²⁹ Jak wzmiankuje J. Pilecki, był Hadaczek „z natury łagodny, a nawet nieśmiały”, lecz o skłonnościach neurastenicznych, co nieraz „utrudniało mu współżycie z kolegami” (*Hadaczek Karol*, op. cit., s. 223).

³⁰ J. Kostrzewski, *Z mego życia. Pamiętnik*, Wrocław 1970, s. 101.

³¹ Miał wówczas zaledwie 41 lat!

³² B. Janusz, *293 dni rządów rosyjskich we Lwowie (3 IX 1914 – 22 VI 1915)*, Lwów 1915, s. 184–185. Por. także J. Lech, *Z badań...*, op. cit., s. 32.

²⁵ J. Pilecki, *Hadaczek Karol*, op. cit., s. 223.

²⁶ Możliwość taka wyłoniła się, gdy z wyjazdu do Gizy zrezygnował prof. Piotr Bieńkowski, na którego przypadła kolej w następnym roku (ostatecznie z wyjazdu zrezygnował także Hadaczek). W II kampanii zabrakło więc przedstawiciela Krakowa i dopiero w pracach III kampanii (I–IV 1914) Akademię Umiejętności reprezentował Tadeusz Walek (jeden z uczniów Bieńkowskiego).

Krystyna Stafińska

150 ROCZNICA URODZIN PROFESORA EDMUNDA FAUSTYNA BIERNACKIEGO

Idąc ulicami miast, miasteczek rzadko zastanawiamy się, kim były osoby, czym zasłużyły się dla kraju, miasta, dla nauki, kultury, sztuki, polityki, jakim odznaczyły się szczególnym bohaterstwem czy innym działaniem w swoim życiu, że doznały zaszczytu nazwania placów, ulic, uczelni i innych instytucji ich imieniem.

Możemy sądzić, że i wieloletni mieszkańcy przy danej ulicy też niewiele wiedzą o swoim „patronie”. Może więc nie od rzeczy byłoby opatrzyć ulice tabliczkami z notką biograficzną ich patronów.

Mieszkam w Krakowie i niejednokrotnie przechodziłam ulicą Biernackiego. To nazwisko dla osób, które przy wszelkiego rodzaju infekcjach udawały się do lekarza, nie powinno być obce, bo jednym z podstawowych badań diagnostycznych w takiej sytuacji bywa zlecenie wykonania OB – czyli odczynu Biernackiego, który na świecie jest określany ESR, tj. *Erythrocyte Sedimentation Rate*.

OB to mierzenie szybkości opadania czerwonych krwinek (erytrocytów) w niekrzepnącej krwi. W laboratoriach najczęściej wykonywane metodą Westergrena, w pionowo ustawionych pipetach odpowiednio wykalibrowanych z milimetrową podziałką, przy pomocy której odczytuje się wysokość słupka erytrocytów po 1 i po 2 godzinie. Opadanie krwinek spowodowane jest różnicą ciężarów właściwych elementów komórkowych i osocza.

Kim był Edmund Faustyn Biernacki i dlaczego piszemy o nim właśnie w naszym kwartalniku? Był lekarzem, internistą, naukowcem, profesorem patologii ogólnej Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie.

Erytrocyty (krwinki czerwone) mają ujemny ładunek elektryczny, co zapobiega ich skupianiu się; krążąc po organizmie zawsze się od siebie odpychają. Poza organizmem człowieka krwinki tracą ujemny ładunek, skupiają się i opadają na dno naczynia.

Zjawisko to odkrył w 1894 roku, a w literaturze medycznej, również niemieckiej



Fot. ze zbiorów autorki

i austriackiej, opisał w 1897 roku Edmund Faustyn Biernacki. Powiązał on zwiększenie szybkości opadania krwinek z konkretnymi jednostkami chorobowymi. W warunkach prawidłowych szybkość opadania wynosi 2–8 mm/h i fizjologicznie jest większa u kobiet.

Przy dużym postępie w diagnostyce medycznej test OB jest stosowany z powodzeniem po dzień dzisiejszy równoległe z nowoczesnym testem CRP. CRP to białko reaktywne wytwarzane w wątrobie i komórkach tłuszczowych, które bierze udział w odpowiedzi immunologicznej na niektóre choroby, a podwyższony poziom sygnalizuje o stanie zapalnym lub innych schorzeniach w organizmie.

Odkrycie Biernackiego nie zostało jednak w owym czasie docenione i było przypisywa-



Stan grobu prof. E. Biernackiego (V 2016), fot. Z. Dąbrowski

ne z pominięciem jego zasługi szwedzkim lekarzom: Westergrenowi, który tę metodę jedynie zmodyfikował, i Fähraeusowi, który opisał różnicę wartości odczynu dla kobiet w ciąży i położu.

Edmund Faustyn Biernacki urodził się w Opocznie (pow. Radom) w zaborze rosyjskim 19 grudnia 1866 roku i nietrudno zauważyć, że w ub. roku minęła 150. rocznica jego urodzin.

Medycynę studiował na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego i już w czasie studiów rozpoczął pracę naukowo-eksperymentalną. Opublikował kilka znaczących prac, za jedną z nich otrzymał złoty medal od władz uczelni. Stopień lekarza uzyskał w 1889 roku i został mianowany ordynatorem kliniki chorób wewnętrznych, a rok później otrzymał stypendium, które umożliwiło mu wyjazdy za granicę na uniwersytety w Heidelbergu, Paryżu, Giesen i pozwoliło na poszerzenie i ugruntowanie wiedzy u wybitnych ówczesnych profesorów.

Po powrocie do Warszawy objął czynności ordynatora kliniki diagnostycznej. Do 1897 roku ogłosił 42 prace, w tym niektóre wybitne, jak wspomnianą już pracę nad sedymentacją krwinek oraz o znieczuleniu nerwu łokciowego przy wiażdżeniu rdzenia (1894), objawu noszącego w literaturze światowej właśnie nazwę objawu Biernackiego.

W Warszawie, na zrusyfikowanym ówczesnie Uniwersytecie, ograniczenia finan-

sowe, częste ingerencje zaborcy nie dawały mu pola do działania i spowodowały odejście z uczelni i przeniesienie się w 1902 roku do będącego pod zaborem austriackim Lwowa.

Lwowski Wydział Lekarski nostryfikował mu dyplom lekarza (promocja 12.12.1902) i habilitował z patologii ogólnej i doświadczalnej. Namiestnictwo nadało mu obywatelstwo austriackie.

W ten sposób na resztę życia przeniósł się do Lwowa, gdzie spędzał zimę, a w lecie pracował jako lekarz w sanatorium w Karlsbadzie (Karlove Vary), gdzie niebawem wyrobił sobie rozległą praktykę, poprawiając swój byt materialny.

Zajmował się również filozofią medycyny i wydał prace: „Istota i granice wiedzy medycznej” (1899) oraz „Co to jest choroba” (1905).

W 1908 roku otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego.

Zmarł nagle we Lwowie na tętniaka serca (*aneurysma*) 29 grudnia 1911 roku, mając zaledwie 45 lat, pozostawiając żonę Kazimierzę z Rudawskich. Został pochowany na cmentarzu Łyczakowskim.

Liczne prace prof. Biernackiego mają trwałą wartość, a najlepsze dotyczą patologii krwi, fizykalnego badania serca i neuropatologii.

Krakowskie środowisko medyczne z początkiem 2016 roku dokonało wielu starań – szczęśliwie z powodzeniem, aby odnaleźć na cmentarzu Łyczakowskim zapomniany i zaniedbany grób prof. Edmunda Biernackiego. Udało się ustalić, że grobowiec Profesora – zdewastowany, pozbawiony tablicy inskrypcyjnej – znajduje się na polu 59 „c” nr 221. Dzięki tej inicjatywie grobowiec zostanie odrestaurowany, opatrzony stosowną inskrypcją, by nie zapomnieć o Edmundzie Biernackim – polskim profesorze Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie – wielce zasłużonym dla medycyny światowej i jego imponującym dorobku naukowym.

Sławomir Gowin

JAK PIEŚCIĆ WIESZCZA

Od stu lat z górą, na środku Lwowa,
Stoi statua kilkumetrowa.
Pod nią poeta, wzrostem nieduży,
Grzywką odgania natrętne muzy.

Muzy się owszem, zdarzają twórcze,
Ale te jakieś głupie są, kurczę,
Zdają się bowiem wcale nie wiedzieć,
Co też poeta chciałby powiedzieć.

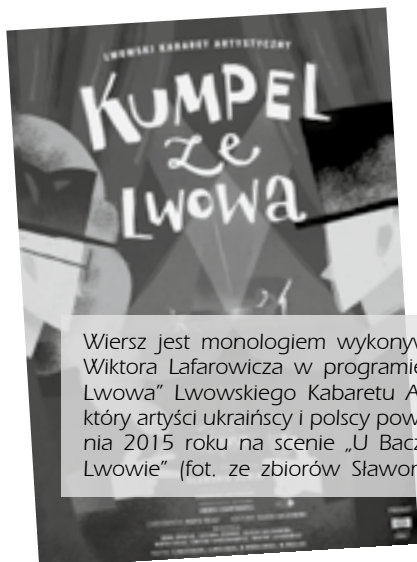
Tak jak rodacy – zbiorą się w tłumie,
Lecz czy poetę który zrozumie?
O, każdy by chętnie sławił i czcił,
A spytał go któryś: „Czyś ty coś pił?”

Czasem się Gowin tylko przysiada
I machnie flaszka: „Łyknieś coś Adam!?”
Przecież to jasne, wieszcz by wychylił,
Lecz jego naród z kimś go pomylił!

Wieńców naniosą, nakopcą zniczy,
A nikt nie słyszy, jak Adam krzyczy:
Wstawaj z tych kolan i rusz że głową,
Narodzie, nie myl mnie z Orzeszkową!

I zabieraj w cholerę te skrzydła,
Mnie ta fucha do reszty obrzydła!
Chcę być znów tym kim byłem za życia,
Bierz tę lirę i daj coś do picia!

Jak mam stać tu na straży polskości,
Skoro wieszczyć mam tylko i pościć!
Z jedną muzą w kamiennym uścisku
Tak przez wieki o suchym trwać pysku!?



Wiersz jest monologiem wykonywanym przez Wiktora Lafarowicza w programie „Kumpel ze Lwowa” Lwowskiego Kabaretu Artystycznego, który artyści ukraińscy i polscy powołali 31 stycznia 2015 roku na scenie „U Baczewskich” we Lwowie” (fot. ze zbiorów Sławomira Gowina)



Rozmiar tej muzy zawsze mnie wkurzał.
Muza nie musi być taka duża!
Muza być może całkiem małutka,
Byle by była, hmm, okrągłutka...

Bo muza musi mieć troszkę ciała,
I żeby troszkę na wieszcza leciała.
Gdyby gotować umiała jeszcze –
Jakżeby było miło być wieszczem!

Bo geniuszowi wystarczy muzka!
On swoim piórkiem tę muzykę muska,
A ona smyra go swym pazurkiem
I czasem szepnie rozkoszną bzdurkę.

Bywa, że tego muzce jest mało
I muzka idzie z wieszczem na całość!
Nooo... wtedy tworzą się arcydzieła!
– O, pani zaraz się uśmiechnęła...

A tu nic! Tu stuletnie pragnienie!
I skądże wieszcz ma czerpać natchnienie?
Jak narodowe treści dopieści,
Jeśli ich czasem ciut nie zbezczęści?

Bo wieszcz pragnie wędrować pod strzechy!
W tej wieczności mieć trochę uciechy.
Chciałby wieszcz oraz wierna mu muzka
Też się w lwowskiej gorzałce popluskać!

Nic proszszego, powiecie, aliści
Wciąż się rodzą wśród was moralisci,
W granit ciało chcą zakuć i duszę!
Ale po cóż się bywa geniuszem...?

Gdy się wszyscy w krąg pocą i psocą,
Dusza wieszcza też zrywa się nocą
Incognito, gdzieś koło katedry,
Ducha wieszcza spotyka duch Fredry...

Nim się człowiek we Lwowie zmiarkuje,
Już weń któryś z tych duchów wstępuje...
I do dna! W imię ojca i syna!
Pacalychę wieszcz z wieszczem zaczyna!

Tadeusz Olszański

Ulica Ormiańska

(fragment)

W 80. rocznicę koronacji obrazu NMP Łaskawej z Kościoła ormiańskiego w Stanisławowie



Ulica Ormiańska prowadziła od ulicy Trzeciego Maja prosto do kościoła Ormian i dlatego właśnie tak się nazywała. Do kościoła, który był, jest i będzie jednym z historycznych i w dodatku pięknych zabytków Stanisławowa, dowodem wybitnej roli, jaką odegrali Ormianie w rozwoju miasta. Budowę świątyni rozpoczęto w 1742 roku, ukończono około 1762. Wzniesiony w stylu włoskiego baroku kościół ormiański przetrwał pożary, burze, wojny i zmiany ustrojów. Po rozmaitych klęskach zawsze był odbudowywany, a w czasach Związku Radzieckiego ocalał, bo w nim właśnie urządzono Muzeum Religii i Ateizmu. Dzięki temu ołtarze i wnętrza uniknęły dewastacji, a organów nie zmieniono w złom. W 1990 roku przywrócono rolę świątyni, ale oddano ją nie Kościołowi katolickiemu, lecz Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Wkrótce jednak miejscowy pop-proboszcz wycofał kościół spod jurysdykcji Patriarchatu Moskiewskiego i podporządkował Ukrainie Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Kijowskiego. W sumie ze wszystkich stanisławowskich kościołów ormiański ucierpiał w najmniejszym stopniu. Może dlatego, że nad wejściem, między dwiema wieżami, zachowała się stylizowana i powiększona kopia obrazu cudownej Matki Boskiej ze złotą koroną. Tego obrazu, który zapłakał łzami w 1742 roku, został uznany za cudowny i przydał sławy miastu. W 1945 roku udało się go wywieźć do Polski, ale wmurowana w fasadę kopia pozostała.

Na początku ulicy Ormiańskiej, po prawej stronie, znajdowała się nowo zbudowana

elegancka kamienica, w której mieszkał za przyjaźniony z nami dyrektor szpitala, doktor Jan Kochaj. Miał starszą ode mnie córkę i syna Janka, gimnazjalistę, który szalenie mi imponował nie tylko z tego względu, że zawsze chodził w eleganckim mundurku, z tarczą swojej szkoły na rękawie. Miał piękny zbiór znaczków, chętnie pokazywał swoje albumy i pod jego wpływem też zacząłem je zbierać. Dzisiaj po całej prawej stronie ulicy Ormiańskiej nie ma choćby śladu. Została wyburzona, bo w tym miejscu usytuowano zamierzony jako imponujący, a w rzeczywistości koszmarny biurowiec Domu Partii, a więc najważniejszy za radzieckich czasów budynek miasta. Typowy dla socjalistycznej architektury półwysokościowiec z trzema skrzydłami, wbity jak pięść w oko secesyjnej części Stanisławowa. Ocalała na szczęście lewa strona ze znajdującym się naprzeciw kamienicy Kochajów gimnazjum żydowskim, z piękną, mauretańską fasadą, z pięcioma zakończonymi półokrągło wysokimi oknami nad również półokrągłą bramą. Balkon wzdłuż okien sprawia, że całość kojarzy się z pięcioramiennym świecznikiem. Za Sowietów ulicę Ormiańską przemianowano na Melniczuka. Ale Ormiańska ocalała. Tak bowiem nazwano uliczkę, przy której znajduje się frontowa fasada i wejście do kościoła. Poprzednio ulica ta nosiła imię księdza Antoniego Bołozza-Antoniewiczza, proboszcza parafii stanisławowskiej w drugiej połowie XVIII wieku. Nie tylko doprowadził on kościół ormiański do świetności, ale i zasłużył się dla miasta.

Ormianie pojawili się w Stanisławowie wkrótce po założeniu grodu. Andrzej Potocki ściągnął ich z Mołdawii i Siedmiogrodu, aby ożywić handel. Szukali schronienia przed Turkami, którzy podbili Armenię. Mieli swój język i swój alfabet. Byli katolikami, ale otrzymali swój obrządek, trzeci po rzymskim i greckim. W Stanisławowie z miejsca

nadano im prawo do własnego samorządu, wójta i ławników. Otworzyli stragany, zorganizowali słynny na całym Pokuciu jarmark i zbudowali w wyznaczonym miejscu swój drewniany początkowo kościół. Przywozili ze wschodu nie tylko broń i korzenne przyprawy, ale przede wszystkim złoto oraz klejnoty i wkrótce opanowali całkowicie cech złotniczy. Zaczęli wyprawiać safianowe skóry z hodowanych przez Hucułów kozłąt i jagniąt, robić delikatne kożuszki, ozdobne pasy szlacheckie do kontuszów i założyli cech safianistów. Stanisławowski jarmark ormiański stał się słynny na całą Polskę, a Ormianie błyskawicznie się wzbogacili. Nie bez kozery też mawiano wówczas, że gdziekolwiek pojawi się Ormianin, tam będzie płakać dwóch Żydów, czterech Niemców i ośmiu Polaków. W Stanisławowie wszakże, we Lwowie oraz całej południowo-wschodniej połaci kraju szybko ich polubiono, bo oprócz obrotowości charakteryzowała ich uczciwość i utożsamienie się z nową ojczyzną, którą stała się dla nich Polska. Nigdy nie było ich zbyt wielu. Od 500 za czasów Potockich do 200–300 w okresie międzywojennym, ale zawsze byli elitą. To ze Stanisławowa i Lwowa wzięły początek, uważane z czasem za rdzennie polskie i wielce dla nas zasłużone, rody ormiańskie. Wzbogacili nie tylko handel, ale i polską kulturę. *Gente Armenus natione Polonus* – mawiano.

Ormianinem był żyjący na przełomie XVI i XVII stulecia jeden z pierwszych polskich poetów Szymon Szymonowicz, który nim został uszlachcony, nazywał się Symon Symonides. A także sekretarz Komisji Edukacji Narodowej Grzegorz Piramowicz. Ormianinem był wynalazca destylacji ropy Ignacy Łukasiewicz, który skonstruował lampę naftową. Niepodległości Polski domagał się od Austriaków w 1913 w roku w galicyjskim sejmie arcybiskup ormiański, Józef Teodorowicz. To właśnie on jako poseł do pierwszego sejmiku II Rzeczypospolitej dostąpił zaszczytu wygłoszenia przemówienia inauguracyjnego obrady. Gdy więc stanisławowscy Ormianie zbudowali własny, już murowany kościół, zaczęła do niego masowo chodzić również polska ludność. Zwłaszcza gdy w rok po zbudowaniu kościoła umieszczony w głównym ołtarzu obraz Matki Bożej Łaskawej zaczął spływać łzami. Była to wierna ko-



pia Jasnogórskiej Matki Bożej wykonana w XVII wieku przez nieznanego malarza na zlecenie sekretarza gminy ormiańskiej Doniga, zakupiona przez stanisławowskich Ormian i umieszczona w pierwszym drewnianym kościółku. Tej stanisławowskiej Matce Bożej przypisano dziesiątki cudownych uzdrowień, czego dowodem były podziwiane przeze mnie w tym kościele ogromne ilości srebrnych i złotych dowodów wdzięczności zwanych wotami. Wisiały w gablotach na ścianach świątyni przy głównym ołtarzu. Gwałtowny pożar, który wybuchł w 1867 roku w znajdującej się w pobliżu dzielnicy żydowskiej, na Belwederze, błyskawicznie ogarnął kościół. Cudowny obraz omal nie spłonął, ale wierni z narażeniem życia uratowali świętość i tylko lekko nadpalony z prawej strony róg obrazu pozostał śladem po kłesce, która strawiła miasto. A kościół odbudowano szybko w identycznym kształcie.

Jak przez mgłę pamiętam koronację cudownego wizerunku Matki Bożej z ormiańskiego kościoła, która odbyła się w maju 1937 roku. Całą procedurę związaną z koronacją obrazu, a także samą ceremonię bardzo starannie i przez kilka lat przygotowywał proboszcz parafii ormiańskiej, cieszący się

w całym mieście wielkim szacunkiem ksiądz Franciszek Komusiewicz. Niestety, nie dożył samej uroczystości.

Miałem wtedy osiem lat. Przed naszym domem na Sapieżyńskiej ustawiliśmy stół kuchenny, a na nim dzbanki z wodą i błaszanane kubki dla ciągnących jedna za drugą procesji pielgrzymów, które od rana zmierzwały do miasta z kierunku Tyśmienicy. Były to tłumy, również zza Karpat, z Rumunii i Czechosłowacji. Zjechali też Ormianie z całej Polski.

A potem z rodzicami pomaszzerowałem przez umajone girlandami kwiatów oraz udekorowane polskimi, papieskimi i biało-niebieskimi maryjnymi flagami miasto na pola Dąbrowy, gdzie odbywała się ceremonia koronacji. Mieliśmy tam wyznaczone swoje krzesła, a na ogromnym podium zasiedli dostojnicy kościelni z prymasem Polski, kardynałem Augustem Hlondem, który po raz pierwszy przybył do Stanisławowa w asyście wszystkich biskupów polskich. Ale to nie on, lecz arcybiskup Teodorowicz ukoronował obraz. W tej koronacji, jak potem mówiono, wzięło udział ponad 80 000 ludzi, a więc więcej niż mieszkańców Stanisławowa.

Do Ormian, jak to się w Stanisławowie mawiało, zacząłem systematycznie chodzić razem ze swoimi kolegami z ćwiczeniówki za sowieckich czasów. Zapisaliśmy się do kółka ministrantów i była to jedyna *de facto*, również podczas niemieckiej okupacji, polska organizacja. Były nas całe tłumy, a przy niesporach odprawianych przez księdza Kazimierza Filipiaka mogło asystować tylko trzynastu. Dziesięciu wychodziło z księdzem i podczas odprawiania niesporów klęcząco przed ołtarzem. Czterech z nas miało dzwonki i dzwoniło w odpowiednich momentach, a trzech wychodziło z kadzidłem i mirrą. Klóciliśmy się zawzięcie o to, kto będzie służył do niesporów i na niedzielnej sumie, o komżę z ładniejszą koronką, o kołnierzyki, o to, kto będzie miał dzwonek i – co było najbardziej atrakcyjne – o funkcję kadzidłowego. Nie trzeba było bowiem wtedy klęczeć przez całe nabożeństwo, a czekało się na wyjście przed zakrytą kręcąc ogniem młynka lub tak zwane ósemki, aby węgielki odpowiednio się żarzyły, kiedy ksiądz Filipiak nasypie mirry i będzie okadzał ołtarz. Opiekujący się ministrantami zakrystian, pan Engel, z czarną opaską na jednym oku, bo

stracił je na wojnie, nie radził sobie z nami, gdyż był równocześnie organistą i musiał odpowiednio wcześniej wejść na galerię z organami. A jak już zasiadł przy organach, to w dodatku okropnie zawodził. My, już bez nadzoru, wrywaliśmy sobie dzwonki i kadzidło, aż ksiądz Filipiak zorientował się w naszych namiętnościach i prezesem kółka mianował starszego od nas o kilka lat Romka Sobaszkana. A ten wpadł na genialny pomysł i ustalił listę dyżurów w kolejności według egzaminu z liturgii ormiańskiej oraz z odmawiania *Zdrowaś Mario* po ormiańsku. Nigdy więc nie zapomnę, że ta modlitwa zaczyna się od słów *Wochczum kez Mariam...*, bo dzięki znajomości tego pacierza szybko awansowałem na ogniomistrza, który miał dbać o żarzące się węgielki. Romka, który został później księdzem, słuchaliśmy, bo trochę baliśmy się go, natomiast wręcz uwielbialiśmy księdza Filipiaka. Był wikarym, ale rządził wszystkim, gdyż proboszcz parafii ormiańskiej, ksiądz prałat Leon Isakowicz, był chorowity i rzadko się pokazywał.

Ksiądz Filipiak nie był Ormianinem. Pochodził z Tymbarku, a więc był góralem. Był przystojny i wysportowany, miał jasne, zaczesane do góry, bujne włosy. W przeciwieństwie do okropnie zawodzącego organisty Engela pięknie śpiewał. Na odprawiane przez niego po ormiańsku msze śpiewane zawsze przychodziły tłumy. I był odważny, bo kiedy do Stanisławowa wkroczyli Niemcy, wraz z prałatem Isakowiczem zorganizował wystawianie Żydom ormiańskich metryk, które uratowały ich od zagłady. Nie było nas już w Stanisławowie, kiedy podczas łapanki w marcu 1944 roku obaj ormiańscy księża ukryli przed gestapowcami w kościele oraz zakrytiii kilkadziesiąt poszukiwanych młodych osób, w tym przyszłą profesor biologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, doktor Marię Jordan.

Po zakończeniu wojny, dzięki odwadze i niezwykłej przytomności umysłu, księdzu Filipiakowi udało się ocalić cudowny obraz i wywieźć go ze Stanisławowa. Kiedy w ramach tak zwanej akcji repatriacyjnej uzyskał zgodę na wywiezienie wyposażenia kościoła i wszystko było już spakowane, zjawia się kontrola NKWD z żądaniem przekazania ikony ze złotą koroną, która nie może być zabrana do Polski, ponieważ jest ważnym zabytkiem i musi pozostać na miejscu. Wte-

dy ksiądz Filipiak wyprowadził oficera NKWD przed kościół i pokazał mu znajdujący się między wieżami obraz. Była to powiększona replika sylwetki cudownej Matki Boskiej, wykonana na blasze i umieszczona na tympanonie. Powiedział ponoć: „Nawet gdybym chciał, nie mógłbym zabrać tego obrazu ze złota, bo jest przymocowany”. W tym momencie wyszło zza chmur słońce i replika zalśniła złotem. Bo rzeczywiście umieszczona wysoko między dwiema kopułami wież kopia obrazu, konkretnie szaty i korona Matki Boskiej, były pokryte cienkimi płatkami złota. Ten niewątpliwie kosztowny zabieg dla uczczenia pamiętnej koronacji na zamówienie probostwa wykonał ojciec mojego serdecznego kolegi z klasy Stasia Siemka oraz nieco starszego od nas jego brata Tadeusza. Staszek, podobnie jak ja, był ministrantem w kościele ormiańskim. Państwo Siemkowie mieszkali w pobliżu kościoła ormiańskiego, przy ulicy Szopena, i bardzo często chodziłem do nich grać w piłkę. Pan Leopold Siemek pracował w Wydziale Technicznym Magistratu i był kartografem, autorem planu przedwojennego Stanisławowa. Miał wszakże artystyczną duszę, a że był również oddany ormiańskiej świątyni, na prośbę księdza Komusiewicza społecznie wykonał tę żmudną pracę.

Zapewne nie przewidział, że uratuje cudowny obraz. Enkawudzista ściągnął jeszcze fachowca, który po specjalnie dostarczonej strażackiej drabinie wszedł na fasadę i potwierdził, że są to autentycznie złote płatki, bo albo nie znał prawdy, albo ją zataił. Wtedy dopiero oficer zrezygnował z otwierania skrzyń i dalszych poszukiwań. Dla wszelkiej pewności ksiądz Filipiak nie zaryzykował przewiezienia cudownego obrazu w transporcie kolejowym z dobytkiem kościelnym i powierzył go zaufanej parze starszych Ormian, którzy schowali beczenny skarb w wozie z podwójnym dnem i w maju 1946 roku przewieźli w ramach akcji repatriacyjnej przez granicę do miejscowości Fryszak pod Jasłem.

Ksiądz Filipiak wraz ze stanisławowską cudowną Matką Bożą Łaskawą długo nie mógł jednak znaleźć dla siebie miejsca w Polsce Ludowej. Może z tego względu, że strzegł jej w imieniu ormiańskiej diecezji, która po utracie Lwowa przestała istnieć, a na łaskawość ludowej władzy też nie mógł

liczyć. A i Ormian było mało, bo w ramach repatriacji rozsypali się po całej Polsce, włącznie z ziemiami odzyskanymi i po prostu przestali istnieć jako społeczność. Więc naprzód było Opole, gdzie na krótko ksiądz Filipiak otrzymał najmniejszy w tym mieście kościół, a właściwie kaplicę św. Sebastiana przy Małym Rynku. Potem polecono mu przenieść się do parafii Pawłowo w archidiecezji gnieźnieńskiej. A stamtąd wrócił do rodzinnego Tymbarku, gdzie przechowywał obraz w swojej prywatnej kaplicy domowej i tam odprawiał nadal mszę w obrządku ormiańskim. Te trudne do zrozumienia kłopoty skończyły się dopiero w dwanaście lat po wyjeździe ze Stanisławowa, kiedy w 1958 roku ksiądz Filipiak na własną rękę wybrał się do Gdańska i tam wyjednał zgodę kurii biskupiej na ulokowanie stanisławowskiej ikony w ruinach spalonego kościoła Apostołów Piotra i Pawła w Gdańsku na Żabim Kruku. Ksiądz Filipiak odbudował jedną nawę, a obraz umieścił w zakrystii zmienionej tymczasowo w sanktuarium. Mimo tych wszystkich kłopotów zachowywał pogodę ducha i poczucie humoru, bo kiedy odwiedziłem go w latach siedemdziesiątych, w opowieść o swoich losach mimochodem wtrącił, że tylko jeden Chrystus wie, ile kłopotów miał z jego Matką! Oprócz wielkiego szacunku cieszył się już wtedy oficjalnym uznaniem, bo mianowano go proboszczem parafii ormiańskiej obejmującej cały kraj. Ksiądz Filipiak nie tylko powoli odbudowywał kościół, ale jeździł po całym kraju, odszukiwał i spisywał Ormian. W kościelnej hierarchii podniesiono go do godności prałata i wikariusza generalnego prymasa Polski do spraw obrządku ormiańskiego. Przy wszystkim, co Ormianie zrobili dla Polski, było coś znamiennego i wzruszającego, że góral z Tymbarku, a więc Polak z krwi i kości, uczynił tyle dla ocalenia obrządku ormiańskiego w naszej ojczyźnie. Po śmierci księdza Filipiaka w 1992 roku parafię na Żabim Kruku objął ksiądz Cezary Annusewicz, co ciekawe, podobnie jak ksiądz Filipiak rodowity Polak, który z powodzeniem kontynuuje dzieło odbudowy świątyni i zapewnił w Gdańsku godne chwały miejsce cudownej Matce Bożej ze Stanisławowa.

Fragment książki Tadeusza Olszańskiego „Kresy Kresów. Stanisławów jednak żyje”. Wydawnictwo Wysoki Zamek, Kraków 2016

Książki czasopisma

📖 Z numerem 1/2016 „Wołania z Wołynia” otrzymaliśmy książkę autorstwa Stefana Kamińskiego pt. *Lata walk i zamętu na Ukrainie 1917–1921*. Książka wyszła po raz pierwszy w 1928 r., obecnie powtórnie w Bibliotece WzW, tom 96. Kolejne wydarzenia dobrze ilustruje spis treści:

I Wojna Światowa, rewolucja (1914–1917); Niepodległa Ukraina; stąd warto zacytować fragment nas blisko dotyczący:

[...] *Od jesieni 1917 nastąpił okres największego zamętu, barbarzyńskiego wcielenia haseł nienawiści i przemocy, rzucanych tak długo i wytrwale przez agitatorów. Rozpoczęły się słynne pogromy rolne – niszczenie posiadłości ziemskich.*

Zamachy na własność prywatną zaczęły się wnet po przewrocie. Kradzieże inwentarza i zbiorów, szkody w polu, samowolny wyręb lasów i pasienie bydła na obszarach dworskich – oto zwykły wstęp do dalszej, coraz potęgującej się akcji niszczycielskiej. Następują bezprawne rekwizycje, jawne napaady i zbrojne rabunki – w końcu ostateczny rabunek zabudowań gospodarskich i mieszkalnych, po czym ich stopniowa zagłada. Oddziały dezertarów z frontu lub rozbójnicze załogi wojskowe zwykle były nauczycielami ludności miejscowej w pogromach majątków ziemskich.

Ziemiaństwo bronilo się dzielnie, pozostawione swojemu losowi, ponieważ rząd ówczesny był jego wrogiem, a zarazem głównym podżegaczem, uświęcającym przemoc tłumem swymi bałamutnymi obietnicami. Znosiło niesłychane udręczenia, długi łańcuch codziennych szykan, prowokacji i podłości, usiłując ratować mienie od zagłady, trwając do ostatka na zagrożonych, nieraz beznadziejnie placówkach. Dochodziło nieraz do formalnej wojny z dzikim, chciwym, okrutnym żywiołem hajdamackim. Tak np. dwór w Sumówce nad Bohem, własność Sobańskich, bronił się po bohatersku przez kilkanaście miesięcy z małymi przerwami,

znosząc prawdziwe obłężenie i odpierając kilkakrotne szturmy zawziętych gromad, aż wreszcie najście hord bolszewickich w marcu r. 1919 przełamały opór obrońców.

Mnóstwo ziemian, dzierżawców, urzędników rolnych zginęło wśród okrucieństw, zadawanych przez rozszalałą, pijaną czerń. Ginęły jedne po drugim prastare siedliska, dwory, pałace, folwarki, nawet gospodarstwa drobnych osadników polskich, niemieckich i czeskich (np. w Kijowszczyźnie koło stacji kolejowej Holendry). Ginęły wzorowe gospodarstwa promieniające kulturą rolniczą na dalekie okolice, ginęły nieprzebrane i nigdy niepowetowane zapobiegliwej pracy pokoleń, bezcenne skarby kultury polskiej, która dotąd przetrwała już tyle burz na Kresach, Zagłada każdej takiej placówki polskiej była sama w sobie ginącą w ogromie powszechnej klęski tragedią, tonęła w otchłani krzywd i zapomnienia, donosząc o sobie światu zaledwie kilkunastu wierszami drobnego druku w „Dzienniku Kijowskim”, który w rubryce „Nasze straty” prowadził straszliwą w swej zwięzłości kronikę klęsk polskości na Ukrainie. Niby nowa fala hajdamaczyzny, jakby nieoczekiwane w XX wieku najście wschodniej dzicy, zniosły mnóstwo posiadłości polskich, średnich i większych, zajmujących w samej tylko Kijowszczyźnie, na Podolu i Wołyniu około 3 milionów hektarów ziemi. [...]

Wracając do spisu treści książki S. Kamińskiego: Pierwsze najście bolszewików, okupacja niemiecka; Powstanie Petlury; Wojna polsko-ukraińska; Walki na Ukrainie – grudzień 1917; Wojna polsko-bolszewicka na Ukrainie (rok 1920); Ukraina pod rządami bolszewickimi.

Tę książkę warto przeczytać dziś, kiedy na Ukrainie dzieją się rzeczy równie przerażające i które mogą się dalej rozwijać.

Andrzej Chłipański

📖 Z kolejnym numerem „Wołania z Wołynia” nr 1/2017 przysłano nam książkę pt. *Na pograniczu dwóch światów. Publicystyka 1936–1939* (tom 118), a jej autorem był sam ks. Władysław Bukowiński. Nie posiada ona jednolitej treści – jest to zbiór ważnych i cieka-





wych artykułów napisanych przez ks. Bukowińskiego w ostatnich latach międzywojennych (kiedy przebywał w RP). Do najciekawszych zaliczylibyśmy artykuł: *Co mówią nam o Wołyniu Targi Wołyńskie?* Pozwalamy sobie przeto udostępnić go Czytelnikom w formie osobnego tekstu. Takich można by tu znaleźć więcej, jednak numer ma swoje granice.

📖 *Ta ni masz, ni masz, jak miasto Lwów!*

W roku 2015 nakładem krakowskiego wydawnictwa AA ukazał się przewodnik *Lwów i okolice* autorstwa Jędrzeja Majki. Przewodników poświęconych temu pięknemu miastu położonemu na pograniczu wschodniego Roztocza i Wyżyny Podolskiej nad rzeką Pełtwią jest wielu. Ale jeśli

zamierzamy się wybrać do dawnej perły Galicji i jednego z najpiękniejszych miast II Rzeczypospolitej, to proponuję z przewodnikiem Jędrzeja Majki. Autor – z wykształcenia teolog, dziennikarz, fotograf, z zamiłowania podróżnik zakochany w Kresach. Chociaż sam nie ma związków rodzinnych ze Wschodnią Polską, to jest w niej bezgranicznie zakochany, czego koronnym przykładem są liczne publikacje: *Kresy. Śladami naszych przodków* (Kraków 2002), *Ostatni dzień Lwowa* (2004), *Lwów. Trzy eseje* (Kraków 2005), *Kresy. Album fotograficzny* (Kraków 2009), *Mistyczne Kresy. Album fotograficzny* (2013), *Przewodnik po Kresach. Ukraina. Białoruś. Litwa* (Kraków 2014). *Kresy* – jak sam autor powiada. – *Każdy z nas niejednokrotnie w swoim życiu spotkał się z tym pojęciem. Ale gdzie tak naprawdę one są? Są w nas i każdy przeżywa je na własny sposób. W nich na nowo odkrywamy naszą historię. Dziś ziemie te znajdują się w granicach innych państw, ale nie przestają być dla nas ważne. Rejony, które my – Polacy – wyczuwamy intuicyjnie.* Ulubionym miastem kresowym autora jest Lwów, wraca do niego, kiedy tylko może, sam, z przyjaciół-



mi, rodziną. Lubi przemierzać kręte uliczki miasta nad Pełtwią, fotografując ślady tak ukochanego przez nas miasta. Zasadnicza część przewodnika rozpoczyna się blokiem historyczno-informacyjnym, informacje pozwolą nam się zapoznać z historią miasta, a zawarty też tutaj *Poradnik turysty* – pozwoli nam zaznajomić się z wszelkimi informacjami dotyczącymi przekroczenia granicy, ubezpieczenia, bezpieczeństwa etc. Zasadnicza część składowa *Przewodnika* została podzielona na pięć części – każda oznaczona osobnym kolorem, aby ułatwić znalezienie odpowiednich informacji: Stare Miasto – kolor żółty, Wysoki Zamek i Podzamcze – kolor czerwony, Od Opery do kościoła Bernardynów – kolor turkusowy, Na zachód od centrum – kolor szary, W drodze na Łyczaków – kolor zielony. Każdy rozdział poprzedza szczegółowy wycinek z planem miasta. Przewodnik nie ogranicza się do samego miasta, autor zrobił tu w naszym kierunku ukłon rozszerzając go o dodatek – okolice Lwowa – kolor niebieski. Znalazły się tu dobrze nam znane miejscowości (Zółkiew, Krechów, Olesko, Podhorce, Złoczów, Rudki, Sambor, Drohobycz, Truskawiec – ach, kiedyś perła uzdrowiskowa II RP), do których warto się wybrać będąc we Lwowie, szczególnie że można je odbyć w jednodniowych wypadach. Przewodnik w miękkiej laminowanej okładce, z licznymi zdjęciami autorstwa, a jakby inaczej – Jędrzeja Majki. Nic tylko wrzucić przewodnik do podręcznego bagażu i wybrać się chociażby na weekend, bo żadne oglądanie filmów, albumów zdjęć, czytanie książek nie da nam tego co osobiste chodzenie po bruku lwowskim, szukanie śladów Polski, ale też wielonarodowościowego miasta z doby II RP. Oczywiście zakreśli się łąza nad dzisiejszą modernizacją czy zmianami, jakie następują w mieście, ale chodząc po nim z przewodnikiem w rękę można powtórzyć za autorem: – *Wsluchajmy się w słowa piosenki Hemara z 1926 r.*

*Tyle jest miast:
O miasto beztroskich ludzi
Rozśpiewanych dźwięczących słów
To przecie ta
Piosenka trwa
Jeśli kochać się
To we Lwowie*

Marek Górka

📖 Najnowsza historia archidiecezji lwowskiej obrządku łacińskiego wciąż czeka na gruntowne opracowanie. Zasadniczą przeszkodą w podjęciu tematu stanowią względy prozaicznej natury, a mianowicie dotkliwy brak źródeł. Po II wojnie światowej, a zwłaszcza po roku 1991 nie zadbano o gromadzenie ani zabezpieczenie wspomnień, relacji, fotografii, dokumentów ilustrujących dzieje zmagania Kościoła o przetrwanie, egzystencję czy wreszcie ograniczony szykanami powojennych władz



sowieckich rozwój nie tyle struktur organizacyjnych, co różnorodnych form życia religijnego i społecznego wiernych. O ile zdelegalizowana po roku 1946 Cerkiew greckokatolicka na Ukrainie dysponuje bogatym zasobem tego typu materiałów pozyskanych po rozpadzie Związku Sowieckiego, o tyle Kościół rzymskokatolicki funkcjonujący na tym samym terytorium

nieprzerwanie, choć pozbawiony ram instytucjonalnych, nie zdobył się na analogiczny wysiłek. Skutki tego stanu rzeczy są ewidentne i nieodwracalne, bowiem liczne szeregi świadków żyjących jeszcze w dobie reaktywowania w roku 1991 metropolii lwowskiej ob. łac. dziś już nie istnieją, a wraz z ich odejściem bezpowrotnie przepadły źródła pierwszorzędnej wagi dla historyka. Zachowały się natomiast archiwalia wytworzone przez służby bezpieczeństwa Związku Sowieckiego, rejestrujące stan i kondycję Kościoła rzymskokatolickiego w Ukraińskiej SSR. Jednak ich wartość wydaje się nader wątpliwa, bowiem lokalne komórki pełnomocników do spraw kultu religijnego sporządzały je w celu wykazania się przed centralą w Kijowie i Moskwie sukcesami w ograniczaniu roli, a zarazem dynamizmu życia religijnego ateistycznego w założeniach społeczeństwa sowieckiego.

W dotychczasowej literaturze przedmiotu poświęconej powojennym losom Kościoła lwowskiego w granicach Związku Sowieckiego dominują wydawnictwa źródłowe, edycje wspomnień oraz opracowania tematów szczegółowych. Nie wydaje się jednak, aby mimo znacznego już dorobku możliwe było

w najbliższym czasie zrealizowanie planu wydania monografii archidiecezji lwowskiej w latach 1945–1991. Pozostaje zatem w dalszym ciągu „praca u podstaw”, polegająca na prezentacji wycinkowych aspektów życia społeczno-religijnego rzymskokatolickiej społeczności, aby w oparciu o tak zebrany materiał sporządzić z czasem syntezę zagadnienia.

W tej konwencji została napisana rozprawa poświęcona osobie i działalności lwowskiego katechety i duszpasterza ks. Karola Jastrzębskiego. Od wczesnej młodości rokował on wielkie nadzieje, legitymując się zarówno prawowitością, zdolnościami, jak i zrównoważoną osobowością. Studia filozoficzno-teologiczne rozpoczęte na początku XX stulecia po wstąpieniu do Seminarium Duchownego we Lwowie prowadził najpierw na Uniwersytecie Lwowskim, a po kilku latach w Innsbrucku. Choć nie uwieńczył ich doktoratem z powodu niepowodzenia na ostatnim etapie nauki, to po uzyskaniu święceń kapłańskich odwołany przez władzę duchowną do kraju pełnił przez kilka lat obowiązki wikariusza i katechety w Brodach, Brzeżanach i Stanisławowie. Ostatecznie został oddelegowany w roku 1912 na etat katechety szkół powszechnych we Lwowie, spełniając to zadanie przez 27 lat aż do wybuchu II wojny światowej. Oddany swemu powołaniu prowadził katechizację systemem nauki prywatnej nawet podczas okupacji, a także w pierwszych latach powojennych w realiach państwa sowieckiego. Po ostatecznej likwidacji nauczania religii w szkołach oraz wskutek państwowych zakazów formacji religijnej dzieci i młodzieży ks. Jastrzębski poświęcił się pracy duszpasterskiej, jak również filantropijnej.

Wbrew wszelkim obawom 64-letni duchowny bez trudu przejął po II wojnie światowej ster parafii katedralnej we Lwowie, pozbawionej od roku 1946 proboszcza i kilku dotychczasowych wikariuszy. Okazało się, że przez najbliższe dwa lata ów nieprzygotowany zgola do takiej misji kapłan, bez jakiegokolwiek doświadczenia w tej mierze, przeprowadził przez najtrudniejszy okres całą wspólnotę parafialną, ratując Bazylikę Metropolitalną przed groźbą zamknięcia. Co więcej, zdając sobie sprawę z heroicznego wyzwania, oparł swoje działania pastoralne o nieakceptowaną jeszcze wówczas przez Kościół ideę kultu Miłosierdzia Bożego zawartą w wizjach

s. Faustyny Kowalskiej. Przyszło mu to tym łatwiej, że kilkakrotnie osobiście zetknął się z ową zakonnica i jej objawieniami, a ponadto nie ufając w swoje siły czy umiejętności oparł się na Bogu „bogatym w miłosierdzie”. Dzięki temu od wczesnych lat powojennych celebrowano w katedrze lwowskiej nabożeństwo do Miłosierdzia Bożego, udostępniając nadto do kultu wizerunek Chrystusa nawiązujący do mistycznych przeżyć s. Faustyny Kowalskiej. Praktyka ta przetrwała do dzisiaj, kładąc podwaliny pod współczesną proklamację Sanktuarium Miłosierdzia Bożego.

Warto jeszcze zaznaczyć fakt niezwykły związany z osobą i misją ks. Karola Jastrzębskiego, a mianowicie względną swobodę pracy duszpasterskiej w kontekście masowych represji sowieckich wobec katolickich duchownych i wiernych. Poza sporadycznymi wezwaniami na rozmowy z pełnomocnikami do spraw kultów religijnych, duchowny nigdy nie doświadczył rewizji, aresztowania czy kary łągrów, w przeciwieństwie do współczesnych mu innych kapłanów z terenu miasta Lwowa i całej archidiecezji lwowskiej. Nie wolno wszakże wyciągać stąd wniosków o uprzywilejowanym jego statusie wynikającym z szeroko rozumianej postawy lojalności względem Sowietów. Prawdopodobnie władze uznały, że osoba obdarzona aparycją karta, wykazująca się nieporadnością życiową, prezentująca model religijnego fanatyzmu nie jest w stanie odegrać poważniejszej roli w osaczonym inwigilacją i szykanami lokalnym Kościele. Tymczasem rachuby te okazały się fałszywe, a misja ks. Jastrzębskiego została uwieńczona pełnym sukcesem.

Prezentowana niniejszym biografia ks. Karola Jastrzębskiego stanowi poszerzoną i uzupełnioną wersję pracy magisterskiej kapłana archidiecezji lwowskiej ob. łac. Mariana Muzyki, przygotowaną w 2016 r. pod kierunkiem piszącego te słowa na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. Autor związany przez lata formacji religijnej z Bazyliką Metropolitalną we Lwowie, z wielkim pietyzmem zrekonstruował drogi życiowe bohatera swych badań w oparciu o rzetelną kwerendę źródłową w archiwach polskich, jak również zagranicznych. Przeprowadził nadto szereg wywiadów ze świadkami minionych wydarzeń, spośród których kilku

już nie żyje. Ocalał zatem niemal w ostatniej chwili bezcenny materiał pozyskany od osób reprezentujących wysoki poziom religijno-intelektualny, a nadto zaangażowanych bezpośrednio w opisywane dzieje. To jedna z wielu zalet tej publikacji. Inne posiadają nie mniejszy ciężar gatunkowy: utrwalenie w społecznej świadomości wiernych archidiecezji lwowskiej osoby i epokowego dzieła niepozornego zgoła kapłana o wielkich zasługach dla lokalnego Kościoła, ale i dla polskiej społeczności, jak również ukazanie atrakcyjnego wzoru służby wartościom moralnym w najbardziej nawet niesprzyjających warunkach.

Wolno zatem żywić nadzieję, iż publikacja, ukazująca się w 135. rocznicę urodzin i 50. rocznicę śmierci ks. kanonika Karola Jastrzębskiego, zainspiruje historyków do dalszych badań naukowych nad dziejami Kościoła na Wschodzie, a wspólnocie wiernych parafii przy Bazylice Metropolitalnej we Lwowie przybliży postać znaną, choć już umieszczoną w panteonie przeszłości.

ks. Józef Wolczański

Ks. Marian Muzyka, *Ks. Karol Jastrzębski 1882–1966. Katecheta, duszpasterz, promotor kultu Bożego Miłosierdzia w archidiecezji lwowskiej*, Lwów–Kraków 2017, ss. 272 + fotografie (Wydawnictwo Bł. Jakuba Strzeмиę Archidiecezji Lwowskiej ob. łac., seria: Biblioteka Historyczna Archiwum Metropolii Lwowskiej obrządku łacińskiego w Krakowie, redaktor naukowy ks. Józef Wolczański).

📖 Ziemowit Szczerek w książce *Tataż z tryzubem* stara się przedstawić proradziecką rzeczywistość zachodniej Ukrainy pełną paradoksów i trudną do zrozumienia dla ludzi z zachodniej Europy.

Po „radzieckości” przyszedł czas na „ukraińskość”, niebiesko-żółtą modę, Banderę i tryzub, napisy, że „UPA-heroji”. A w Donbasie trwa wojna. Ludzie swoje zagubienie topią w alkoholu. Ukraińska tożsamość jest oczywista tylko na zachodzie Ukrainy, tam ma swoją formę i mowę.



Tworzona jest historia. Według niej już Tacyt i Ptolemeusz pisali o Ukraińcach, zwanych wówczas Karpami. Odoaker rządzący Rzymem był pra-Ukraińcem. Jest to teoria historyka Światosława Semeniuka. To nie ukraiński naród stworzył Ukrainę, to bardziej Ukraina tworzy ukraiński naród.

Na Ukrainie nie ma ani jednego miasta o „ukraińskim charakterze”.

Dla wielu kijowian ukraińskość to fanaberia, rodzenie narodowości z regionalności. Ukraina wydarzyła się jako produkt geopolitycznych okoliczności.

Polacy pomagali w budowie państwa ukraińskiego. Architektem miał być Petlura.

Po Majdanie nic się nie zmieniło. Jeśli będzie trzeba, to ludzie wyjdą jeszcze raz, aż do skutku.

Marta Walczewska

📖 Ukazał się kolejny, 16. tom serii wydawniczej „Tak było... Sybiracy”. Edycja serii trwa od roku 1995. Inicjatorką i dobrym duchem mobilizującym do pracy zarówno autorów, jak i redaktorów kolejnych tomów jest niezawodna pani Aleksandra Szemioth. Należy oczywiście wspomnieć o całym Zespole Komisji

Historycznej Związku Sybiraków Oddział w Krakowie, pracującym nad wydawnictwami, do którego należą, oprócz wymienionej już pani Aleksandry Szemioth, także Teodor Gąsiorowski, Anna Gęgotek, Małgorzata Kaplińska, Jakub Ryba, Leopold Walczewski, Agnieszka Winiarska, Zofia Zemlak oraz nieżyjący już Stella Goldgart, Anna Semkowicz i Janusz Żu-

ławski. Chwała im za tę serię!

Tom 16. zawiera wspomnienia Józefa Gurgula (1898–1974), Włodzimierza Kinasza, Witolda Liszki (1923–2005) i Leopolda Walczewskiego. Wszyscy – z wyjątkiem Witolda Liszki – sybirackie zesłanie rozpoczęli pamiętnego 10 lutego 1940 r. Uratowało ich podpisanie umowy przez ZSRR z polskim emigracyjnym rządem. Mogli opuścić miejsca zesłania. Podążali do tworzonego przez gen. Władysława Andersa Wojska Polskiego. Jechali w miejsce zgrupowania w Kazachstanie zewsząd, gdzie dotarła wieść o amnestii dla Polaków, całymi rodzinami. Wędrowali z nadzieją wyrwania się z tej

niehumanitarnej ziemi dokądkolwiek. Zmęczeni, schorowani, wyczerpani ciężką, ponad ludzkie siły pracą. Nikt chyba nie zliczył i już nie zliczy, ilu Polaków zostało tam na zawsze, bezimiennie w tajdze, stepie. Ci, którzy przetrwali i po latach tułaczki znaleźli swe miejsce w nowej Polsce, czy rozsiało ich po całym świecie, do dziś składają świadectwa, pisząc i opowiadając, bo „Tak było...” Tak opowiadają Sybiracy...

Józef Gurgul z rodziną wywieziony został do Krutojaru w swierdłowskiej oblasti. On i jego syn Władysław wstąpili do Armii Andersa, a żona i młodsze dzieci szczęśliwie znalazły się w obozie w Iranie. Wkrótce dołączył do nich Józef jako niezdolny do pełnienia służby wojskowej. Przez obozy w Indiach dotarli w końcu do Anglii. Jakis czas temu rodzina Gurgulów, zamieszkała w Wiedniu, odwiedziła krakowski oddział Związku Sybiraków i przekazała wspomnienia swego przodka z czasów Syberii.

Włodzimierz Kinasz z całą rodziną trafił do tajgi, do niewielkiej osady w Ałtajskim Kraju nad jeziorem Klucznoje. Kinaszom udało się dotrzeć w okolice Ałma Aty. I choć tylko ojciec autora opuścił ZSRR z Armią Andersa, a reszta rodziny została w okolicach Ałma Aty, w mieście Otar, to udało się im wszystkim przetrwać wojnę i w 1946 r. dotrzeć do nowej Polski.

Leopold Walczewski wraz z rodziną trafił do miejscowości Kargowina w archangielskiej oblasti. Zmarł tam jego matka i najmłodszy brat. W 1944 r. przesiedleni zostali na Ukrainę, skąd udało im się przenieść do Polski, na Ziemię Odzyskane.

Witold Liszka trafił do sowieckich łagrów dopiero w 1945 r. Był żołnierzem Armii Krajowej. Aresztowany przez NKWD, skazany został na pięć lat łagru. Karę odbył w obozach Workuty, przetrwał. Po opuszczeniu łagru dostał nakaz przymusowego osiedlenia się w położonej w tajdze wiosce Bajkan w Krasnojarskim Kraju. Tam poznał żonę, córkę zesłańca z Brześcia. Po ogłoszeniu amnestii w 1954 r. udaje się mu z rodziną przenieść do Lwowa, a w 1955 r. zamieszkali w Brześciu. Dopiero w 1957 r. udało się Kinaszom przenieść do Polski, do Krakowa.

Każda z tych rodzin przeszła katorgę. Ale przetrwała, bo człowiek potrafi się dostosować do niewyobrażalnych warunków. Życiorysy bohaterów wspomnień i ich rodzin



mogłyby stać się przyczynkiem do powstania niejednego filmu. To gotowe scenariusze, które trudno byłoby wymyślić. Jako czytelnicy i Polacy bądźmy wdzięczni autorom, że zechcieli na stronach swych pamiętników, przecież opracowywanych współcześnie, raz jeszcze przeżywać gehennę tamtych upiornych dni wypełnionych grozą, zmęczeniem, głodem, strachem i niepewnością o jutro. A wydawcy, że zdobył się na trud opublikowania tych wspomnień.

Janusz M. Paluch

Wertując wydawnictwa

■ Omawiając wyżej nowe książki, informowaliśmy, że tomik pt. *Lata walk i zamętu na Ukrainie 1917–1921* (autor Stefan Kamiński) został załączony do nowego numeru pisma „Wołanie z Wołynia” (nr 6/133) 2016. Pismo to, jak Czytelnicy pamiętają, jest nam przysyłane z Ostroga (zza kordonu) od szeregu lat, a do niego przeważnie dołączane są tomiki różnej treści.

Numer ten, mimo niezbyt dużej objętości, ma zawartość bogatą, urozmaiconą. Dwa artykuły poświęcone ks. Władysławowi Bukowińskiemu, nowemu błogosławionemu, który zyskał miano Apostoła Kazachstanu, a w ciągu niezwyklego życia – rozpoczętego w Berdyczowie (w 1904 r.), kontynuowanego w Kijowie, Krakowie (studia) i Łucku – w końcu, w 1945 r. zesłanemu do syberyjskich łagrów. Po uwolnieniu żył i działał w Karagandzie, tam zmarł w 1974 roku. Przyjeżdżał trzykrotnie do Polski, spotykał się z kardynałem Karolem Wojtyłą.

W numerze dalej czytamy o wybitnym harcmistrzu, ks. Józefie Kuczyńskim z Wołynia, oraz szerokie omówienie tygodnika „Życie Katolickie” wydawanego w Łucku, jako portret gazety. Poza całą serią dalszych artykułów, niet dotyczących jednak Małopolski Wschodniej, spotykamy na koniec ciekawy artykuł historyczny: *Buława i Krzyż*, poświęcony pamięci J.K. Chodkiewicza, jego czasów i jego współczesnych postaci polskich.

■ Kolejny numer „Wołania z Wołynia”, jaki ukazał się ostatnio, to nr 1 (134) 2017. Treść może jeszcze bogatsza niż w poprzednim. Otwiera go artykuł: *VII Edycja Akcji „Mogile Pradziada ocal od zapomnienia”* – problem dobrze nam znany, bo groby i całe cmentarze na Ziemiach Wschodnich (tzw. Kresach) giną tragicznie. Prosi się więc młodzież o ratunek, podobnie zresztą jak w obecnej RP. A efekty na szczęście są.

W tymże numerze spotykamy przedruk tekstu napisanego przez ks. W. Bukowińskiego (jeszcze nie błogosławionego) z 1936 r. w piśmie „Życie Katolickie”, jeszcze w wolnej Polsce. Znajdujemy również c.d. artykułu o harcmistrzu ks. Józefie Kamińskim, rozpoczętego w poprzednim numerze. Mowa przy okazji o bestialstwie nacjonalistów ukraińskich. Wśród całego szeregu kolejnych znakomych tekstów znajdujemy także zapowiedź nadania imienia ks. Władysława Bukowińskiego szkole w Lubiczu k. Torunia – w dniu Jego beatyfikacji 11 września 2017 r.

■ Z Warszawy przysłano nam cztery kolejne numery czasopisma „Lwowski Biuletyn Informacyjny”. Okazuje się, że jest to kontynuacja wcześniejszego „Biuletynu Informacyjnego”, wydawanego dawniej – i teraz, od 2015 r. – przez Warszawski (nazywany tam *Stołecznym*) Oddział TMLiKPW, który swego czasu przestał wychodzić, obecnie jednak powrócił pod nowym tytułem i w nowej szacie graficznej – kolorowy! Nowe pismo ma nietypowy format (bliski A4) i stron 24–36. Numeracja zeszytów nie jest dla nas jednoznaczna, więc przyjęliśmy ciągłą: 74, 75, 76/77 i 78.

W pierwszym z wymienionych zeszytów (74) opisano nowy Zarząd Oddziału, wybrany na początku 2015 r. Jego prezesem został Marek Makuch, urodzony w Warszawie w 1972 r. Jest politologiem, harcerzem, radnym. Do zarządu weszło sześć osób, w tym dobrze nam znana od lat Alicja Kocan, znakomita kronikarka, reporterka, autorka zdjęć i reportaży. Kolekcjonerka.

Dalej w numerze mowa o warszawskim Klubie Stanisławowian, o Kolekcji „Leopolis” w Muzeum Niepodległości w Warszawie. Czytamy wiersze Kazimierza Wierzyńskiego, o wydanych książkach i o tych, którzy odeszli.

W numerze 75. mowa o obchodach 95. rocznicy bitwy pod Zadwórzem – Polskich Termopilach, a zaraz potem opisano 76. rocznicę zdradzieckiej napaści sowiektów na Polskę – 17 września 1939 r.

Czytamy dalej o Fundacji „Dziedzictwo Kresowe” – pisze o niej jej prezes Jan Sabadasz; o panoramie plastycznej Lwowa, dziele architekta Janusza Witwickiego, powstałej w latach międzywojennych (wywiad, ale nie podano z kim). Ważny szkic biograficzny (autorstwa T. Zdzikota) o lwowskim profesorze Stanisławie Starzyńskim, zatytułowany: *Lwowskie korzenie polskiego konstytucjonalizmu*. I jeszcze w ramach historii kresowych klubów sportowych: *Pogoń Lwów*. Jeszcze w ramach historii: *Polska sięgała do Dunaju*, pióra M. Bieleckiego.

Na koniec coś lżejszego: Janina Jasińska. *Śpiewająca lwowianka w Kanadzie*. Zeszyt zamykają omówienia kilku książek Wiesława Helaka. O słodyczach już nie wspominamy!

Nieco grubszy jest zeszyt 76/77 – czytamy tam o kilku wybitnych postaciach rodem ze Lwowa, wsławionych w naszych czasach. Są to najpierw – z nieżyjących: Adam Hanuszkiewicz (1924–2011), Jerzy Janicki (1928–2007), Kazimierz Górski (1921–2006) i Stanisław Jopek (1935–2006), i z innych epok – Stanisław Smolka (1854–1924) oraz o. bp Rafał Kiernicki (1912–1965). Z zasłużonych postaci żyjących – Janusz Smaza (rozmowa).

Inne ciekawe artykuły – to trudna batalia o zwrot mienia zabranego parafii św. Antoniego przez bolszewików, o rozgrywkach piłkarskich w Galicji do roku 1914; o kweście na Łyczakowie na lwowskie cmentarze i o cmentarzu Janowskim, a wreszcie wspomnienie o Jurku Bitschanie. I na koniec nieco przepisów kuchni lwowskiej.

Czwarty z omawianych numerów (78) jest mniej bogaty w treść. Ale na pierwszej stronie tekstu (wedle numeracji – trzeciej) znajdujemy tekst wyjaśniający istotę i tytuł tego pisma. Tu chciałbym dodać swoje uwagi, lecz zostawiam to na koniec.

W zeszycie znajdujemy takie interesujące tematy: Muzeum Lwowa i Kresów – o dworku muzealnym pp. Biniszewskich, założonym w Kulkówce Radziejowickiej z inicjatywy T. Łodziany i J. Janickiego. Dalej wspomnienie o znakomitym śpiewaku Andrzeju Hiolskim. A nade wszystko rozmo-

wa z Januszem Wasylkowskim, pisarzem, poetą, redaktorem, działaczem...

Na koniec *pro domo sua*: o działalności warszawskiego Oddziału TMLiKPW, o Dniach Lwowa w Warszawie oraz Oplątku 2017 w tymże środowisku *teemelowskim*. I jeszcze prezentacja pocztówek ze zbiorów niezastąpionej pani Alicji Kocan.

Wszystko to bardzo mi się spodobało, z jednym wyjątkiem. Mam swoją uwagę, o której już wspomniałem. Oto nie spodobał mi się nowy tytuł tego czasopisma – jest zbyt urzędowy! *Biuletyn* – to słowo nie odpowiada charakterowi pisma, a słowo *informacyjny* w ogóle niepotrzebne. Czy nie lepiej byłoby nazwać np. *Przegląd Lwowski* albo *Lwów w Warszawie*, albo jeszcze inaczej, lecz mniej biurokratycznie? Ale wdzięczniej.

Bardzo za te słowa przepraszam i życzę powodzenia!

Andrzej Chlipalski

W Krakowie i dalej

◆ 21 lutego w St. Louis Park (USA) zmarł Stanisław Skrowaczewski, światowej sławy kompozytor i dyrygent. Urodził się we Lwowie, który opuścił wraz z rodziną dopiero w 1944 r. Po II wojnie światowej mieszkał i studiował w Krakowie, a także w Paryżu. W 1960 roku opuścił Polskę i zamieszkał w USA. W Krakowie w grudniu 2016 r. poprowadził jeden ze swych ostatnich koncertów. W krakowskiej Filharmonii im. Karola Szymanowskiego zabrzmiał wówczas „Koncert na rożek angielski i orkiestrę”, skomponowany przez Stanisława Skrowaczewskiego. Koncert połączono z prezentacją poezji Adama Zagajewskiego, który także urodził się we Lwowie. Żył 94 lata.

◆ 13 marca ks. kardynał Marian Jaworski, arcybiskup senior archidiecezji lwowskiej, uhonorowany został przez Prezydenta RP Andrzeja Dudę najwyższym polskim odznaczeniem Orderem Orła Białego „w uznaniu znamienitych zasług dla odbudowy życia religijnego na Kresach wschodnich, pogłębiania dialogu ekumenicznego oraz za osiągnięcia naukowe w dziedzinie filozofii i teologii”.

Ks. kardynał Marian Jaworski zaliczał się do grona najbliższych przyjaciół św. Jana Pawła II, który w 1991 r. powierzył mu misję odtworzenia struktur Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie. Warto przypomnieć, iż w momencie rozpoczęcia misji ks. kardynała na Ukrainie działało kilka parafii, a pracę duszpasterską prowadziło kilkunastu księży i zakonników. Kiedy przechodził na emeryturę, po 17 latach pracy duszpasterskiej, na Ukrainie pracowało 490 księży w 290 parafiach oraz 122 domy zakonne (męskie i żeńskie) i siedem seminariów duchownych. Uroczystość odbyła się w krakowskim mieszkaniu księdza kardynała. Wśród uczestników uroczystości obecni byli m.in. biskup pomocniczy archidiecezji krakowskiej Damian Muskus, bp Marian Buczek – były biskup pomocniczy archidiecezji lwowskiej i biskup senior diecezji charkowsko-zaporońskiej, szefowa Kancelarii Prezydenta Małgorzata Sadurska, podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta Wojciech Kolarski, wojewoda Józef Pilch, prezydent Krakowa Jacek Majchrowski, senator Zbigniew Cichoń oraz krewni i przyjaciele kard. Jaworskiego.

◆ W dniach 21–24 kwietnia odbyła się 7. Polska Wiosna Teatralna we Lwowie, na którą zjechały teatry polskie, a wśród nich Zespół Teatralny im. Jerzego Cięciły z Wędrzyni, Polskie Studio Teatralne z Wilna, Teatr AA Vademecum z Wiednia. Organizatorem spotkań, ale też ich aktywnym uczestnikiem, był Polski Teatr Ludowy ze Lwowa, który na tę okazję przygotował premierę przedstawienia Daria Niccodemiego zatytułowanego „Scampolo” w reżyserii Zbigniewa Chrzanowskiego. Gościem specjalnym był Stanisław Górka, który przedstawił publiczności monodram Romain Rollanda „Colas Breugnot”.

◆ 22 kwietnia zmarł Witold Pyrkosz, artysta sceniczny i filmowy. Urodził się 24 grudnia 1926 r. w Krasnymstawie, ale 1 stycznia 1927 r. został zarejestrowany jako nowo narodzony obywatel Lwowa. Tam spędził dzieciństwo. Po wojnie skończył krakowską PWST, pracował w teatrach w Krakowie, Kielcach, w końcu w Warszawie. Zapamiętany zostanie z seriali filmowych „Cztery pancerni i pies” oraz „M jak miłość”, choć w swej artystycznej karierze zagrał wiele interesujących ról czy to w teatrach, czy to w filmach fabularnych. Żył 90 lat.

◆ W 2017 roku w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” odbyło się już pięć spotkań organizowanych – w każdy pierwszy wtorek miesiąca – przez Oddział Krakowski TMLiKPW, na które tradycyjnie już zaprasza pani Anna Stengl. 3 stycznia – jak co roku w okresie świątecznym – śpiewaliśmy kolędy i oglądaliśmy film z VI Lwowskiego Balu Karnawałowego. 7 lutego gościliśmy panią mgr Małgorzatę Goździk, absolwentkę Wydziału Malarskiego Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie, która wygłosiła interesującą prelekcję „O procesie twórczym, emocjach w kontakcie z drugim człowiekiem i pogodnej starości”. Wszystkie te aspekty zawarte były w filmie Małgorzaty Goździk pt. „Tort” opowiadającym o paniach Emmie i Zofii Fedyk, należących do naszego TMLiKPW. Przypomnijmy, że na łamach pierwszego tegorocznego numeru pisaliśmy o 100. urodzinach pani Emmy. 7 marca – dr Sławomir Dorocki i mgr Paweł Brzegowy z Instytutu Geografii Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, w swej opowieści zatytułowanej „Luna Drexlerówna – w służbie sztuki i antropozofii”, mówili o życiu i twórczości tej interesującej artystki rzeźbiarki. 4 kwietnia w Sali Fontany gościliśmy autora tajemniczej książki zatytułowanej „Człowiek z sową”, której akcja toczy się w przedwojennym i okupacyjnym Lwowie, a po II wojnie światowej przenosi się do Krakowa. Następne spotkanie, które możemy odnotować, odbyło się 9 maja, z udziałem radosnego zespołu „Promyki Krakowa” grającego i śpiewającego pod dyktando Romy Krzemień.

◆ 12 maja, w strugach deszczu, odbyła się uroczystość otwarcia wyremontowanego dziedzińca Katedry Ormiańskiej we Lwowie. Trwające dwa lata prace remontowe i renowacyjne – poprzedzone badaniami archeologicznymi – sfinansowane zostały z funduszy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej, władz miasta Lwowa oraz lwowskiej wspólnoty ormiańskiej. Pod warstwami asfaltu odsłonięto dawne bruki Lwowa oraz nagrobki ormiańskie. Odnowiono też kolumnę św. Krzysztofa. Należy wspomnieć, iż proces odzyskiwania i udostępnienia Katedry Ormiańskiej rozpoczął się w 2000 roku, tuż przed wizytą we Lwowie papieża Jana Pawła II. Do tego czasu świątynia służyła jako

magazyn zabytków. Dzięki temu w dobrym stanie zachowały się freski Jana Henryka Rosena. Na wizytę papieża, przypadającą w jubileuszowym roku 1700-lecia przyjęcia przez Ormian chrześcijaństwa, katedrę lwowską 25 czerwca 2001 r. odwiedził papież Jan Paweł II.

◆ 21 maja odbyła się Kresowa Noc Muzeum w Chrzanowie.

Na odbywającą się w Chrzanowie w Muzeum im. Ireny i Mieczysława Mazarakich Noc Kresową złożył się bogaty program obejmujący koncert, wystawę, wykłady, projekcje filmowe oraz warsztaty plastyczne. Wydarzenie rozpoczęło się o godz. 18 w ogrodzie Domu Urbańczyka. Po krótkim powitaniu publiczności i prelegentów – kustosz z Działu Sztuki Muzeum Śląskiego w Katowicach Katarzyna Jarmuł-Niemczyk wygłosiła wykład „Ikona. Pojęcia, zarys teologii i historii, techniki wykonania”. Rzeczona prelekcja stanowiła wstęp do cieszącej się dużym zainteresowaniem wystawy „Ikony modlitwą malowane”, składającej się z ponad stu wartościowych prac powstałych pomiędzy XVII a XX w., pochodzących ze zbiorów Muzeum Śląskiego w Katowicach i Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu. Ważnym elementem programu Nocy Kresowej był dwuczęściowy koncert laureata Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Lwowskiej i „Bałaku” Lwowskiego w Krakowie Pawła Paprockiego, wykonującego piosenki przy akompaniamencie Ireny Paprockiej. O godz. 21 zgromadzeni goście wysłuchali wykładu dra Sławomira Dorockiego i Pawła Brzegowego z Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie „Zofia Batycka (1907–1989). Lwowianka w służbie dziesiątej muzy”. Celem ilustrowanej archiwalnymi fotografiami prelekcji było przedświadczenie i próba oceny kariery filmowej jednej z najbardziej zajmujących przedwojennych laureatek konkursu Miss Polonia. W dalszej kolejności odbyła się projekcja filmów dokumentalnych o tematyce kresowej, ukazujących m.in. sielankowość Huculszczyzny oraz specjalny pokaz fragmentów ostatniego obrazu z udziałem Z. Batyckiej „Dziesięciu z Pawiaka” w reżyserii Ryszarda Ordyńskiego z 1931 r. Na godz. 23 zaplanowano wystąpienie licencjonowanego pilota wycieczek zagranicznych Krzysztofa J. Hudzika, który zdjęciami własnego

autorstwa zebranych w Domu Urbańczyka gości przeniósł w powszechnie znane, jak i rzadko odwiedzane zakątki Kresów sentymentalnie wspominanej II RP. Ostatnią część programu stanowiła projekcja filmu „Muzeum utracone”. Podczas Kresowej Nocy Muzeum zrealizowano również warsztaty plastyczne „Wokół ikony”, pracownię wycinanki oraz zajęcia z toczenia garnków na kole. Przywołane wydarzenie dowodzi, że problematyka kresowa cieszy się niesłabnącą popularnością, ciągle jeszcze pozostaje silnie zakorzeniona w kulturze narodowej i co istotne, wzbudza zainteresowanie również u przedstawicieli młodego pokolenia.

Paweł Brzegowy

◆ W Krakowie powstała inicjatywa upamiętnienia w 100. rocznicę odzyskania przez Polskę Niepodległości oraz 100. rocznicę Obrony Lwowa w 1918 r. pomnika upamiętniającego Orłęta Lwowskie. Prezentujemy Apel w sprawie budowy pomnika, który popieramy.

Szanowni Państwo Drodzy Lwowiacy – Kresowianie Wszyscy, którzy Lwów miłują

W 2017 roku obchodzić będziemy 150. rocznicę powstania ruchu sokolego na ziemiach polskich – który jak wiadomo, pojawił się najpierw we Lwowie. Właśnie dlatego w tradycji sokolskiego Towarzystwa Gimnastycznego utrwaliło się określenie historyczne: Sokół Macierz – Lwów.

Z tej okazji PTG SOKÓŁ Macierz – Lwów i PTG SOKÓŁ Kraków będzie organizować wiele imprez towarzyszących – rozpoczęliśmy 25 lutego 2017 roku Wielkim Balem Sokola – „Tylko we Lwowie”.

Za niespełna dwa lata będziemy świętować 100. rocznicę odzyskania niepodległości przez nas – Polaków, to jedno z najszcześniejszych wydarzeń w naszych dziejach.

Jednym z fundamentalnych zdarzeń na drodze do kształtowania się wolnej Polski były walki z Ukraińcami o Lwów. W podręcznikach historii Polski podkreśla się wkład miasta Lwowa w konstruowanie odrodzonej Ojczyzny po pierwszej wojnie światowej. Wdzięczność dla tego pokolenia stała się ważnym symbolem naszej tożsamości narodowej. We Lwowie wyraża się to w postaci



Wizualizacja pomnika Obrońców Lwowa 1918 r. w Krakowie wg projektu prof. Stefana Dousy

Cmentarza Orłąt, w Warszawie w postaci Grobu Nieznanego Żołnierza.

W środowisku PTG SOKÓŁ powstała inicjatywa wybudowania pomnika Obrońcom Lwowa 1918 roku – Lwowskim Orłętom.

Pragniemy aby był on usytuowany w pobliżu budynku „Sokoła” krakowskiego, na zakończeniu ulicy Retoryka, przy zbiegu z ulicą Józefa Piłsudskiego. Istniejący nieopodal pomnik Czynu Legionowego doskonale harmonizuje z ideą pomnika dla najmłodszych Obrońców Lwowa.

Uczestnikami i w pewnej mierze fundatorami tego przedsięwzięcia byłoby przede wszystkim uczniowie Krakowa i całej Małopolski – pomnik ten mógłby w ten sposób pełnić doniosłą rolę w patriotycznej formacji młodszych pokoleń.

Jesteśmy głęboko przekonani, że jego wybudowanie w Krakowie, w tym miejscu w 100. rocznicę tamtych heroicznych zmagañ, stanie się przykładem naszego oddania Orłętom Lwowskim należnej czci i honoru, a zarazem nauką dla ich obecnych rówieśników – nauką, czym jest wartość wolnej Ojczyzny i ile może kosztować jej obrona, jeśli chcemy żyć i być wolnymi.

„Zginęli, abyśmy żyli wolni”

Zwracamy się dlatego do Państwa z prośbą o wsparcie naszego zamierzenia i liczymy na hojność wszystkich, którym ta idea jest bliska.

Jesteśmy przekonani, że działając wspólnie zamierzony cel osiągniemy. W sytuacji gdyby jednak z przyczyn obiektywnych nie udało się naszego przedsięwzięcia zrealizować, to z zebranych funduszy na gmachu krakowskiego „Sokoła” zostanie umieszczona pamiątkowa tablica poświęcona obrońcom Lwowa, a w miarę zgromadzonych środków najzdolniejszym dzieciom przyznane zostaną stypendia edukacyjne im. Orłąt Lwowskich.

*Zebrane środki prosimy przekazywać na konto Komitetu Budowy Pomnika „Orłęta – Obrońcy Lwowa – 1918 r.”
BP – 84 1240 4650 1111 0010 6959 1948*

*Z wyrazami szacunku
Za Komitet Budowy Pomnika „Orłąt –
Obrońców Lwowa – 1918 roku”*

Przewodniczący Komitetu Budowy Pomnika „Orłęta – Obrońcy Lwowa – 1918 r.”

Adam Macedoński

*Prezes PTG Macierz Lwów
Prezes PTG – Sokół Kraków*

Mariusz Graniczka, Konrad Firlej

*Prezes Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo Wschodnich
w Krakowie*

Adam Gyurkowich

Krótką wycieczka do Krzemieńca i Białokrynicy na Wołyniu

W okresie 20–23 października 2016 r. nadarzyła się okazja, abym po 11-letniej przerwie jeszcze raz odwiedziła rodzinne strony, czyli niezapomniany Krzemieniec i jego malownicze okolice z Białokrynicą w roli głównej. Plan i decyzja o wyjeździe podjęte były spontanicznie, a był to pomysł mojej bratanicy Anny Trylskiej-Zająca i jej męża Bogusława Zająca. Pasażerów w samochodzie osobowym miało być czworo, bo zaproszony był też mój mąż. Zakwaterowanie zamówione zostało w hoteliku „Kalinka” przy głównej ulicy w dolnym Krzemieńcu, koło stacji kolejowej. Oboje z mężem byliśmy w Krzemieńcu już kilkakrotnie w latach 1992–2005 w czasie kilkudniowych wycieczek organizowanych przez środowiska krzemieńczan w Polsce. Natomiast moja bratanica i jej mąż pojechali na Wołyn pierwszy raz, aby poznać krzemieniecką krainę, o której tyle opowiadali babcia i ojciec. A więc był to cel sentymentalno-poznawczy.

Trasę z Krakowa do Krzemieńca przejechaliśmy dość sprawnie: na granicy polsko-ukraińskiej obyło się bez czekania, a przez centrum Lwowa poruszaliśmy się w żółwym tempie z powodu korków na ciasnych ulicach. Dalsza podróż przebiegła bez problemów. W hotelu czekali na nas znajomi krzemieńczanie, z czołową działaczką środowiska polskiego, panią Jadwigą Gustawską. Radości i opowieściom krakowsko-krzemienieckim nie było końca.

KRZEMIENIEC

Położenie miasta w jarze między górami oraz centrum z budynkami licealnymi i kościołem pojezuickim jak zwykle oczarowało nas. Ten podstawowy walor miasta na szczęście jest niezmienny, uzależniony jedynie od pory roku i pogody. W ciągu kilkudziesięciu godzin, jakie mieliśmy do dyspozycji, odwiedziliśmy najważniejsze obiekty Krzemieńca. Zaczęliśmy od wizyty na cmentarzu katolickim na stokach góry Wołowicy. Zatrzymaliśmy się przy kilku grobach kryjących prochy znanych postaci, np. pani Ireny Sandeckiej (1912–2010),

niezapomnianej polskiej działaczki krzemienieckiej, oraz Stanisława Hipolita Kwiatkowskiego, mojego wuja, najstarszego brata mojej mamy, którego serce w jesieni 1939 roku, w czasie ewakuacji ministerstwa z Warszawy do Krzemieńca, nie wytrzymało traumy klęski państwa polskiego. Odszukaliśmy kilka grobów poleconych nam przez przyjaciół z Polski oraz zbiorowy grób polskiej inteligencji zamordowanej w lipcu 1941 r. pod Górą Krzyżową. Wszędzie zaświeciliśmy przywiezione znicze, wszak zbliżyły się dni świąteczne 1–2 listopada – Dzień Wszystkich Świętych i Zaduszki. Przy okazji zobaczyliśmy, jaką ciężką pracę wykonywał miejscowy proboszcz ks. Łukasz Grochła przy cięciu i zwożeniu powalonych niedawno przez wichurę wielkich drzew. Na szczęście w niewielkim stopniu uszkodziły one nagrobki na romantycznym, zabytkowym cmentarzu, miejscu spoczynku wielu znamienitych Polaków.

Kolejne godziny dostarczyły nam niezapomnianych wrażeń estetycznych przy oglądaniu widoków: najpierw ze szczytu Wołowicy, a potem po przejechaniu na drugą stronę jaru, ze szczytu góry Bony. Widoki te przypominały opisy i opowiadania o pięknie Krzemieńca i pozwoliły zrozumieć miłość do tego miejsca, przekazywaną z pokolenia na pokolenie.

W czasie spaceru po centrum miasta obeszlśmy tereny licealne (oglądaliśmy też nowy pomnik Tadeusza Czackiego). Zwiedziliśmy dwa kościoły: św. Mikołaja i pojezuicki, czyli licealny, św. Stanisława Kostki – oba użytkowane obecnie przez wiernych wyznania prawosławnego.

W godzinach popołudniowych, na zaproszenie miejscowej animatorki życia polskiego, pani Jadwigi Gustawskiej, byliśmy podjęci wykwinnym obiadem w restauracji w gronie kilku znajomych osób z Krzemieńca.

Znaleźliśmy też czas na odwiedziny i zwiedzenie Muzeum Juliusza Słowackiego w dawnym XIX-wiecznym dworku rodzinny Słowackich. W pięknych i eleganckich wnętrzach przedstawiających kolejne okre-

sy życia poety przyjmowani byliśmy bardzo gościnnie i przyjacielsko.

W Krzemieńcu widać wiele pozytywnych zmian: trochę inwestycji prywatnych, sklepów. Ale i negatywnych obserwacji nie brakowało: nie zmieniany od lat zły stan schodów prowadzących do kościoła i budynków licealnych oraz muru przy nich, zły stan (pustych już) zabytkowych domów bliźniaczych, fatalny stan jezdni na stromych przecznicach od arterii centralnej, a zwłaszcza na drodze prowadzącej do cmentarza.

Zaproszeni zostaliśmy przez panią Dorotę Prażyńską, nauczycielkę z Krakowa, na krótką wizytę do sobotniej szkoły polskiej. Opowiadała o zainteresowaniu i potrzebie nauczania języka polskiego. W wynajętym szkolnym pomieszczeniu uczy się kilkadziesiąt dzieci. Chętnych wciąż przybywa, wśród nich są także osoby dorosłe. Spowodowane jest to bliskim sąsiedztwem z Polską oraz warunkami ekonomicznymi. Nauka języka polskiego w Krzemieńcu ma długą historię, bo prowadziła ją w czasach sowieckich świętej pamięci Irena Sandecka, autorka ręcznie pisanego „Elementarza Krzemienieckiego”, a później kolejno kilka nauczycielek przysyłanych z Polski na wniosek Towarzystwa Odrodzenia Kultury Polskiej im. Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu.

BIAŁOKRYNICA

Drugiego dnia pobytu pojechaliśmy do nieodległej Białokrynicy. Jest to wieś, ale o dużym znaczeniu na mapie edukacyjnej regionu. Znajduje się tam zamek-pałac, zbudowany pierwotnie w XVI wieku jako własność książąt Zbaraskich. Po wielu przebudowach i zmianach właścicieli w 1892 roku pałac został przekazany przez ówczesnego właściciela Aleksandra Woronina na cele edukacyjne dla okolicznej młodzieży. W okresie międzywojennym w pałacu była Średnia Szkoła Rolnicza, później rolniczo-leśna, a po II wojnie światowej technikum leśne. Szkoła, wchodząc w skład Liceum Krzemienieckiego, dysponowała terenami rolnymi i dużym folwarkiem hodowlanym, gdzie uczniowie zdobywali praktyczne umiejętności rolniczo-gospodarcze.

Obejrzeliśmy okazały główny budynek szkolny, po wojnie podwyższony o jedno piętro, oraz ozdobne i zadbane otoczenie szkoły z pomnikiem na grobie fundatora.



Część fosy zamkowej została zagospodarowana, np. na sadzawkę z rybkami lub basen kąpielowy. Przy drzwiach wejściowych do szkoły pojawiły się współczesne tabliczki pamiątkowe byłych uczniów – ofiar wojny na wschodzie Ukrainy. Należący do szkoły park przechodzi stopniowo w las mieszanym z nielicznymi już starymi dębami, a nosił kiedyś nazwę Dębinki. Z przedwojennych domów nauczycielskich zachowały się jeszcze dwa: dyrektorski i kilkurodzinny tzw. biały dom. Pozostałe, łącznie z tym, w którym mieszkała moja rodzina i który był miejscem mojego urodzenia, a także brata Zdzisława, uległy zniszczeniu, spaleniowi w okresie wojennym. Na skraju parceli obok naszego domu stała kiedyś ogromna topola, dziś już częściowo uschnięta. Naprzeciw tego miejsca, na rozległym placu, w międzywojniu istniał duży folwark szkolny, który podlegał mojemu ojcu, inżynierowi rolnikowi-hodowcy Zbigniewowi Trylskiemu. Prowadzone tam były cenne doświadczenia, w tym dotyczące hodowli karakułów.

Niestety wszystko przedstawiało smutny widok, niewiele zostało po zabudowaniach folwarcznych. Z literatury i przekazów wspomnieniowych wiem, że po 17 września 1939 r. folwark został rozgrabiony.

Zwiedzanie Białokrynicy, przy fatalnej pogodzie, urozmaicałam moim towarzyszom anegdotami. Np. tor kolejowy leżący blisko naszego domu i ogrodu, a krzyżujący się z drogą gospodarczą, był miejscem, gdzie dzieci (my, wnuki) wychodziły, żeby pomachać babci Rozynie wyjeżdżającej do Krakowa, za co sypały się z pociągu cukierki. W miejscu tym także ojciec wracający z Warszawy wyskakiwał z ostatniego wagonu pociągu, żeby mieć bliżej do domu, po wcześniejszym uzgodnieniu z maszynistą zmniejszenia prędkości pociągu. W drodze powrotnej z Białokrynicy do Krzemieńca spojrzeliśmy na przedwojenne koszary

12 Pułku Ułanów Podolskich, obecnie puste i czekające na nowego właściciela.

Dzień wyjazdu rozpoczęliśmy mszą św. w języku polskim w kościele parafialnym pod wezwaniem św. Stanisława BM w centrum Krzemieńca. Uczestnicząc w liturgii obserwowaliśmy lokalną katolicką społeczność parafialną, którą opiekuje się ks. Łukasz. We wnętrzu kościoła podziwialiśmy pomnik Juliusza Słowackiego z 1909 r. dłuta Wacława Szymanowskiego oraz replikę tablicy ofiar z Liceum Krzemienieckiego zamordowanych

w czasie okupacji hitlerowskiej (oryginał znajduje się w kościele ss. Wizytek w Warszawie).

Po serdecznym pożegnaniu ze znajomymi udaliśmy się w drogę powrotną. W pewnym momencie z szarego krajobrazu wyłoniły się świecące złotem kopuły Ławry Poczajowskiej, widok piękny i imponujący. Przejechaliśmy bez wstępowania. Spieszyliśmy obwodnicą Lwowa do przejścia granicznego. Stamtąd, po 4-godzinnym czekaniu na granicy, szczęśliwie polską autostradą dojechaliśmy do Krakowa.

Andrzej Kobak

Ze wspomnień muzykologa

W czasach Straussa i Tetmajera Adolfa Chybińskiego

Cóż za urocza książeczka! – chciałoby się wykrzyknąć. Porywająca frazą, bogactwem treści, niekiedy zaledwie ograniczonej do subtelnie zarysowanej sylwetki, oszczędnie podanego szczegółu, anegdoty, kolażu drobiazgów. Opracowane przez Annę i Zygmunta Szweykowskich memuary Adolfa Chybińskiego miały pierwotnie – zgodnie z zamysłem samego autora – zamknąć się w czterech tomach obejmujących okres od 1880 do 1945 roku (o czym informuje zresztą zwięzłe wprowadzenie). Na skutek różnych okoliczności nie udało się jednak tego zamierzenia zrealizować. Opublikowany nakładem Polskiego Wydawnictwa Muzycznego w roku 1959 jako tom VII „Źródeł pamiętnikarsko-literackich do dziejów muzyki polskiej” wybór wspomnieniowych szkiców Chybińskiego liczy – można by z poczuciem autentycznego niedosytu westchnąć: zaledwie nieco ponad dwieście stron tekstu, inkrustowanego garścią fotograficznych i malarskich ilustracji (dodajmy, że całość została w pewien sposób „ocenzurowana”, zrezygnowano bowiem z fragmentów o charakterze bardziej osobistym, dokonano również skrócenia niektórych rozdziałów). Dodatkowym „bonusem” jest więc częste wspomnienia pełne bibliograficzne zestawienie prac Chybińskiego.

Zanim jednak zaprezentujemy samą książkę, poświęćmy chwilę uwagi jej autorowi. Owo preludium, by posłużyć się – wydaje się, że usprawiedliwionym tematycz-

nym kontekstem niniejszego szkicu – terminem muzycznym, jest zasadne nie tylko ze względu na formalną poprawność, naturalnie wprowadzającą czytelnika w sedno rozważań. Autor wspomnień był nie tylko wybitnym uczonym, obracającym się w intelektualnych kręgach Krakowa, Lwowa czy Zakopanego, którego jedynie warto przypomnieć. Zastępuje bowiem Chybiński na miano rzeczywistego prekursora, który na gruncie nauki polskiej należał, obok Zdzisława Jachimeckiego, do pionierów badań muzykologicznych rozumianych jako dyscyplina w ścisłym tego słowa znaczeniu akademicka.

Nasz bohater urodził się w Krakowie w roku 1880, tam też podjął – z czasem coraz bardziej systematyczną – naukę z zakresu muzyki, między innymi u Jana Drozdowskiego. W latach 1898–1903 studiował pod kierunkiem profesorów: Kazimierza Morawskiego, Leona Sternbacha, Wilhelma Creizenacha filologię klasyczną i germanistykę. Następnie kontynuował edukację w Monachium, gdzie poza zgłębianiem zagadnień muzykologicznych, m.in. u Adolfa Sandbergera, słuchał wykładów z historii sztuki i filozofii. Doktoryzował się w stolicy Bawarii w 1908 roku, habilitację na Uniwersytecie Lwowskim uzyskał z kolei w roku 1912 w oparciu o studium *Teoria menzuralna w polskiej literaturze muzycznej pierwszej połowy XVI wieku*. W 1917 roku został mianowany profesorem nadzwyczajnym, cztery lata później uzyskał profesurę zwyczajną.

Tytułem dygresji zasygnalizować można jedynie, że podobnie przebiegała w tym samym czasie uniwersytecka kariera Zdzisława Jachimeckiego w Krakowie. Ten ostatni uzyskał habilitację w roku 1911 na podstawie pracy *Wpływy włoskie w muzyce polskiej*, zajęcia prowadził natomiast z teorii i historii muzyki, specjalizując się w wykładach badawczych. Wzbogacenie wachlarza badań historycznych o wykłady i ćwiczenia praktyczne z historii muzyki i analizy wiódących zjawisk muzyki współczesnej prowadzone przez Jachimeckiego wpisywały się w ogólny proces ówczesnych przemian dydaktycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim, o czym wyczerpująco pisze profesor Maria Stinia w swojej książce *Uniwersytet Jagielloński w latach 1871–1914. Modernizacja procesu nauczania*.

Od roku 1913 aż do 1941 kierował Chybiński zakładem muzykologii na Uniwersytecie Lwowskim. Profesorował ponadto w lwowskim Konserwatorium (w latach 1916–1927). W roku 1945 został kierownikiem zakładu muzykologii na Uniwersytecie Poznańskim. Na stanowisku tym pozostał do swojej śmierci w 1952 roku.

Wielką pasją Adolfa Chybińskiego przez całe życie były góry, szczególnie ukochał Tatry i poezję je opiewającą – strofy Kasprowicza i Tetmajera. Od 1914 roku związany był z Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem. Żywo interesował się folklorem podhalańskim, przede wszystkim muzyką i instrumentami góralskimi, warto przy tym wspomnieć, że uchodzi Chybiński za inicjatora naukowych prac etnomuzykologicznych w Polsce. Kolejną sferą jego zainteresowań, badawczych eksploracji były dzieje muzyki polskiej XVI–XVIII wieku (co także znajduje odzwierciedlenie na kartach wspomnień). Był Chybiński autorem prac o niemalże wszystkich znaczących kompozytorach staropolskich, opublikował znaczną ilość inwentarzy muzykaliów i instrumentów z wieków XVI i XVII, o czym w haśle biograficznym poświęconym Chybińskiemu w *Encyklopedii Muzycznej PWM* rzetelnie informuje Zygmunt Szweykowski.

Pozostawał Chybiński uczonym niezwykle skrupulatnym, o szerokiej erudycji, poruszającym się swobodnie w penetrowanych przez siebie obszarach wiedzy. Jako pierwszy wydał *Słownik muzyków dawnej Polski*, obejmujący ponad 2400 nazwisk. Wnikliwie rejestrował

zjawiska zachodzące we współczesnej sobie muzyce polskiej przełomu XIX i XX wieku. Dał się poznać jako żarliwy entuzjasta kompozytorów z grupy „Młodej Polski”, „odkrywcą” twórczości Karola Szymanowskiego, wielbił, a z czasem rzetelny biograf Mieczysława Karłowicza. Interesował się osiągnięciami Grzegorza Fitelberga, Ludomira Różyckiego, Henryka Opieńskiego, czemu dawał wyraz w licznych artykułach i recenzjach.

Książka Adolfa Chybińskiego to swoisty „kalejdoskop wspomnień”, by zaczerpnąć z tytułu publikacji innego znakomitego humanisty związanego ze Lwowem, a urodzonego w Tarnopolu filologa klasycznego, eseisty i tłumacza Ignacego Wieniewskiego. Wraz z autorem przechadzamy się po jego krakowskim dzieciństwie, przyglądamy się portretom rodziców (przyznajmy, że z większą dozą sympatii pisze Chybiński o swojej matce niż o ojcu – właścicielu magazynu obuwia), dziadka – weterana powstania 1830 roku, obserwujemy uliczny gwar, podwórkowych grajków, spotykamy Stanisława Wyspiańskiego, mijamy kościół Mariacki, bramę Floriańską. Wspomina Chybiński swoich nauczycieli muzyki, wyraźniej kreśli konterfekt wspomnianego już Jana Drozdowskiego, profesora gry fortepianowej w krakowskim konserwatorium, który „lubił knajpkowe życie”, pisze o pierwszych muzycznych fascynacjach, odkrywaniu Wagnera, Liszta, Griega. Opowiada o latach szkolnych, uniwersyteckich, studiach prawniczych (zgodnie z życzeniem ojca; nie odnajdując się jednak zupełnie w roli studenta tego kierunku, przeniósł się nasz bohater potajemnie na wydział filozoficzny), kolegach, bakcylu literatury pięknej. Napomyka o cyganie kupionej wokół Stanisława Przybyszewskiego (którego spotka ponownie w Monachium), młodopolskiej atmosferze Krakowa. Naturalnie nie zapomina o górach, jak sam notował: „A gdy ujrzałem Halę Gąsienicową, gdy przeszedłem Zawrat, aby przez Dolinę Pięciu Stawów i Świstówkę podążyć do Morskiego Oka, gdy potem zrobiłem wycieczkę do Doliny Czarnosmreczyńskiej i na Krywań i gdy znalazłem się na Czerwonych Wierchach i Kasprowym, dusza moja poddała się Tatom bez zastrzeżeń”.

Nie pomija Chybiński okresu edukacji monachijskiej, prezentuje sylwety niemieckich uczonych, w tym przywoływanego już wyżej muzykologa Adolfa Sandbergera. Był

ponadto stałym bywalcem sal koncertowych, uczęszczał do galerii malarstwa i rzeźby, chłonął pełną piersią artystyczny klimat miasta – „Aten nad Izarą” – we wszelkich jego przejawach. Istotnym wydarzeniem w życiu Adolfa Chybińskiego było – już po powrocie do kraju – poznanie Ryszarda Straussa podczas jego koncertu w Filharmonii Lwowskiej.

Nie bez szczypty umiarkowanie jednak dawkowanego krytycyzmu opisuje autor perypetie związane z próbami objęcia posady nauczycielskiej w Krakowie, z przygotowywaniem się do decydujących o tym egzaminów, czemu kres położył jednak ostatecznie niewystarczająco pochlebny stosunek do twórczości muzycznej Władysława Żeleńskiego (który notabene cieszył się wówczas w środowisku krakowskim wielką estymą).

Obszerne partie opracowanych przez Zygmunta i Annę Szweykowskich wspomnień poświęcone są kolejnemu pobytowi Adolfa Chybińskiego w Monachium, tym razem już w towarzystwie żony, malarki Marii z Gawalkiewiczów (tam też mógł się nasz bohater po niepowodzeniach krakowskich całkowicie poświęcić studiom muzykologicznym). Rozpisuje się zatem autor na temat malarstwa niemieckiego i francuskiego – nadmienia o entuzjastycznym odbiorze płócien impresjonistów, wymienia ważnych dla siebie malarzy polskich, zachowując we wdzięcznej pamięci szczególnie postać „Bretończyka” Władysława Ślewińskiego. Te akapity sprzyjają także przedstawieniu szerokiego spektrum ówczesnego życia muzycznego – monachijskiego, czy szerzej niemieckiego, wychodząc przy tym poza ramy pocztu uniwersyteckich pedagogów. Nie zapomina Chybiński naturalnie o muzyce francuskiej i skandynawskiej, która znajdowała w nim życzliwego odbiorcę i komentatora (dowiemy się chociażby, jak wielkim przeżyciem dla naszego bohatera było spotkanie z Edvardem Griegiem). Na kartach raptularza powraca Chybiński do pierwszych spotkań z kompozytorami polskimi, Karłowiczem, Opieńskim, wspomina o czynnej także na monachijskiej niwie znakomitej klawesynistce Wandzie Landowskiej. Przewijające się co rusz nazwiska Mahlera, Brahmsa, Regera, Ravela, Straussa, Wagnera tworzą różnobarwny muzyczny witraż końca XIX i pierwszych lat XX wieku.

Kolejny rozdział książki zatytułowany Lwów dotyczy okresu, w którym Chybiński

osiadł w grodzie nad Pełtwią, po powrocie z Niemiec w 1912 roku. Objął wówczas lekcje harmonii, kontrapunktu i historii muzyki w szkole muzycznej Sabiny Kasperek, a po zatwierdzeniu docentury również wykłady na tamtejszym Uniwersytecie. Kreśląc sylwetki swoich lwowskich przyjaciół i znajomych przywołuje Chybiński postaci Kazimierza Twardowskiego, Ludwika Finkla, Władysława Witwickiego, Kazimierza Ajdukiewicza, Jana Bożo Antoniewicza, Wilhelma Bruchnalskiego, Zygmunta Weyberga.

Ostatnie partie wspomnień poświęcone zostały pamięci dwu wielkich poetów, których nasz autor znał i których dorobek niezwykle cenił. Pisze zatem o Janie Kasprówiczu, o jego upodobaniu do chorałów Bacha i oper Wagnera, zaraz potem szkicuje – miejscami melancholijny – wizerunek Kazimierza Przerwy Tetmajera.

Całość wieńczy jeszcze krótka reminiscencja świąt wielkanocnych spędzonych na Podhalu w góralskiej chacie, w której jak pisał Chybiński: „kilka jeszcze trzaśnień polan smrekowych i bukowych w białawym piecu, cichy zgrzyt ciepłem izby ogrzanego stołu staroświeckiego czy ławy pokornie pod piecem stojącej, kilkanaście oderwanych tonów góralskiej melodii z oddalonego gościńca zmieszanych z suchym turkotem wartko pędzących kót – i, wpatrzony w nisko nad Czerwonymi Wierchami zwieszającą się gwiazdę, zasnąłem”.

W jaki sposób zatem dopisać ostatni akord? Oddać sprawiedliwość lekturze, doceniając jej walor informacyjny, z tonami – elegijnym, żartobliwym, krytycznym? Jak skłonić do sięgnięcia po ową książeczkę, tak przecież skromną na pozór, pozwolić nieść się nurtowi spisanych w niej wspomnień? Jak umiejętnie ją zarekomendować?

By poznać kulturalny pejzaż Krakowa, Lwowa, Monachium przełomu XIX i XX stulecia, by przechadzając się niespiesznie uliczkami zwiedzanych miast spotkać Stanisława Wyspiańskiego, usłyszeć muzykę Liszta lub Karłowicza, by zapatrzeć się wreszcie w piękno i majestat Tatr, spędzić noc u ich podnóża, warto wziąć do ręki wspomnienia Adolfa Chybińskiego, warto się w nie uważnie wczytać i ufając autorowi, jego pamięci, artystycznej intuicji wybrać się wraz z nim w podróż do czasów Straussa i Tetmajera.

Errata

Chochlik komputerowy nie daje nam spokoju... W numerze pierwszym, w tekście wprowadzającym do wywiadu z prof. Zdzisławem Żygulskim jun., dziękowaliśmy **Pani prof. Teresie Grzybkowskiej** za wyrażenie zgody na przedruk tekstu tej rozmowy. Dziękując Pani Profesor raz jeszcze, przepraszamy za błąd, jaki wkradł się do nazwiska.

Redakcja

Na okładce prezentujemy budynek dworca kolejowego w Stanisławowie wybudowany w 1866 r. i rozbudowany w 1906 r. według projektu E. Baudischa z Ministerstwa Kolei Żelaznych w Wiedniu. Stanisławów już w XIX w. był ważnym węzłem komunikacji kolejowej. W latach 1894–1934 znajdowała się tam siedziba dyrekcji okręgowej kolei państwowych – najpierw austriackich, a później polskich. Obecnie mieści się tam Iwanofrankiwska Dyrekcja Przewozów Kolejowych wchodząca w skład Kolei Lwowskiej. Kolej żelazna dotarła do Stanisławowa w 1865 r. wraz z budową linii Lwów–Stanisławów–Czerniowce–Bukareszt. Kilka lat później – w 1873 r. – wybudowano Kolej Arcyksięcia Albrechta (Erzherzog Albrecht Bahn), wiodącą ze Stryja przez Dolinę do Stanisławowa. Ta linia połączyła Stanisławów z Koleją Dniestrzańską (Dniester Bahn) – wybudowaną w 1872 r. – łączącą Stryj przez Sambor z Chyrowem. A w 1884 r. Stanisławów znalazł się na szlaku Kolei Tranwersalnej (Galizische Transversalbahn) wiodącej z Czadcy (obecnie na Słowacji) przez Żywiec, Nowy Sącz, Jasło, Krosno, Sanok, Zagórz, Chyrow, Sambor, Drohobycz, Stryj, Stanisławów do Husiatynia. Do tego trzeba dodać połączenia z Ławocznem (obecnie Słowacja), Nadwórną, Worochtą, Borysławiem i Kołomyją, rozwijającym się zagłębiem wydobywczym ropy naftowej oraz powstającymi górkami ośrodkami turystycznymi.

(Fotografia z widokówki ze zbiorów Krystyny Stafińskiej)

Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Prezes Zarządu:

Adam Guyrkovich

Redaguje zespół:

Anna Madej, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska,

Marta Walczewska, Andrzej Chlipalski (redaktor honorowy),

Janusz M. Paluch (redaktor naczelny) – tel. 608155693, mail: cracovialeopolis@gmail.com

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

oraz www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Konto bankowe naszego Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Know-How, 31-348 Kraków, ul. Chełmońskiego 255, tel. (12) 622 85 60

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

O kładka DWORZEC W STANISŁAWOWIE	I	Stanisław Grodziski O PEWNYM MĄDRYM TOAŚCIE	42
Słowo od Redakcji ZASKOCZENIA...	II	Sylwetki Joachim Śliwa KAROL HADACZEK (1873–1914)	44
Stanisław Dziedzic APOSTOŁ KAZACHSTANU	1	Przemysław Włodek, Krystyna Stafińska 150. ROCZNICA URODZIN PROF. EDMUNDA F. BIERNACKIEGO	50
Krystyna Stafińska STANISŁAWÓW – TRAGEDIA WOJENNEGO SIERPNI 1941 ROKU I 75 LAT PÓŹNIEJ	8	Poezja Leszek Długosz ODA DO MOWY KRESOWEJ	52
Jan Zahradnik CZTERY DNI W AUTOMOBILU	12	Sławomir Gowin JAK PIEŚCIĆ WIESZCZA	53
Tomasz Wasilewski ZEGAR – PRZEZNACZENIE	16	Tadeusz Olszański ULICA ORMIAŃSKA	54
Stanisława Puchała GIMNAZJUM W BUCZACZU	20	Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI	58
Natalia Tarkowska APOLINARY TARNOWSKI	28	WERTUJĄC WYDAWNICTWA	63
Anna Stengl RYSZARDA J. CZARNOWSKIEGO OPowieści o LWOWIE I KRESACH	31	W KRAKOWIE I DALEJ Danuta Trylska-Siekańska KRÓTKA WYCIECZKA DO KRZEMIEŃCA I BIAŁOKRYNICY NA WOŁYNIU	64
Rozmowy Janusz M. Paluch ANDRZEJ CHLIPALSKI	34	Andrzej Kobak ZE WSPOMIENI MUZYKOLOGA	68
Przemysław Włodek SŁOWNIK NAZW I ULIC...	41	ERRATA	70
			III